

MIESIĘCZNIK

5(68) MAJ 1988 CENA 200 ZŁ

Fantastyka

PL ISSN 0209-1631

NB INDEKS J 35830



O POLSKIM
KOMIKSIE
- DUŻO I MAŁO



The illustration features a girl with voluminous, spiky hair, wearing a dark top with a leaf-like emblem and a skirt. She is in a dynamic pose, pointing her right hand towards the right. In the upper right corner, there is a large, open book or a stack of papers, with the text 'LAYOUT: ZALLET 98' written vertically next to it. The background consists of a grid pattern.

DUŻA dla MAŁEJ

Trzeci literacki konkurs FANTASTYKA

1988

Wszystkich miłośników, znawców, koneserów, autorów prozy science fiction – zawodowców i amatorów... Starszych, młodszych i najmłodszych...

Wszystkich, którzy mają do zaproponowania ciekawy pomysł, nową ideę bądź formę literacką...

Wszystkich, którzy wierzą, że fantastyka jest dziedziną literatury i sztuki otwierającą bramy do wspaniałych romantycznych światów, a zarazem sposobem mówienia o dzisiejszym społeczeństwie, kulturze, nauce; o przemianach, nadziejach i zagrożeniach naszego świata...

Wszystkich, którzy traktują fantastykę jako gatunek podlegający nieustannej ewolucji – żywy, fascynujący, pełen wciąż nie odkrytych możliwości...

Wszystkich, którzy chcieliby przekazać takie rozumienie gatunku najmłodszym polskim czytelnikom...

...namawiamy do wzięcia udziału w organizowanym przez „Fantastykę” konkursie na opowiadanie SF-1988 dla najmłodszych Czytelników – „Duża dla Małej”

Utwory nigdzie dotąd nie publikowane o objętości nie przekraczającej 14 stron znormalizowanego maszynopisu, prosimy nadsyłać (w dwu podpisanych egzemplarzach, w kopercie z dopiskiem „Konkurs Literacki – Duża dla Małej”) pod adresem redakcji do dnia 31 grudnia 1988.

Od uczestników konkursu oczekujemy prac na wysokim literackim poziomie, pisanych bez żadnej taryfy ulgowej.

Jedynym ograniczeniem jest bariera wieku – wyłonione w konkursie teksty czytać będzie publiczność „Małej Fantastyki”, a więc przede wszystkim osoby, które nie ukończyły szkoły podstawowej.

● Dla autorów najciekawszych opowiadań przewidziano nagrody.

● Wszystkie teksty nagrodzone i wyróżnione ukażą się na łamach „Małej Fantastyki” i będą honorowane według przyjętych stawek autorskich. Redakcja zastrzega sobie prawo ich pierwotnego wydruku.

● Istnieje możliwość opublikowania najlepszych tekstów w wydawnictwie książkowym, tak jak stało się to z opowiadaniem dwu już naszych konkursów.

● Rozpatrujemy tylko znormalizowane maszynopisy (30 wierszy na stronie, 60 znaków w wierszu; przypominamy: oczekujemy na teksty o objętości nie większej niż 14 stron!).

● Termin nadsyłania prac mija 31 grudnia 1988 r.



Polski komiks wyraźnie zmierza ku szeroko pojętej fantastyce – taką tezę stawia w swym szkicu „Dużo i mało” Jerzy Szytak pisząc o krajowych wydawnictwach komiksowych w ostatnich latach. Swojego rodzaju suplementem do tego tekstu jest list autora dotyczący pierwszego numeru naszego dodatku kwartalnego „Komiks-Fantastyka”. List ten nasi Czytelnicy znajdą w „Ładowni”, które tym razem w całości poświęciliśmy potyczkom miłośników i wrogów rysunkowych opowieści.

Opowiadania i nowele

Phyllis Eisenstein
Pod ziemią

4

„...Jej kształty zaczęły się zmieniać. Ramiona i nogi chudły, a tors stawał się grubszy, głowa spłaszczala się, twarz wyciągała w pyszczek. Jej ubranie zmieniło się w szare futro, a z kręgosłupa wyrósł jej długi, cienki ogon...”

Robert Sheckley
Danta, ostatni Nowotahitańczyk

14

„...Wraz z pozbyciem się zezwolenia prokreacyjnego Danton wkroczył na drogę, z której nie mógł już zawrócić; nie pozostawało mu nic innego, jak przeć twardo do przodu. W zamian za wyrzeczenie się prawa do spłodzenia potomka rząd dawał mu dwuletni ekwipunek i zapewniał darmowy transport do dowolnego zakątka Wszechświata. Danton natychmiast ruszył w drogę...”

Powieść

Larry Niven
Pierścień (3)

23

„...Przejmuję dowodzenie – oznajmił Mówiący – do – Zwierząt. – Lalecznik nie jest w stanie podejmować żadnych decyzji. Oświadczam, że od tej pory ta ekspedycja ma charakter wojskowy i że ja jestem jej dowódcą...”

Z polskiej fantastyki

Adam Hollanek
Fausteron

43

„...Dlaczego miałem tego nie próbować? Myślałem sobie zawsze: zatrzymam ją, zamrozę w tej postaci jaką najbardziej kocham, a sam się odmłodzę. To trwało. Prawda. Musiało trwać, ale wbrew naturze czas pracował dla mnie...”

Róża Holzman
Inna

52

„...Skupiłam się. Po chwili poczułam przypływ tej siły, której nie rozumiem, ale z której czasami korzystam. Zakłuto mnie w końcach palców. Kiedys wyciągnęłam do niego ręce...”

Krytyka

Recenzje

54

Piszą krytycznie – Rafał A. Ziemkiewicz o „Stanie zagrożenia” Jacka Sawaszkiewicza, pozytywnie – Leszek Bugajski o „Nieśmiertelnym z Oxa” Mirosława Piotra Jabłońskiego i Małgorzata Skórska o „Łowcy śmierci” Iana Watsona.

Słownik polskich
autorów fantastyki

56

Jacek Piekara (ur. 1965) i Franciszek Mirandola (1871–1930). Na „pożółkłych kartkach”: „Zatruta studnia” – opowiadanie z tomu „Tropy” Mirandoli.

Dużo i mało

59

„...Aby określić to, co dzieje się obecnie na polskim rynku komiksowym, wystarczą trzy słowa: przypadkowość, sporadyczność, różnorodność...”

Nauka i SF

Szczeliny (2)

62

Maciej Iłowiecki: „...świat jawi się nam dziś (powiem to sloganem) bardziej jako myśi niż jako maszyna. Bardziej jako idea niż jako rzecz...”

Film i fantastyka

Krasnoludkowy koktajl

64

Czy „Kingsaj” w reżyserii Juliusza Machulskiego będzie takim przebojem jak „Vabank” czy „Seksmisja”?

Zyjemy w świecie niepewnym, aż trzeszczącym od wszelakiego autoramentu sprzeczności, przeciwności i zagrożeń, osaczeni przez codzienną teraźniejszość, która również nie za bardzo sprzyja poczuciu wygody czy stabilizacji.

W szkołach przeładowanie drobniawą nauką, trudną, właściwie niemożliwą do utrwalenia w pamięci, w urzędach zmiany i atestacje. Sytuacja kryzysowa wymaga zaciskania pasa. Jacy właściwie w tych warunkach niepewności powinniśmy być, jacy naprawdę jesteśmy, czy egzystujemy tylko od barykady do barykady, od trudności do trudności, od początku do końca naszych chwilowych załamów, euforii, radości czy upadków?

Pytania takie właściwie można by śmiało uogólniać: co tkwi we współczesnym człowieku, w jakim stadium znajduje się ludzkość, miotana od zarańcia swych dziejów między marzeniem o „złotym wieku”, o epoce spokoju, komfortu, słowem – o raju, a wyrzucaniem się z utartych społecznie ścieżek, z pasją do zdobyczy, do odkryć, podróży, do samotności bogatej w drastycznie niespokojne przeżycia. I dlaczego o tym się nie mówi, rzadko pisze, dlaczego prawie wyłącznie – fantastyka – ona odważa się w swej naiwności, bo przecież dostanie zaraz za to baty, poruszać takie kwestie, na które właśnie odpowiedzi jednoznacznych nie ma.

Jednakże każdy dziś, żyjący u schyłku XX wieku, zdaje sobie sprawę z wielkiego zakrętu, jaki bierze ludzkość, tak, tak, ona, ludzkość tylko, nie zaś absolutnie cały Wszechświat, bo martwa przyroda ma pełne szanse ocalenia nawet z ludzkiego konfliktu atomowego, jesteśmy chyba jeszcze nazbyt maluczcy, aby ruszyć z posad bryłę świata, więc jest ten zakręt bardzo nasz, człowieczy i różnie się o nim mówi. Stanisław Lem, romantyczny (mimo całej swej ogromnej wiedzy i deklarowanego pozytywnego stosunku do nauki) pisarz i wieszcz nie najlepiej wróży ludzkości w swym „Fiasku”, które – jak to już pisałem – uważam za kłamrę spinającą w jedną całość jego dotychczasowy dorobek science fiction. Przecież z książki tej, jego ostatniej jak dotychczas, wynika,



że istota myśląca z istotą myślącą nie potrafi się w gruncie rzeczy porozumieć, mimo całego arsenału scjencycznej mądrości, doświadczeń i dobrych chęci.

Czy zresztą nasza mądrość jest prawdziwa? Ostatnio przez łamy fachowych pism przesunęła się, na razie chyłkiem, informacja o nowej teorii pracy mózgu, która zdaje się sekundować Lemowym obawom i jak gdyby je uzupełniać, odbierając przy tym jednak w ogóle szacunek dla umiejętności poznawczych umysłu ludzkiego. Dział ten nasz umysł, jeśli dobrze owe doniesienia zrozumiałem, raczej prymitywnie, mechanistycznie, naniżuje swoje informacje poznawcze jak koraliki na sznurek, trochę czy też nawet bardzo przypadkowo, choć konsekwentnie. I to by była cała nasza wiedza, cała *capacitas*, pożałujcie Boże, inteligencji. Prawdziwa to detronizacja człowieka.

Niektórzy powiadają, że detronizacja równa temu pierwszemu etapowi odebrania człowiekowi centralnego miejsca we Wszechświecie, który zapoczątkował Mikołaj Kopernik swoim dziełem „De revolutionibus orbium coelestium”.

Żyłibyśmy więc na takiej granicy, jak niegdyś nasi przodkowie – między średniowieczem a renesansem? Na skraju nowego wspaniałego świata, w którym rozpoznamy siebie jeszcze bardziej pomniejszonymi, niż byliśmy dotychczas, jeszcze bardziej ograniczonymi, niż sądzili o nas wielcy badacze naszej egzystencji? Jak wobec

tego istnieć w takim pomniejszeniu, jak zachować się w roli iście guliwewskich krasnoludów, to są na pewno tematy dla fantastyki, choć nie dla niej samej tylko.

A w ogóle co robi w takich czasach owa fantastyka, dlaczego powiększa nieustannie stan swego posiadania, wciska się w sfery, które dotychczas były zawarowane albo wyłącznie dla nauki, albo też dla głównych nurtów literatury. Czyżby ta główna literatura, ten szeroki prąd, niosący się od wieków zaczął się nagle wyczerpywać, wysychać, czyżby jego demiurgom brakło rozeznania lub po prostu odwagi, aby zdać bliżnim sprawozdanie z procesów własnego karlenia, umniejszania roli człowieczeństwa, a przynajmniej z własnego – koniecznego – uskromnienia, bez którego dalsza egzystencja stanie w ogóle pod znakiem zapytania?

Fantastyka wchodzi w ten temat, chropowata, zaborcza, nieokrzesa twórczo (zarówno w literaturze, jak i w plastyce czy muzyce), infantylnie zaufana w siebie, depcząc jak gdyby wszelkie prawa psychologii i socjologii, jeśli takowe w ogóle istnieją. Toż przecież w epoce zakrętów i zagrożeń, niepewności i niepocholebnych dla ludzkości odkryć czy pseudoodkryć naukowych, powinniśmy być wszyscy cacy-cacy, dążyć do ustabilizowania się za wszelką cenę, unikać przygód i nadużyć, zasklepić w tym co jest i trwać, i przetrwać, a tymczasem – tętni galop środków masowego przekazu, niosących ucieczkę od stabilności do fantastycznych światów, najczęściej straszniejszych, stokroć gorszych od teraźniejszości – światów takich z przeszłości i przyszłości.

Powstaje pytanie, czy mamy tu tylko do czynienia z karykaturami ostrzegającymi przed gorszym, co stać się może rzeczywistością, czy też jest to nowy skok w przegodę, w dalszy większy niepokój, w jakieś, jak to pisali poeci z epoki Kazimierza Przerwy-Tetmajera „zatrącenie”. Któż to wie?

Dokąd dążysz fantastyko? I z tym poczuciem niepewności umawiamy się na następne, letnie orbitowania.

10-9-8-7-6-5-4-3-2-1-0

Adam Hollanek

MESEczNIK LITERACKI **Fantastyka**

Adres redakcji:
00-640 WARSZAWA
ul. Mokotowska 5/6.

Telefony: 25-34-75 (red. nac., sekretariat, działy: techn., graf., literatury polskiej), 25-50-51 (z-ca red. nac., sekretariat, działy: zagr., krytyki).

Redaktor naczelny: Adam Hollanek.

Zespół redakcyjny: Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Anna Gładka, Lech Jęczyński (kier. działu zagr.), Sławomir Kędzierski (z-ca sekr. red.), Zbigniew Latała (fotoreporter), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Dorota Malinowska, Andrzej Niewiadomski (z-ca red. nac.), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (z-ca red. nac.), Krzysztof Szolginia (sekr. red.), Dariusz J. Toruń, Marek K. Zalejski, Rafał A. Ziemiakiewicz.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch”, ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Propagandy tel. 25-35-36. Skład, druk i oprawa: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Nakład 167 000 egz. Zam.

Oczywiście wszyscy w redakcji wiedzieliśmy, że wydanie dwóch dodatków, właściwie całkiem autonomicznych, ale wzbogacających równocześnie niewątpliwie program macierzystej „Fantastyki”, musi wywołać bardzo żywy odzew. Istotnie, od momentu ich ukazania się w kioskach, płynnie coraz szerszy strumień korespondencji, zawierającej zażartą dyskusję, atakującą z różnych pozycji zwłaszcza temat komiksu. Obawiam się, że gdyby teraz doszło do spotkania fanów w tej sprawie, mogłoby się ono skończyć nawet bitką, tak rozgrzaliśmy atmosferę.

Point counter point

Szanowny Panie Hollanek, czujemy, że nareszcie oczyścił pan łamy „Fantastyki” skażone gatunkiem, pochodzącym z innej sfery i przynależnej innemu celom i ideałom niż science fiction. Mamy nadzieję, że z narodzinami „Komiksu-Fantastyki” obchodzimy jednocześnie pogrzeb Funky’ego i jego bandy w dużej „Fantastyce”. On tam już u was nigdy nie powinien zmartwychwstać.

Juliusz Kotuła z koleżankami i kolegami (razem 50 osób, gdyby trzeba było głosować)

...A więc wyrzuciliście komiks, czy może chcecie na zawsze wyrzucić z naszej „Fantastyki”? Bo pewnie posłuchaliście idiotycznych podszeptów tych fanów, którzy tego gatunku nienawidzą i utopili go w tyżce wody. Odważyliście się na to. A ostrzegaliśmy w różnych listach, podpisanych wieloma nazwiskami naszych katowickich kolegów przed takim krokiem, nie chcemy „Fantastyki” bez komiksu. Zwłaszcza bez takiego komiksu jakim był Funky Koval. To ostatnie ostrzeżenie, uważajcie, jeśli odważyacie się zaprzestać drukowania komiksów, przestaniemy Was w ogóle czytać.

Miłośnicy z Katowic

Cholerna powtórka

W dniu dzisiejszym bardzo ucieszony faktem, że nareszcie polski rynek SF wzbogacił się o kolejne po „Fantastyce” i „Malej Fantastyce” czasopismo i to w całości poświęcone komiksowi – nabyłem pierwszy zeszyt i przystąpiłem do lektury. Hm, po Pańskim (chodzi o naczelnego – przyp. red.) optymistycznym wstępniaku oraz artykule panów Parowskiego i Rodka, spodziewałem się kontynuacji przygód Funky’ego i jego wspaniałej przyjaciółki Brendy, a tymczasem uraczyliście mnie i co najmniej kilka tysięcy fanów komiksu SF – powtórką przygód naszego bohatera, znanych z wcześniejszych numerów „Fantastyki”, tyle że w kolorze. Panowie, czy to nie jest z Waszej strony chwyt poniżej pasa?... Dublować tylko dla kolorowej szaty historię już znaną? Szkoda chyba tego naprawdę dobrego papieru, pracy drukarzy i maszyn. Poczulem się trochę oszukany przez ludzi, których cenię i za ich dorobek w literaturze SF i za wyjście na rynek krajowy z bardzo dobrym piśmem, jakim jest od chwili powstania „Fantastyka”. Nieladnie Panowie...

Jerzy Soczówka z Krakowa

Nareszcie, vivat, nareszcie Funky w kolorach, o radości! Takem się ucieszył, że natychmiast pobiegłem do przyjaciół pokazać im swoją zdobycz (była spod lady). Ile listów musieliście otrzymać, ile próśb i gróźb znieść, aby wreszcie spełnić żądania, nasze żądania, Czytelników, żeby w kolorach naszego bohatera z panów Parowskiego, Rodka i Polcha komiksu pokazać i uwiecznić. To przecież jakby nowy komiks, zupełnie się go inaczej ogląda, niż czarne na białym.

Jerzy Olszówka z Warszawy

W styczniu br. ukazał się pierwszy numer „Komiksu-Fantastyki”, który samą swą obecnością na rynku dowodzi, że można w Polsce wydawać trzy albumy komiksowe rocznie i jeszcze dokładać do nich magazyn informacyjny w tej samej szacie graficznej i objętości. Już samo jego istnienie zakręca na cud w świecie, w którym niemal każdy serial komiksowy jest kompletowany przez kilka pokoleń. I za ten cud należy się redaktorom „Komiksu-Fantastyki” buzi!

Jednak zainaugurowanie istnienia nowego piśma od powtórzenia w nim historyjki doskonale

znanej z wysokonakładowej „Fantastyki” wydaje się być poważnym błędem taktycznym. Owszem, nie ulega wątpliwości, że „Funky Koval” to obecnie najlepszy komiks w Polsce, ale głodu tego gatunku nie da się zaspokoić powtórkami z rozrywki. W dodatku główny argument przemawiający za wydaniem tego właśnie utworu – chęć dania go czytelnikom w kolorze – obrócił się przeciwko redaktorom „Komiksu-Fantastyki”, bo kolor ten jest wydrukowany tak podle, że działa odpychająco. Skoro niemożliwością jest drukowanie koloru dobrze, to może lepiej nie liczyć na kolejny cud i w ogóle z niego zrezygnować. W końcu wiele prac mistrzów komiksu (np. Moebiusa), to rzeczy czarno-białe. Czy na nie w ogóle nie będzie miejsca w „Komiksie-Fantastyce”?

No i ostatnia – chyba najważniejsza – sprawa. Dla kogo właściwie przeznaczony jest „Komiks-Fantastyka”? Czy dla tych, co szukają w historyjkach obrazkowych gumy do żucia dla oczu i pochlaniają wszystko bez różnicy, czy też dla tych, którzy szukają tu sztuki przez duże „S” i potrzebują przewodnika – piśma, które podpowie czego żądać od komiksów, ukształtuje gusty i będzie się przeciwstawiało niechlujności i tandecie innych wydawnictw?

Na razie „Komiks-Fantastyka” mierzy idealnie między obie grupy czytelników, w miejsce, gdzie akurat nikogo nie ma.

Jerzy Szyłak z Pucka

Redaktor w opalach

Tak, naprawdę w opalach, bo jak pogodzić tak różne opinie, żądania, gusty, gdzie niszczyć, a gdzie drukować komiks i to jaki – stary czy nowy, z Funkym czy bez niego? W dodatku Polch przyłącza się, jako jeden z twórców naszego komiksu, do krytycznej oceny jego wykonania w postaci drukowanej. Cóż mam więc pisać, jak reagować?

Oto sprawa pierwsza, kto wie czy nie najważniejsza. Po wielu zmaganiach i staraniach udało się nam wreszcie uruchomić aż dwa dodatki do „Fantastyki” i opublikować je na poziomie maksymalnym w naszych warunkach wysokim. Tak jest! Bo przecież tu nie ma mowy ani o papierze, ani o innych warunkach (twarda, wspaniała okładka na przykład) jakimi dysponują podobne wydawnictwa zachodnie. Za pracę z sercem chcemy więc podziękować tym wszystkim, którzy nam pomogli w uruchomieniu dodatków, a szczególnie Braciom – Drukarzom z Krakowa. Nie ulega też dla mnie wątpliwości, że najbardziej pożądane byłoby w każdym numerze premiery komiksów i krajowych i zagranicznych! Takie premiery obiecujemy, nie jesteśmy jednak w stanie zapewnić

ich organizowania w każdym, kolejnym numerze. Zwłaszcza że publikowane już na naszych łamach wielokrotnie listy Czytelników wskazywały na wielką chęć ujżenia powtórek z Funky’ego właśnie w kolorach, właśnie w osobnych zeszytach.

Trzeba także wiedzieć, że nie każdy zbiera w formie wyrwanych z „Fantastyki” kart poszczególne serie komiksowe – miłośnicy lubiący gromadzić bibliotekę komiksów fantastycznych będą teraz mieli okazję do swych hobbystycznych działań.

I jeszcze jedna bardzo ważna sprawa. Orientujemy się w przemianach pokoleniowych, jakie następują wśród Czytelników naszego piśma, czy raczej już teraz należałoby rzec – naszych piśm. Wskazywał na to na prz. kład ostatni sondaż: jest coraz więcej młodych, którzy zaczynają dopiero czytać „Fantastyki” i dla tych także jest nowy „Komiks” z powtórką nieznanym im jeszcze opowieści o Funkym oraz nowa „Mała Fantastyka”.

Wreszcie argument niebagatelny – komiksy w kraju nie rodzą się na kamieniu. Nasi autorzy przygotowują już od dłuższego czasu dalszy ciąg serialu o Funkym, jego przyjaciółach i wrogach, ale to jeszcze nie jest gotowe! Powiecie Państwo: szukajcie sobie innych autorów lub importujcie. Oczywiście, część rzeczy innych autorów, w tym autorów importowanych, trafi na łamy „Fantastyki”, „Komiksu-Fantastyki”, i „Malej Fantastyki”, nie chcemy bowiem rezygnować z formy komiksowej w żadnym z naszych piśm, ale nie będzie to praktyka systematyczna, lecz zależna od naszych możliwości. Prosimy, aby to zrozumieć, a w ogóle docenić. Co zresztą już się właściwie stało: wiemy, że „Komiks-Fantastykę” szybko rozprzedano, także i „Mała Fantastyka” cieszyła się popytem. Niestety, dystrybucja nie zawsze nadążała za zapotrzebowaniem i nadal nie nadąża. W stolicy brakowało przez wiele tygodni pierwszego numeru „Malej” (!), gdy tymczasem numery czasopisma leżały sobie w niektórych innych rejonach kraju.

Wiecie Państwo zresztą jak to jest z tą dystrybucją towaru wszelkiego gatunku, więc spieszcie nam (i sobie przede wszystkim) z pomocą, zgłaszając natychmiast listownie miejsca braków, a także nadmiar „Fantastyki”. Tyle na dzisiaj. Do dyskusji na temat, co jest sztuką komiksową, a co nie, czego chcą, a czego nie chcą Czytelnicy – zapraszamy kontrowersyjnym listem p. Szyłaka oraz jego szkicem „Dużo i mało” (str. 59). Potem opublikujemy dyskusję specjalistów na ten temat.

Redaktor



W trzecim numerze „Malej Fantastyki”:

- Opowiadania Andrzeja Urbańczyka, Edmonda Hamiltona, Urszuli Andrzejewskiej, Doroty Elbanowskiej, Edwarda D. Hocha i Izabeli Rapczyńskiej!
- Felietony Macieja Ilowieckiego i Adama Hollanka!
- Kwadratura koła – pierwsza część nowego komiksu!
- Jak być uczonym – mówią Biolog, Fizyk i Astronom!
- Chimera w leksykonie postaci fantastycznych!
- Tajemniczy układ w konstelacji Lwa!
- Ty i komputer!
- Powrót Kleksa!
- I tak dalej...



Pod ZIEMIĄ

(Underground)



Musieliście widzieć tego ślepego człowieka. Mijałście go setki razy w tunelu łączącym dwie linie metra. Siedzi na składanym stołeczku, sprzedaje orzeszki i gumę do żucia, które wyciąga z jutowego worka. Na kolanach trzyma pudełko po cygarach, do którego zbiera pieniądze. Zawsze wydawało mi się, że sprzedaje więcej orzeszków niż gum, ale może dlatego, że sam nigdy nie lubilem żucia. Donny też nie lubił.

Kiedy Donny skończył pięć lat, zacząłem z nim podróżować metrem. Sheila miała go przez cały tydzień, ale soboty należały do mnie i mogliśmy iść do muzeum albo do zoo, czy dobrego kina gdzieś w centrum. Ślepiec zawsze był na swoim miejscu, tak samo jak w dni, kiedy chodziłem do pracy. Donny zainteresował się nim od pierwszego razu i zawsze się oglądał, żeby się na niego pogapić.

Przypuszczam, że powinienem był w takim momencie szturchnąć go w plecy albo wygłosić mały wykład na temat dobrego wychowania, ale staliśmy w tłoku i to mnie krępowało. Zresztą dyscyplina – to należało do jego matki. Ja byłem tym, który nie musiał mówić „nie”.

Przez kilka tygodni Donny tylko się przyglądał, ale nie

odzywał nigdy. Wreszcie jednak zdarzyło się, że mijaliśmy ślepcę w momencie, gdy jakaś kobieta kupowała od niego paczkę orzeszków. Donny widział, jak wrzuciła monetę do pudełka i wzięła małą, białą torebkę, którą rozrywając otworzyła. Tydzień później, gdy zbliżaliśmy się do tego miejsca, pociągnął mnie za rękaw.

– Tatusiu, kupisz mi orzeszki?

W ten sposób zaczął się cotygodniowy rytuał, a ślepy człowiek co sobotę otrzymywał ode mnie ćwierć dolara.

Minął prawie rok zanim Donny odezwał się do niego. Mnie nigdy coś takiego nie przyszłoby do głowy, ale jak większość dorosłych miałem sporą praktykę w trzymaniu w cuglach własnej ciekawości. Donny stał, ściskając torebkę i patrząc na ślepcę szeroko otwartymi, niebieskimi oczyma, w których nie było cienia przebiegłości i nagle się odezwał:

– Dlaczego nosisz przeciwsłoneczne okulary w pomieszczeniu?

Poczułem, że twarz zalewa mi fala gorąca. Nie wiedziałem co powiedzieć. Byłem zbyt speszony, żeby choć wymamrotać jakieś przeprosiny. Chciałem odciągnąć Donniego, udając że nic nie słyszałem, ale on puścił moją rękę i zbliżył się do ślep-

ca. Musiałbym się ruszyć, żeby go złapać, ale jakoś nie potrafię nic zrobić.

– Jestem ślepy, chłopczyku, nie widzisz mojej laski? – odpowiedział mężczyzna.

– Widzę – odparł Donny. – Czy jesteś również kaleką?

Mężczyzna pokręcił przecząco głową:

– Laska jest przedłużeniem mojego ramienia. Trzymam ją przed sobą idąc, żeby nie wpaść na różne rzeczy, ponieważ nie widzę ich tak, jak ty je widzisz.

– Jeżeli nie widzisz, to skąd wiesz, że jestem małym chłopcem?

– To proste – odpowiedział ślepiec. – Nie jestem głuchy.

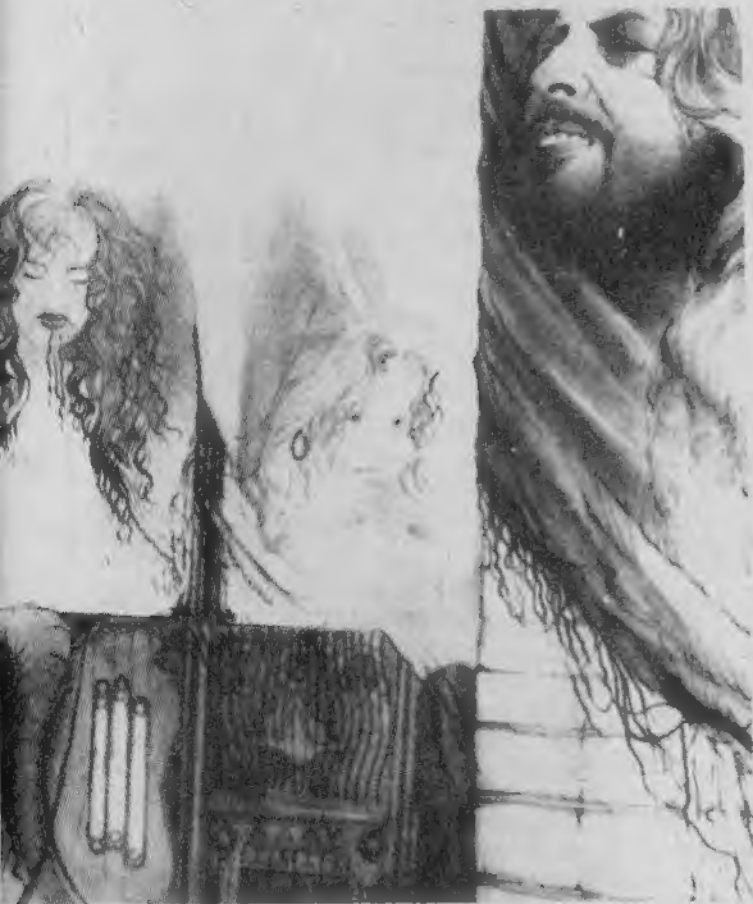
Wreszcie udało mi się odezwać.

– Chodźmy Donny, bo spóźnimy się do kina.

Wziął mnie za rękę, którą wyciągnąłem do niego. I już szliśmy, może tylko trochę szybciej niż zazwyczaj, a Donny wołał przez ramię:

– Do zobaczenia.

Oczywiście widzieliśmy go także w drodze powrotnej do domu. Wymienili z Donnym pozdrowienia tak, jakby się znali od wieków i w ten sposób ich przyjaźń została przypieczetowana. Orzeszki i pogawędka, każdej soboty. A gdy ślepca nie było, Donny pytał, dlaczego, jakbym mógł znać odpowiedź.



Gdzie on może być, czy jest chory, może się na nas obraził albo przeniósł do innego kraju?

– Jestem pewien, że za tydzień będzie tu znowu – odpowiadałem i zazwyczaj miałem rację.

Donny uwielbiał metro. Im linia była starsza, tym bardziej ją lubił. Kiedy miał siedem lat zawsze chciał jeździć z jednego końca trasy na drugi. Proponowałem mu zoo, nowy film, muzeum ze wszystkimi elektronicznymi urządzeniami do omawiania eksponatów, uruchamianymi przez naciśnięcie guzika – ale nie, wołał jeździć metrem. Siedział z nosem przylepionym do przedniej szyby patrząc jak światła i szyny biegną w naszą stronę.

Kochał także perony. Mógł łączyć po nich czytając ogłoszenia i oglądając mapy połączeń i napisy na ścianach. Ale najbardziej lubił patrzeć w dół, gdzie między szynami widać było otwory do odciągania śmieci. Niskie, o kwadratowym przekroju, otwarte z jednego końca tak, żeby pęd powietrza nadjeżdżającego pociągu wpechnął w nie wszystkie brudy. Najpierw chciał dowiedzieć się dlaczego pociąg ich nie miażdży. Podszedł do brzegu platformy, żeby przekonać się, że mieszczą się one pod wagonami. Wtedy po raz pierwszy krzyknąłem

na niego, odciągając go od krawędzi w tył. Spojrzał na mnie nie wiedząc zupełnie o co mi chodzi:

– Przecież pociąg stał!

– Widzisz ten napis? – wskazałem duże litery wymalowane na ścianie. Oczywiście, że widział: **UPRASZA SIĘ STAĆ POZA ŻÓLTĄ LINIĄ.**

Żółta linia znaczyła brzeg peronu.

– Uważałem – bąknął.

– Nie obchodzi mnie, jak bardzo byłeś ostrożny. Co by się stało, gdyby pociąg w tym momencie ruszył?

Przyjrzał się swoim stopom.

– Przepraszam.

Pociąg z rykiem przetoczył się wzdłuż tunelu, pozostawiając strumień czerwonych światel, które zmieniły się w żółte, a potem w zielone.

– Zobacz tato – krzyknął Donny szarpiąc mój rękaw. – Ten papier, on się rusza.

W otworze zbiornika na śmieci szeleściły zgniecione serwetki, papierowe kubki i gazety. Gdy coś małego i szarego wyskoczyło z otworu, Donny pisnął i odskoczył, łapiąc mnie obydwoma rękami.

– Co to?

– Mysz. Spójrz, tu jest jeszcze jedna.

– Mysz! – Zrobił krok w stronę krawędzi peronu, ale trzymałem go za łokieć.

– Stąd też je widzisz – powiedziałem.

– Ale to jest mysz!

– Oglądaj je z tego miejsca.

Był zafascynowany sposobem w jaki przelazily przez otwór, sprytnie przebiegając pod szynami i ich złączami.

– Co one robią tatusiu?

– Myślę, że szukają jedzenia. W tych papierach może się znaleźć jakiś cukierek.

Wyciągnął z kieszeni białą torebkę. Zostało w niej jeszcze parę orzeszków. Rzucił jeden na tory. Leżał tam biały, na brudnej podłodze tunelu. Kiedy żadna mysz nie zbliżyła się do niego, odwrócił do mnie zawiedzioną twarz.

– Czy one nie lubią orzeszków, tato?

– To nie są wiewiórki w parku, Donny. One boją się ludzi. Jestem pewien, że potem przyjdą i go zabiorą. Nie sądzę, żeby często im się coś takiego trafiało.

– W takim razie czym się żywią?

– Tym, czego nie chcą ludzie. Albo wyrzucają przez przypadek. Spójrz na te wszystkie śmieci. Ludzie rzucają na tory mnóstwo rzeczy, chociaż nie powinni.

– Nie chciałbym jeść śmieci – powiedział, wyjął następnego orzeszka i rzucił go na tory. Kilka minut później rzeczywiście jakaś mysz zaczęła ostrożnie zbliżać się do niego. Ale w tym momencie tunel zaczął wibrować od nadjeżdżającego pociągu i mysz znikła.

– On jej coś zrobił! – krzychał Donny. – On ją przejedzie! Tato? Och, tato! Biedna mysz.

– Nic się jej nie stanie – powiedziałem mocniej ujmując go za ramię, po prostu żeby być pewnym, że nie przejedzie znowu za żółtą linię. – Są tak małe, że wagony przejadą nad nimi.

Na jego twarzy widać było ogromną ulgę, gdy po odjeździe pociągu pojawiły się znowu. I wtedy jedna z nich wzięła w pyszczek orzeszek i umknęła z nim.

– Może to mama mysz – powiedział Donny – i zabierze go do domu dla swoich dzieci.

– Możliwe – powiedziałem. – A co byś powiedział na to, żebyśmy i my poszli do domu. Czy ty nie jesteś głodny?

Niechętnie kiwnął potakująco głową.

– Ale czy nie moglibyśmy zostać jeszcze chwileczkę? Spójrz, tam jest jeszcze jedna.

– Ale naprawdę chwileczkę – odpowiedziałem. Żeby być zupełnie szczerym muszę przyznać, że i mnie bawiło przyglądanie się tym stworzonkom. Myszy były w metrze od niepomnietych czasów. Przyglądałem się im jako dziecko. Były sprytnie, nie tak jak na filmach rysunkowych, ale jednak na swój sposób sprytnie. Przypuszczałem, że już niedługo Donny poprosi o jedną na własność i zawczasu próbowałem ułożyć sobie dobrą odpowiedź, chociaż przypuszczałem, że prawdą będzie najlepsza: jego matka nigdy by się na to nie zgodziła. „Ty jesteś twarda, Sheilo, gdybyś mogła, nie dawałabyś mi go nawet na weekendy”.

Ale nigdy nie poprosił. Może był na to za mądry, nawet mając siedem lat. Jednak myszy fascynowały go nadal. Mówił do nich tak, jak się przemawia do zwierząt w zoo czy wiewiórek w

parku. Pomyślałem, że on naprawdę potrzebuje czegoś do kochania i starałem się coś wymyślić zabierając go w nowe, cudowne miejsca, na przedstawienia kukielkowe, do cyrku, wesołego miasteczka. Ale chociaż wszystko to sprawiało mu przyjemność, jednak najbardziej lubił stać na peronie metra i przyglądać się myszom.

– Chciałbym zejść tam na dół, pobawić się z nimi – powiedział.

– Bałyby się ciebie.

– Wcale nie. Byłbym ich przyjacielem.

– Mogłyby ci pogryźć.

– Byłbym dla nich miły, tatusiu.

Mocno trzymałem jego dłoń.

– Linie są pod napięciem. Gdybyś ich dotknął mogłoby ci zdrowo porazić. Pamiętasz jak się sparzyłeś patelnią? Pamiętasz jak to bolało?

– Myszy przechodzą przez tory.

– One biegają po podkładach, dlatego są bezpieczne. Szyny zrobione są z metalu i są pod napięciem. Myszy mogą się prześliznąć pod nimi, bo są małe. A ty nie.

– Uważałbym.

– A kiedy byś się próbował bawić, mógłby przejechać ci pociąg.

Pokazał jedną z nisz zostawionych w ścianie, żeby pracujący przy torach robotnicy mieli gdzie się cofnąć przed nadjeżdżającym pociągiem.

– Tam mógłbym się schować.

– To zbyt niebezpieczne – powiedziałem stanowczo.

Podniósł na mnie wzrok.

– Ja tylko mówiłem, co bym chciał, tatusiu – odezwał się cicho. – Nie bądź na mnie zły.

Musiałem go przytulić, żeby pokazać, że wcale nie jestem zły.

Nigdy nie wspominałem jego matce o tych „chętkach”. Wiedziałem, że do mnie miałaby pretensje, że nie opiekuję się odpowiednio jej synem. Dla niej najlepszą metodą było dać mu parę klapsów, gdy tylko zaczął mówić o zabawie z myszami i to wybiłoby mu ten pomysł z głowy. Zawsze mówiła „nie” nie podając powodu i nie dopuszczając do jakiegokolwiek dyskusji. Jemu. Mnie. Jej odpowiedzi były zawsze ostre i krótkie, a jeżeli jej styl ci nie odpowiadał... cóż, najlepszym rozwiązaniem było odejść. Albo zostałoby się wyrzuconym. Trudno powiedzieć, czy mi się przytrafiło to pierwsze czy drugie. Jedyne co wiedziałem, to że nie byłem mężem, którego ona potrzebowała czy chciała. I nieodpowiednim ojcem dla jej syna. Prawdopodobnie przez cały tydzień tłumaczyła Donny'emu, że wszystko co ja mu mówiłem w sobotę było złe. Zrobiło mi się żal chłopca. I siebie samego. Pewnego dnia zmusi go do dokonania wyboru między nią a mną i sądzę, że to ja będę tym, który przegra. Więc nie mówiłem mu „nie”, nie krzyczałem na niego i nie karałem go, ponieważ chciałem, żeby nasz wspólny czas był miły, żeby zostawił mnóstwo przyjemnych wspomnień nam obu. Za to mnie nienawidziła.

Od tego dnia zaczęliśmy kupować po dwie paczuszki orzeszków. Jedną dla Donny'ego, drugą dla myszy. Donny wyjaśnił ślepcowi wszystko bardzo dokładnie, a ten uśmiechnął się i wziął od nas dwie ćwierćdolarówki. Nie powiedział, i ja zresztą też nie, że służba porządkowa metra częściej raczej myszy truciźną i nie byłaby zachwycona tym, że ktoś je karmi.

Czasami miałem lekkiego stracha stojąc obok Donny'ego rzucającego orzeszki na tory. Rozglądałem się wiedząc, że mam zakłopotany wyraz twarzy, szukając wzrokiem jakiegoś gliniarza, który podejdzie znienacka, żeby walnąć nam wykład na temat stosowania się do przepisów. Wszędzie wokół wisiały oczywiście napisy informujące, że do wyrzucania śmieci służą kosze, ale ludzie zazwyczaj je ignorowali, ciskając na tory niedopałki, resztki śniadania w zgniecionych papierach czy przeczytane gazety. Ale Donny znał te napisy i wiedział, że jeżeli zobaczy policjanta, orzeszki zostaną w kieszeni. Mając siedem lat wiedział już, że nie chodzi o to, żeby nie robić rzeczy niedozwolonych, ale by nie dać się złapać.

Nim Donny skończył osiem lat zdążył już opowiedzieć ślepcowi o tym co robi przez cały tydzień, o szkole, o kolegach i o swojej matce. Ślepiec uśmiechał się nie mówiąc wiele w zamian, zachęcał tylko Donny'ego monosylabami, żeby ten paplał dalej. Powoli pogawędki te przestały mnie peszyć, już nie przestępowałem z nogi na nogę przeszkadzając mijającym mnie w pośpiechu ludziom. Miałem wrażenie, że znam go tak jak sprzedawcę w sklepie, w którym codziennie robiłem zaku-

py. A jednak, poza tym, że jest ślepy i sprzedaje w metrze orzeszki po dwadzieścia pięć centów za paczkę, nie wiedziałem o nim nic.

Ich ulubionym tematem były myszy. Donny z zapalą opowiadał co ostatnio zrobiły, jak gramoliły się przez kratkę wy ciągu lub uciekały z orzeszkami, a ślepiec potakiwał.

Gdy Donny po raz dziewiąty czy dziesiąty powiedział rozmazonym cichym głosem: „Chciałbym się z nimi pobawić”, ślepiec przechylił głowę na bok, tak jakby mógł go widzieć i zapytał:

– Naprawdę chciałbyś?

– O tak! Tak!

– No cóż, w takim razie może będę ci mógł pomóc.

Automatycznie pokręciłem głową, ale uprzymiśnawszy sobie, do kogo się zwracam, powiedziałem:

– Proszę nic chłopcu nie obiecywać, nie sądzę, żeby jego matce się to podobało.

Gdy odwrócił głowę w moją stronę, w jego ciemnych okularach błysnęły odbite światła tunelu.

– Nie musimy nic mówić jego matce – powiedział i znowu odwrócił się do Donny'ego.

– Czy umiesz zachować sekret, synu?

– O tak – powiedział Donny.

– A twój tata?

Donny spojrzał na mnie.

– Tatusiu, umiesz?

– To zależy – odpowiedziałem – nie, jeżeli to by było dla kogoś niebezpieczne. – Pomyśl, żeby Donny miał za bardzo zbliżyć się do myszy nie podobał mi się. Myszy są brudne, roznoszą choroby, nieraz nawet wściekliznę. Ostatecznie to nie są myszy laboratoryjne.

– Myszy mają bardzo ostre zęby.

– Nie ma żadnego niebezpieczeństwa – powiedział ślepiec.

Położyłem dłoń na ramieniu Donny'ego.

– Myślę, że musimy już iść, bo spóźnimy się na mecz.

– Ale tu chodzi o sekret, tato. Na mecz możemy pójść innym razem.

Spojrzałem na ślepcę.

– O czym pan mówi?

– Tutaj jest za dużo ludzi, żeby o tym rozmawiać, ale pokażę wam.

– Co chce nam pan pokazać i gdzie?

– Zobaczycie, kiedy tam dojdziemy. To nie jest daleko. Chcecie iść?

– Tatusiu, proszę.

– Gdzie to jest?

– Parę minut drogi stąd.

Spojrzałem na Donny'ego, widziałem, że aż się pali, żeby pójść ze ślepcem. Nie umiałem sobie wyobrazić, co ten chce nam pokazać. A właściwie mogłem wyobrazić sobie całą masę rzeczy, których jednak zdecydowanie nie chciałem pokazywać Donny'emu.

– A co to jest? – zapytałem. – Rodzaj prywatnej menażerii?

Pomyślałem o klatkach pełnych myszy, trzepakach gazet walających się dokoła, odpadkach i insektach.

– Obiecuję, że to będzie dla pana interesujące – powiedział ślepiec – i miłe.

Zmarszczyłem brwi, starając się przybrać surowy wyraz twarzy.

– A ile to kosztuje?

– Och tato, proszę.

Spojrzałem jeszcze raz na mojego syna. No cóż, nie musiałem oglądać tego meczu.

– No dobrze – zdecydowałem. – Jeżeli to nie jest daleko.

Ślepiec przewiesił sobie przez ramię jutowy worek, do którego wsunął składany stołeczek i pudełko po cygarach. Łaską wskazał kierunek.

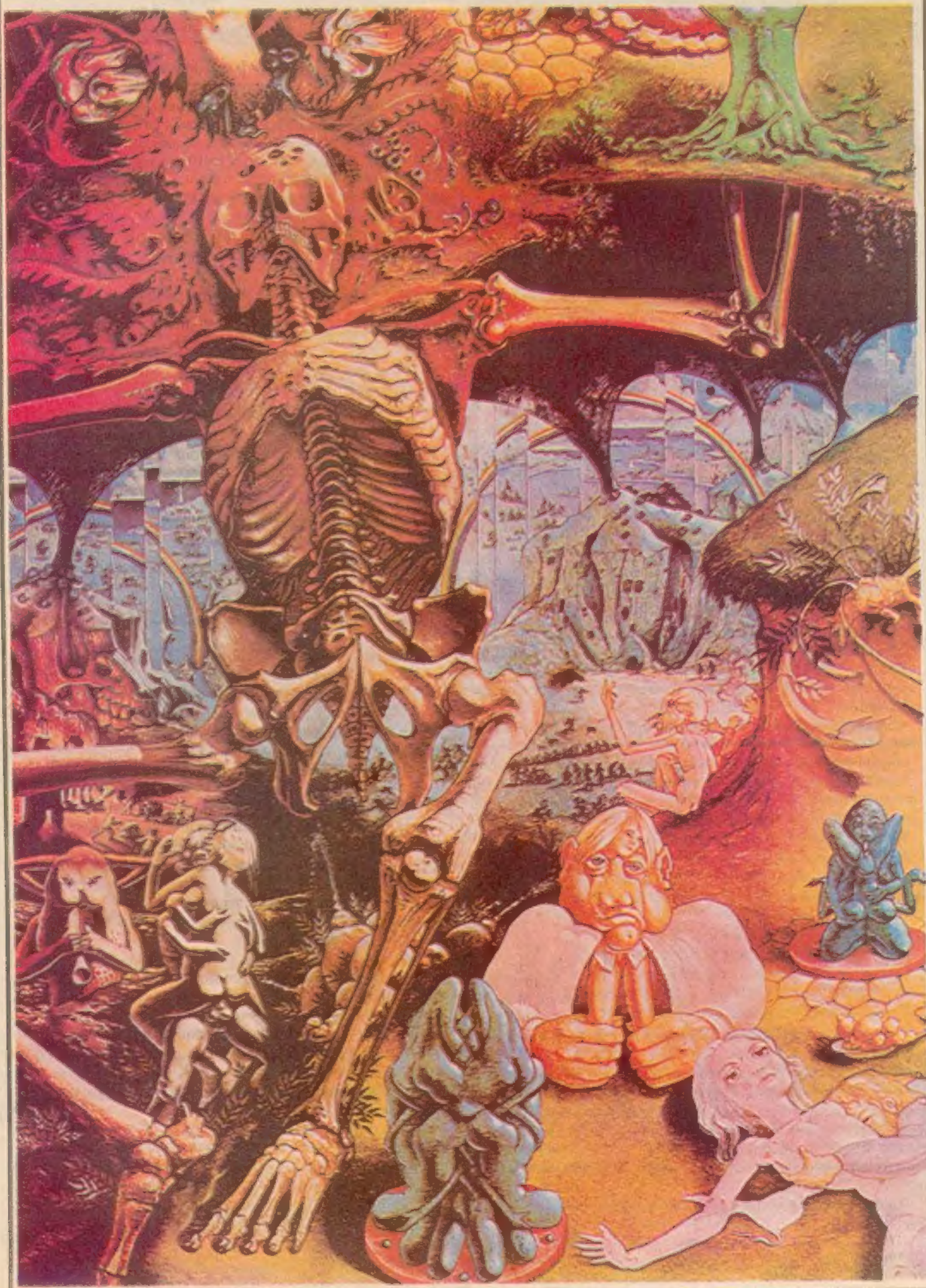
– Tędy – rażno ruszył wzdłuż tunelu, zataczając przed sobą łuki łaską. Godziny największego tłoku już minęły i przechodnie robili dla nas szerokie przejście. Po jakichś dwunastu jardach skręcił w prawo i zeszedłszy po wąskich schodach o kondygnację niżej.

Zejszcie było strone, trzymałem Donny'ego za rękę, żeby nie spadł. Światło także nie było najlepsze, gołe żarówki pokrywała gruba warstwa kurzu. Było tak mroczno, że sam nie wiedziałem, gdzie stawiam kroki. Schody prowadziły do innego, krótszego tunelu, na końcu którego znowu zaczynały się stopnie w dół. Ślepiec zatrzymał się przed nimi.

Na życzenie naszych Czytelników, na naszych łamach ponownie (patrz „Fantastyka” nr 3/88) gościmy Patricka Woodroffe’a. Oprócz prac przedstawiamy również kilka wypowiedzi artysty.

„W przeszłości używałem najchętniej natryskiwaczy i rapidografów i początkowo byłem nastawiony entuzjastycznie do nowych technik, ale z biegiem czasu przekonałem się, że tradycyjne metody są najlepsze. Teraz stosuję tylko je”.

Patric Woodroffe



– Trzymajcie się blisko mnie – powiedział. – Tutaj łatwo się zgubić.

Zeszliśmy w obszar przytłumionego światła. Mogła to być sala, ale nie widziałem ani ścian, ani sufitu. Zamiast tego była postrzępiona, poskręcana masa, częściowo biała, częściowo szara, gdzieś tam poznaczona plamami czerwieni, żółci i błękitu. Wyglądało to na sztywną substancję, jakby połamane płyty styropianu, czy ciągnący się bezkresny zwal rzeźb. Jakby podarta i pognieciona tektura imitująca dżunglę, a wszystko to półprzezroczyste, rozproszone i oblane łagodnym światłem dobywającym się z niewidocznego źródła.

Przed nami stała otworem przestrzeń, której sufit, podłogę i ściany stanowiło to coś. Ślepiec zrobił krok i jego stopy z szelestem zapadły się po kostki. Wskazał, żeby iść za nim. Ja ugrzązłem także. Szło się, jak po hałdzie poduszek, zdradzieckiej i niszczącej zmysł równowagi. Poczułem, że się potykam, a kiedy sięgnąłem w stronę ścian, żeby się podeprzeć, ta także uciekła mi z rąk. Upadłem.

Gdy stanąłem znów na własnych nogach ślepiec zniknął.

– Myślę, że powinniśmy byli pójść na mecz. To nie wygląda wcale interesująco.

Donny popchnął jedną ze ścian, a ta szeleszcząc ugięła się pod jego palcami.

– Myślę, że jest to coś w rodzaju grotu – powiedział; widział rysunki grot. Pociągnął mnie za ramię. – Chodźmy, tatusiu, zobaczmy co tam jest dalej.

Obejrzałem się. Byliśmy tylko o parę kroków od schodów. Zastanawiałem się, co podtrzymywało cały ten materiał i czy mógł się on w każdej chwili na nas zważyć. Z drugiej jednak strony ślepiec poszedł naprzód, nie obawiając się niczego. A oczywiste było, że odwiedzał to miejsce nie po raz pierwszy. Pozwoliłem Donny'emu pociągnąć się dalej. Posuwaliśmy się wzdłuż tunelu o nieregularnym kształcie, wznoszącym się, opadającym, zmieniającym kierunek – ścieżka tortur przez zwariowany las. Czulem się tak, jakbyśmy znaleźli się w opuszczonym wesolym miasteczku. Starannie stawiałem kroki, ale i tak ślizgałem się i zataczałem, po pełnej pułapek podłodze. Za to Donny'emu poruszanie się tutaj przychodziło z łatwością, może dlatego, że jego mała waga chroniła go przed tak głębokim zapadaniem się. Doszliśmy do rozwidlenia tunelu.

– Którędy pójdziemy, tato? – zapytał Donny.

– Nie wiem. Nie widzę żadnych znaków. – Spróbowałem zawołać: – Halo!

– Hej – doszedł nas głos ślepca. – Skręćcie w prawo. Czekamy na was.

Donny pociągnął mnie za rękaw, ale ja nie ruszyłem się. My?

Nagle poczułem się niepewnie. Jeżeli nawet nic innego, to mógł nam tu grozić pożar. Gdyby nagle to wszystko zaczęło się palić, to znalezienie powrotnej drogi byłoby piekielnie trudne. I kto mógł tam na nas czekać?

Ostatecznie, wcale nie znaliśmy tego ślepego człowieka, nie wiedzieliśmy nawet jak mu na imię. Nic nie stało na przeszkodzie, żeby on i jego kumple ogłuszyli mnie i zostawili tu, gdzie nikt by mnie nie znalazł, poza być może myszami. A Donny? Co zrobiliby z Donnym?

– Chodźcie – zawołał ślepiec.

Donny puścił moją rękę i pobiegł w stronę głosu.

– Hej! – wrzasnąłem i ruszyłem za nim. Ale w tym zwariowanym tunelu on był szybszy. Zniknął za rogiem i słyszałem już tylko szuranie jego nóg po podłodze.

– Donny? – krzyknąłem. I wtedy skręciłem za ten sam róg i zobaczyłem go.

Stał ze ślepcem i jakąś kobietą pośród dużej, otwartej przestrzeni. Kobieta wydawała mi się ładna, nieco może starsza od Sheili i nieco pełniejsza. Ubrana była w dżinsy i bluzę. Widziałem jak wyciąga dłoń do Donny'ego, a on z uśmiechem potrząsa nią. Wtedy spojrzała na mnie.

– Witamy – odezwała się. – Tak wiele styszeliśmy o was obu.

– Cześć – odpowiedziałem. – My za to nie wiemy o tobie nic.

– Nie, oczywiście że nie. Wilbur jest w tym bardzo dobry.

– Wilbur?

Skinęła głową w stronę ślepca.

– Już od dawna jest naszym przyjacielem.

– Kim jesteś? – zapytałem. – I co to za miejsce?

– Czy nie mielibyście ochoty czegoś zjeść?

Donny obejrzał się na mnie.

– Jestem głodny, tatusiu.

Gdybyśmy poszli na mecz, zdążyłby już spałaszować hot doga i lody.

– Dobrze – zgodziłem się.

Klasnęła w dłonie trzy razy i po chwili do pomieszczenia, w którym się znajdowaliśmy, weszło troje ludzi niosąc nakryte tace.

Położyli je na ziemi, przyciskając mocno, żeby pozostały poziome i stabilne. Potem wyszli.

– Jedzenie tutaj jest sztuką – powiedziała kobieta siadając po turecku na podłodze. – Nie opierajcie się o tace i nawet nie przysuwajcie zbyt blisko, bo się przewrócą. – Pokazując nam jak to robić, odchyliła się do tyłu i wyciągnęła jedną rękę, żeby zdjąć przykrycie z najbliższej tacy. Leżały na niej surowe jarzyny. Wybrała marchewkę. Na pozostałych tacach był chleb, sałata, platy kurczaka. Ostrożnie robiliśmy sobie kanapki.

– Wilbur obserwował was już od dłuższego czasu – odezwała się. – Musiał się upewnić, czy jesteście odpowiednimi ludźmi.

– Jacy muszą być ludzie, żeby być odpowiednimi? – zapytałem.

Spojrzała na Donny'ego.

– Ty jesteś.

Uśmiechnął się.

– Dziękujemy za komplement – powiedziałem. – Przynajmniej przypuszczam, że to miał być komplement. Ale o d p o w i e d n i ludzie do czego?

– Prowadzimy tu na dole bardzo przyjemne życie – odpowiedziała. – Dobre jedzenie, miłe towarzystwo. Będzie się wam tu podobało.

Musiałem się uśmiechnąć.

– A ile płacą za udział w takim eksperymencie?

Potrząsnęła głową.

– Ja nie żartuję.

– Nie rozumiem o czym mówimy.

– To nie jest praca – odpowiedziała. – To życie. Proponuję, żebyście się do nas przyłączyli. Jest tu dość miejsca dla was obu.

– Gdzie?

– Tutaj. Właśnie tutaj.

Rozejrzałem się przyglądając uważnie zwariowanej rzeźbie, wewnątrz której siedzieliśmy.

– Ty tutaj żyjesz?

– Tak.

– Wewnątrz tego?

– To jest bardzo duże. Jeżeli ktoś tego pragnie, może tu znaleźć spokój.

– Tutaj wewnątrz? Nie wierzę. Przecież jesteście pod ziemią. Czy to są jakieś magazyny?

– Coś w tym rodzaju.

– Czy to jest w ogóle legalne?

– Policja nie zawraca nam głowy.

– Ale czy oni wiedzą, że tu jesteście?

– Tak. Oczywiście.

W tym momencie w jednym z wejść do pomieszczenia pokazały się cztery młode twarze. Ich właściciele chowali się za ścianę. Kobieta usłyszawszy hałas odwróciła głowę i gestem zaprosiła ich do środka.

– Wejdźcie – powiedziała – nie wstydźcie się.

Ruszyli naprzód popychając się nawzajem. Było to trzech chłopców i jedna dziewczynka. Obieśli kobietę jak małe psiki mówiąc wszyscy naraz tak szybko, że ledwo mogłem cokolwiek zrozumieć.

Tak – odpowiedziała śmiejąc się. – Jeżeli tylko on ma ochotę.

Spojrzała na Donny'ego.

– Czy chciałbyś pobawić się z moimi dziećmi?

Donny wepchnął resztkę kanapki do ust i gwałtownie pokłusował głową. Potem spojrzał pytająco na mnie. Nie wiedziałem co powiedzieć.

– To pozwoli nam porozmawiać – powiedziała kobieta.

Nie miałem ochoty go puszczać, ale on tak bardzo tego

chciał, a te dzieci miło się uśmiechały... to były czyste dzieci, starannie ubrane i nie bardziej hałaśliwe niż inne, gdy poznają nowego kolegę.

– Proszę, tato – powiedział Donny.

Kiwnąłem głową na zgodę i cała piątka wybiegła razem. Jeszcze przez pewien czas dobiegał mnie ich śmiech, a potem nie już nie słyszałem.

Odwrociłem się w stronę kobiety.

– O czym mamy rozmawiać?

– Jesteście tu mile widziani – odpowiedziała.

– Co to za miejsce. Komuna?

Kiwnęła potakująco głową.

– Nic o tobie nie wiem. Nie powiedziałaś nawet jak ci na imię.

– Clarissa.

Wskazałem ślepca.

– Czy on też tu mieszka?

– Nie – odpowiedziała. – Wilbur jest szczęśliwy na zewnątrz.

– Na zewnątrz – powtórzyłem.

– Jest naszym łącznikiem. My stąd nie wychodzimy, ale on tak.

– Nie wychodźcie na zewnątrz?

– Nigdy.

– Nigdy nie opuszczacie tego miejsca?

– Nie wychodzimy spod ziemi.

– Aż trudno w to uwierzyć. Gdzie zdobywacie jedzenie, ubranie? Skąd macie pieniądze?

– Nie używamy pieniędzy. A jedzenie nam przynoszą.

Spojrzałem na nią podejrzliwie.

– Co to jest? Jakaś sekta religijna?

– Nie.

– Więc... dlaczego nie wychodzicie? Boicie się słońca, czy coś w tym rodzaju?

Uśmiechnęła się.

– Nie, nie boimy się słońca. Ale wszystko czego potrzebujemy jest tutaj. I nie mamy po co wychodzić na zewnątrz. I nie chcemy. A ty chcesz?

– Oczywiście, że tak. Tam mam swoją pracę. I swoje życie.

– Czy to jest dobra praca?

– Bardzo dobra.

– Lubisz ją?

– Wystarczająco.

– I wystarczająco lubisz życie, które tam prowadzisz?

– Nie chciałbym go zostawić dla... dla tego.

Odchyliła się do tyłu zapadając w podłogę jak w miękką kanapę.

– Ja też na początku tak myślałam. Ale po tym jak przyszedłam tu parę razy, stwierdziłam, że będę szczęśliwsza opuszczając swoją pracę, ludzi i dokuczliwość życia tam na górze. Odpowiedzialność. Wymagania. Miałam męża... ale byłam zadowolona zostawiając go. Tutaj na dole jest spokojnie. Lubię to.

Rzuciła mi spojrzenie spod oka.

– Przemyśl to. Nie musisz się decydować teraz.

– I nie mam zamiaru – odpowiedziałem. – Nie chcę zostawiać wszystkiego, żeby mieszkać z wami. Niezależnie od tego, ile was tu jest.

– A jest całkiem sporo – powiedziała. – Ale miejsca mamy jeszcze więcej.

– I to jest miłe życie?

– Bardzo.

– Ale Wilbura o tym nie przekonaliście.

Ślepiec uśmiechnął się.

– Ja przed niczym nie uciekam.

– Cóż, ja także nie.

Kobieta uśmiechnęła się.

– Ale nieźle jest wiedzieć, że istnieje miejsce, dokąd zawsze można pójść.

Potrząsnąłem głową.

– Przykro mi, ale życia pod ziemią nie mogę traktować jako takiej możliwości. To wariactwo. To musi być nielegalne...

– Nie dla myszy – odrzekła.

Gapilem się na nią.

– A co myszy mają z tym wspólnego?

– My jesteśmy myszy.

Roześmiałem się niepewnie.

– Myślicie o sobie jako o myszach?



Skinęła głową.

– To jest gniazdo myszy. Zrobione ze zgniecionych papierowych toreb, starych gazet i innych śmieci, wyrzucanych przez ludzi na tory.

– O czym ty mówisz?

– Jestem myszą – odpowiedziała. – Tak naprawdę, to jestem człowiekiem, ale dla ludzi jeżdżących metrem jestem myszą. Widziałeś nas na torach.

Wolno pokręciłem głową.

– Jesteś niezłym łgarzem, nie?

– Nie.

– Śmieszne, nie wyglądasz jak mysz.

– Wyglądam – powiedziała. – Kiedy chcę.

Uczucie niepewności powróciło. Już prędzej bym sobie umiał poradzić z włóczęgami niż z czymś takim. Zerknąłem na ślepca zastanawiając się, czy i on jest równie szalony jak ta kobieta. W tym momencie bardzo chciałem być razem z Donnym i jak najszybciej odejść z nim z tego miejsca. Ale pozwoliłem im odebrać sobie Donny'ego.

– Nie bój się – powiedziała kobieta, jakby czytając mi w myślach. Chociaż to co czułem, malowało się na pewno całkiem wyraźnie na mojej twarzy.

– Nie zrobimy ci nic złego. Nie jesteśmy szaleńcami. Prawdę mówiąc możemy być najbardziej zdrowymi na umyśle ludźmi na świecie. Nie mamy żadnych bolączek.

Przeciągnęła się ospale, a potem opuściła ręce.

– Potrzebny jest jedynie odpowiedni rodzaj iluzji – powiedziała – i wszystkie zmysły można oszukać: wzrok, zapach, dźwięk, wszystko. Ukradzioną tabliczką czekolady może się zmienić w wystawną kolację. Myszy w ludzi. I ludzie w myszy – gdy patrzyłem, jej kształty zaczęły się zmieniać. Ramiona i nogi chudły, a tors stawał się grubszy, głowa spłaszczająca się, twarz wyciągała w pyszczek. Jej ubranie zmieniało się w szare futro, a z kręgosłupa wyrósł jej długi, cienki ogon. Była myszą – myszą wielkości człowieka, całą pokrytą futrem, o bystrych oczach.

Opuściła się na cztery łapy i powoli zrobiła krok w moim kierunku. Cofnąłem się. Otworzyła pyszczek ukazując ostre siekacze, ale odezwała się ludzkim głosem.

– Nie zranię cię, nie masz się czego obawiać.

Zamknęła pyszczek chowając zęby i podeszła bardzo blisko. Siedziałem napięty, gotowy do ucieczki i jednocześnie sparaliżowany, zafascynowany transformacją, której świadkiem byłem przed chwilą. Podeszła tak blisko, że aż musnęły mnie jej drgające wasy. Były jak z grubego drutu.

Przyłożyła pyszczek do mojej twarzy – zimny i wilgotny, i polizała mój policzek. Położyła mi łapy na ramionach i przyciągnęła mnie do siebie. Jej futro było gładkie i połyskliwe.

– Widzisz – szepnęła – nie ma się czego bać.

Znowu mnie przytuliła, a potem usiadła bardzo blisko mnie, zostawiając mi łapę na kolanach. Jak pies. Jak wielki colli.

– To bardzo miłe – powiedziała – być myszą.

W jakiś sposób udało mi się wydobyć głos.

– Ale nie jesteś naprawdę myszą. To znaczy jesteś za dużą, żeby być myszą.

– Nie – odpowiedziała. – Jestem wielkości myszy. I ty także. Masz w tej chwili cztery cale wzrostu.

– To śmieszne. – Uśmiechnąłem się.

– Nie ma w tym nic śmiesznego.

– Zahipnotyzowałaś mnie.



„W zasadzie efekt ostateczny, który chcę osiągnąć jest nieosiągalny przy stosowaniu jednej warstwy farb. W większości obrazów zawsze patrzy się przez zewnętrzną warstwę na podkład. Najlepsze błękity wychodzą zawsze wtedy, kiedy spod warstwy niebieskiej farby prześwieca biel. Więc jeśli zmieszasz, powiedzmy, błękit kobaltowy i biel, otrzymasz całkiem niezły błękit, ale będzie on »brudny«. Lecz jeśli nałożysz ten sam błękit kobaltowy na istniejącą już błękitną lub białą powierzchnię, uzyskana barwa będzie o wiele intensywniejsza. Używając dwóch warstw można także uzyskać interesujący efekt stosując barwy dopełniające i przeciwstawne. Można używać jasnej czerwieni i błękitu tuż obok siebie, bez żadnej możliwości zmieszania ich

Patric
Woodroffe



- Niezupełnie.
- Tak, zrobiłaś to i mnie się to nie podoba. Chcę odejść.
Gdzie jest mój syn?
- Bezpieczny – odpowiedziała.
- Chcę, żeby tu zaraz przyszedł.
- Nie będzie chciał stąd odejść. Dzieci uwielbiają życie tutaj.

- Nie obchodzi mnie, czy będzie chciał. Pójdzie ze mną do domu, nawet gdybym miał przetrząsnąć całe to miejsce, żeby go znaleźć – zepchnąłem jej łapę z moich kolan i wstałem chwiejąc się zanim uchwyciłem równowagę.

- Dzieci uwielbiają życie tutaj – powtórzyła mysz, która była kobietą. – Szybko się adaptują.

- Chcę mojego syna.

Spojrzała na mnie, stanęła na swych tylnych nóżkach i przeszła transformację w drugą stronę. Mysz przeistoczyła się znowu w kobietę, a futro w dzinsy i bluzę. Skrzyżowała ręce na piersi.

- A więc dobrze – powiedziała. Klasnęła cztery razy w dłonie i w parę chwil później zobaczyliśmy pięcioro roześmianych dzieci, z których jedno było moje

Donny bez tchu rzucił się w moją stronę.

- Chodź zobaczyć skarby piratów – wykrzyknął.

Wzięłem go za rękę.

- Teraz idziemy do domu, Donny.

Jego twarz wyciągnęła się, uśmiech zamarł.

- Czy musimy?

- Tak. Robi się późno.

Twą wykrzywiła mu się i przez chwilę wyglądał, jakby miał się rozpłakać. Ale opanował się i zapytał tylko cichym głosem bez wyrazu:

- Ale wrócimy tu niedługo, prawda?

Odwrócił się w stronę czwórki dzieci i pomachał do nich ręką.

- Do zobaczenia.

Popchnąłem go w kierunku tunelu, którym tu przyszliśmy. Ślizgając się i potykając kierowaliśmy się w stronę zewnętrznego świata. Dopiero kiedy dotarliśmy do pierwszych schodów, zorientowałem się, że ślepiec idzie za nami.

- Potrzebujecie mnie – zawołał.

Gwałtownie odwróciłem się w jego stronę.

- Po co?

- Nie możecie wydostać się beze mnie. Ja mam klucze.

Nie zauważyłem żadnych drzwi.

Uśmiechnął się.

- No dobrze, to idźcie dalej... idźcie beze mnie.

Poszliśmy więc, ale gdy doszliśmy do szczytu drugich schodów, stanęliśmy przed gładką ścianą. Gdy zastukałem w nią, odpowiedział mi głuchy odgłos muru. Ślepiec stał na dole.

- Zgoda, miałeś rację – powiedziałem. – Jak stąd wyjść?

Wydawało mi się, że wspinając się po schodach patrzy prosto na mnie.

- Oni nie chcieli was uwięzić. Ci, którzy do nich dołączają, robią to dobrowolnie.

- Więc gdzie jest wyjście?

Przyłożył dłoń do ściany.

- Wy naprawdę jesteście teraz rozmiarów myszy. Dorosły człowiek nie zmieściłby się tutaj.

- Tak, tak, oczywiście.

- Niektóre z nich są naprawdę myszami. Po pewnym czasie można się nauczyć je rozróżniać.

Donny pociągnął mnie za rękaw.

- Troje z tych dzieci, to były myszy. Pokazali mi je. Powiedzieli, że jeżeli będę chciał, też mogę być myszą.

Spojrzałem na niego.

- Ludzie to nie myszy.

- Ależ tatusiu. Jak w „Kopciuszku”.

- To była tylko bajka, Donny.

- Ale ja to widziałem.

Spojrzałem na Wilbura.

- Wyprowadź nas stąd.

Zastukał w ścianę, która stała się mgłą. Widziałem przez nią ludzi idących tunelem. Im bardziej tłum gęstniał, tym mgła zdawała się rzadsza, aż wreszcie zupełnie zniknęła.

- Idźcie – powiedział ślepiec.



Ruszyliśmy przed siebie. Kiedy odwróciłem się, żeby podziękować naszemu przewodnikowi za przygodę, już go tam nie było, a w ścianie tunelu widać było tylko ciemniejsze wgłębienie, w którym nie było żadnych drzwi. Poczulem zimno biegnące mi po plecach i zacząłem iść, ciągnąc Donny'ego za sobą. Gdy doszliśmy do końca tunelu, zerknąłem na zegar ścienny, potem nie wierząc własnym oczom na mój zegarek. Wyglądało tak jakby oba stanęły. Okazało się, że mamy mnóstwo czasu, żeby zdążyć na mecz. Zatrzymałem się koło kiosku z gazetami, żeby zapytać o godzinę. Sprzedawca podał tę samą, którą pokazywały zegarki.

- Tatusiu, jestem głodny – odezwał się Donny.

- Ale przecież dopiero co zjadłeś duży lunch.

- Wiem, ale jeszcze jestem głodny.

Ja także miałem ochotę coś zjeść. Bajkowe posiłki, pomyślałem, nie wystarczają w realnym świecie.

Tak więc poszliśmy na mecz, zjedliśmy hot dogi i nie rozmawialiśmy już o miejscu pod ziemią.

Nie wiedziałem, co o tym wszystkim myśleć. Nie chciałem o tym myśleć. Wydawało mi się, że najlepiej zignorować to całe wydarzenie, potraktować jak dziwny sen. Ale Donny nie miał zamiaru na to pozwolić. Następnego soboty, kiedy jego matka przywiozła go do mnie, pierwszą rzeczą, o którą poprosił, była wizyta u myszy.

- Tych, które mieszkają w śmiesznym miejscu, całym zrobinym z papieru.

- Czy opowiadałeś o nich mamie? – zapytałem.

Skrzywił się jakby ugryzł cytrynę.

- Ona nigdy by nie zrozumiała. A poza tym to jest sekret, pamiętasz? Czy ty opowiadałeś o tym komuś?

- Nikomu. Oczywiście, że to jest sekret. – Zmarszczyłem brwi. – Nie sądzę, żebyśmy powinni je dzisiaj odwiedzać. Naprawdę nie mamy czasu. Pójdziemy do zoo – mają tam dwa nowe lwiątko.

- Tatusiu, tylko na chwilę. To było takie fajne.

- Dzisiaj nie, Donny. Może w przyszłym tygodniu.

Spojrzał mi w oczy.

- W przyszłym tygodniu? Przyrzekasz?

- Jest tyle innych rzeczy, które możemy robić!

- Przyrzeknij, tato. Ty dotrzymujesz obietnic.

- I właśnie dlatego ci nie obiecuję, Donny. Nie wiem, kiedy znowu będziemy mogli zobaczyć te... te myszy. Jeżeli w ogóle.

- Dlaczego?

Zacząłem gorączkowo szukać najlepszej wymówki, ale nic nie przychodziło mi do głowy i wreszcie po prostu powiedziałem prawdę.

- Ponieważ ludzie, którzy zamieniają się w myszy, przerażają mnie.

Wziął mnie za rękę i mocno ją trzymał.

- Nie powinienes się ich obawiać, tatusiu. One nie zrobią ci nic złego.

Ukucnąłem koło niego.

- Czy jesteś tego pewien?

- Są miłe. Nie skrzywdziłyby nikogo. Proszę, odwiedzmy je znowu. To jest cudowne miejsce i te dzieci-myszy opowiadały mi, że jest tam tyle miejsc do zbadania, tyle rzeczy do znalezienia. Ostatnim razem odkryliśmy skarby piratów – klejnoty, srebro, złoto. To było takie fajne!

Potrząsnąłem głową.

– Nie wiem, Donny. Porozmawiamy o tym innym razem, dobrze? Mam całą masę pomysłów...

Zwiesił głowę.

– Dobrze, tato. Jeżeli tak chcesz.

Poszliśmy do zoo. Wydawało mi się, że był zadowolony.

Następnego dnia dowiedziałem się o czymś, co Sheila trzymała dotąd przede mną w tajemnicy. Zatelefonowała. Przenosiła się na Zachodnie Wybrzeże i zabierała Donny'ego ze sobą. Tam czekał na nią narzeczony, nowy ojciec dla jej syna, który znowu będzie miał pełną rodzinę. Sąd zaaprobował to. Ja mogłem go mieć przez parę tygodni w lecie, jeżeli zapłacę za jego bilet lotniczy.

Następnej soboty Donny był przygnębiony. Wiedział, że ja już wiem.

– Wszystko będzie w porządku – mówiłem, kiedy szliśmy trzymając się za ręce w stronę metra. Wybieraliśmy się do muzeum, jak wiele razy przedtem. – Będziesz lubił swój nowy dom. Tam jest zawsze piękna pogoda.

Spojrzał na mnie.

– To nie jest w porządku, prawda? Nie powinna mnie zabierać tak daleko?

– Stara się zrobić to, co dla ciebie najlepsze. Kocha cię.

– Ale ty kochasz mnie także.

– Wiesz, że tak.

– Przyjedziesz mnie odwiedzić?

– Jakoś to ułożymy.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

Zeszliśmy na dół do metra i kupiliśmy orzeszki u ślepego sprzedawcy. Donny stał przez dłuższą chwilę patrząc w milczeniu. A ślepy Wilbur wiedział, czuł, że coś się zmieniło.

– Czy stało się coś złego? – zapytał.

Donny wsunął orzeszki do kieszeni.

– Wyjeżdżam – odpowiedział. – Już nie będę tutaj więcej przychodził. Moja mama zabiera mnie stąd.

– Mhm – mruknął ślepiec.

W tym momencie Donny odwrócił się, wziął mnie za rękę i weszliśmy w falujący tłum. Ale on szedł szybciej niż ja, zbyt szybko, zgubił moją dłoń i zniknął pomiędzy spieszącymi się ludźmi. Zawołałem jego imię, podskoczyłem usiłując go zobaczyć w tłumie między ludźmi. Przede mną zatrzymał się wagon metra. Przebiegłem przez niego na drugi peron, wołając. Nie było go tam.

Biegłem z powrotem do tunelu, szukając ślepca. Jego też nie było. Nie było orzeszków ani pudełka po cygarach, ani stołka. Wszystko zniknęło. Znowu zacząłem biec. Co innego mogłem zrobić? Znalazłem policjanta, on zawołał paru innych, przeszukali metodycznie całą stację. Nie znaleźli go. Zasugerowali porwanie. Ogłoszono więc, że jest poszukiwany. Cóż było robić, musiałem zadzwonić do Sheili i wysłuchać jej wrzasków, skierowanych przeciwko mnie. Zawsze wiedziała, że to się stanie, powiedziała. Zawsze. Wkrótce potem policja aresztowała mnie pod zarzutem uprowadzenia dziecka. Zaczęły się spotkania w sądzie i z prawnikami, ale nikt nie mógł mi nic powiedzieć. Nikt nigdy nie wystąpił o okup. Nigdy nie znaleziono ciała. Sheila wreszcie przeprowadziła się na Wybrzeże wraz ze swoim nowym mężem. On także był wściekły, ale tylko ze względu na nią. Sam miał parę dzieci z poprzedniego małżeństwa i mógł sobie darować pasierba.

Oczywiście wiedziałem, gdzie jest Donny. Chociaż, kiedy tamtędy przechodziłem, we wgłębieniu muru widziałem tylko pustą ścianę. Wiedziałem. Ale jak miałbym to komuś powiedzieć: mój syn zamienił się w mysz? Nie.

Wreszcie wszystko się uspokoiło. Sheila wyjechała, policja przestała za mną łazić i życie wróciło do poprzedniej rutyny. Poza sobotami. Nadal codziennie przechodziłem, idąc do pracy, obok ślepego sprzedawcy orzeszków.

Był tam przez cały czas, nie opuszczał swego miejsca żadnego dnia. Czasami zatrzymywałem się, żeby kupić paczkę. Mówiłem mu dzień dobry. Poznał mnie. Patrzył w moją stronę w specjalny sposób, tak jakby wiedział i czekał aż coś powiem, coś zrobię. Ale ja nie robiłem nic, nic w czasie, kiedy byłem obserwowany, i jeszcze przez długi czas po tym. Ale nadszedł dzień, sobota, kiedy wybierałem się samotnie na mecz, dzień,

w którym tłum nie był tak gęsty jak zazwyczaj, kiedy zatrzymałem się, żeby kupić orzeszki i odezwałem się.

– Chciałbym go zobaczyć.

Ślepiec uśmiechnął się.

– On zawsze pyta o pana,

– Dzisiaj? – zapytałem. – Teraz?

– Myślę, że to się da zrobić.

Drzwi i schody, tunel, kolejne schody były tam gdzie wtedy i nagle znaleźliśmy się w masie skręconego papieru, który był rajem myszy-ludzi. Poczułem się zagubiony idąc przez ten niby las. Ścieżka wydawała się nieznajoma, skręcając i zmieniając kierunek w zaskakujących momentach, jakby całe to miejsce zostało przebudowane, kiedy mnie tu nie było. Otwarta przestrzeń na końcu też wyglądała inaczej – teraz była długa i wąska. W dalszej części pomieszczenia podłoga wznosiła się, a na podwyższeniu stały dwa leża, wyglądające na wygodne, wyścielone jakimś miękkim materiałem, o niskich oparciach i zaokrąglonych bokach. Wyglądały w tym miejscu niestosownie – meble pośród zgniecionego papieru. Jedno z nich zajmowała młoda kobieta – śliczne stworzenie o bladej skórze i długich blond włosach. Miała na sobie lśniąca, niebieską sukienkę i masę biżuterii, złota, klejnotów – pirackich skarbów. Na drugim leżał młody mężczyzna, silny i muskularny, ubrany w strój z czerwonego aksamitu. Na głowie miał złotą koronę. Wyglądał znajomo. Patrząc na niego widziałem twarz, którą oglądałem codziennie w lustrze.

Przypominałem sobie posiłek, który zjedliśmy tu kiedyś nie tracąc wcale czasu. Zewnątrz nie go czasu.

Wstał, zbliżyłem się. Poznał mnie od razu.

– Tatusiu – odezwał się miękko.

Spróbowałem się uśmiechnąć. Mój głos drżał nieco, kiedy wreszcie odezwałem się.

– Cześć, Donny.

Wyciągnął rękę. Ucisnąłem ją. Męską dłoń, nie małą łapkę, którą znałem. Trudno było uwierzyć, że nie ma już mojego małego chłopca, a jego miejsce zajął ten mężczyzna. A potem on objął mnie i ja jego i było to dziwne, bardzo dziwne, że jego ręce sięgały wokół mnie. Wreszcie przestaliśmy się ścisnąć i przyjrzałem się koronie na jego głowie.

– Czy jesteś tutaj królem?

Uśmiechnął się szeroko, zdjął koronę i powiesił na oparciu łóża.

– To coś w rodzaju gry – powiedział. – Niektórzy młodzi ludzie tutaj bawią się w nią. W każdym razie to oczywiście iluzja. Ta korona to metalowy krążek od puszeki.

Wskazał w kierunku kobiety nadal siedzącej na drugim miejscu i przyglądającej się nam wielkimi, ciemnymi oczyma.

– To jest Mila, moja przyjaciółka.

– Witaj Milu – powiedziałem.

– Ona jest prawdziwą myszą – wyjaśnił Donny – więc nie mówi. Ale jaka piękna z niej dziewczyna.

Przyglądałem się jej, próbując wyobrazić sobie tę smukłą postać jako okrągłą, szarą mysz, ale nie udawało mi się to. Nie poprosiłem go też, żeby rozwił iluzję. Nie byłem na to przygotowany.

– Czy przyszedłeś, żeby z nami zostać? – zapytał Donny. – Będzie ci się tu podobało. Ludzie są cudowni. Myszy też.

Popatrzyłem na niego. Wydawało mi się, że widzę w nim zrazem dziecko i dorosłego, syna i kogoś obcego.

– Ile czasu minęło dla ciebie, Donny – zapytałem.

– Prawie dwadzieścia lat.

Pokręciłem głową.

– Dla mnie tylko dwa.

– Starali się mi to wyjaśnić zaraz jak tylko tu przyszedłem, ale nie rozumiałem aż do dnia, kiedy zauważyłem, że Wilbur się wcale nie starzeje. Wtedy zrozumiałem, dlaczego nie przychodzisz mnie odwiedzać.

– Staralem się ciebie chronić – powiedziałem. – Policja mnie obserwowała. Oni myśleli, że to ja... zrobiłem coś z tobą.

Spuścił wzrok.

– Tak mi przykro, tato. Nigdy nie chciałem, żebyś miał przeze mnie jakieś kłopoty.

Łagodnie zapytałem:

– Dlaczego to zrobiłeś, Donny? To było okropne dla twojej matki.

– Nie powiedziałeś jej?

- Jak bym mógł?
Wzruszył ramionami.

- Nie wiem, czy potrafię wytłumaczyć, co wtedy czułem. Szarpany w dwóch kierunkach. Bezradny. Naprawdę kochałem was oboje. Wierzysz mi?

Kiwnąłem głową.

- I bałem się. Wszystko układało się nie tak. To była jedyna droga ucieczki, nie widzisz?

Patrząc na niego pomyślałem, że rozumiem. To była naprawdę nasza wina, Sheili i moja, bo żadne z nas nie chciało z niego zrezygnować.

- Opowiedz mi o tych dwudziestu latach - powiedziałem. Tak wiele mieliśmy do nadrobienia.

Spędziliśmy razem parę godzin, chociaż na moim zegarku minęło tylko kilka minut. Opowiedział mi o swoim życiu, swoich przyjaciółach, zarówno myszach, jak i ludziach. Wielu z nich dołączyło do nich później niż Donny, a niektóre kobiety miały dzieci, ale ich ludzka populacja ciągle była niewielka i byli bardzo szczęśliwi, gdy przybywał ktoś nowy. Zaakceptowali tylko kilka prawdziwych myszy, swoich ulubieńców. Jedynym niebezpieczeństwem dla wszystkich była trutka od czasu do czasu podrzucana przez pracowników służb sanitarnych, ale ich pojawianie się było tak jawne, że przynajmniej ludzie nie mieli trudności z uniknięciem groźby. Pod ziemią było mnóstwo bezpiecznego jedzenia. Wszyscy po kolei wychodzili na peron jako myszy i płądowali. Na zewnątrz czas biegł dla nich inaczej, więc zawsze musieli się spieszyć, nie chcąc, żeby przyjaciele czekali na nich zbyt długo.

- Z brzegu gniazda - powiedział - można zobaczyć pociągi poruszające się w zwolnionym tempie. Bardzo wolno. Ale nie słyszy się ich. Mówili nam, że dźwięk jest zbyt niski dla naszych uszu.

Kto wam mówił?

- Mamy tutaj paru bardzo mądrych ludzi. Dali mi całkiem nieźle wykształcenie.

Trochę zażenowany wziąłem go za ramię.

- Na zewnątrz mogłeś otrzymać lepsze. Dlaczego nie wrócisz ze mną?

Spojrzał na mnie zdumiony.

- Chcesz wracać?

- Oczywiście.

- Tato, podobałoby ci się tutaj. Dlaczego nie zostaniesz?

Potrząsnąłem głową.

- To nie dla mnie. Tu jest zbyt... inaczej. Dziecku łatwo się dostosować, ale ja nie jestem dzieckiem.

- Przychodzą do nas przede wszystkim dorośli.

- Donny, ja wiem, co mam tam i nie chcę tego zostawić.

- Czy ożeniłeś się po raz drugi?

- Nie - uśmiechnąłem się. - Dla mnie naprawdę to nie było długo.

- Przepraszam. Myślałem o tobie jako o... starym.

- Czy wyglądam staro?

- Nie. Wyglądasz tak, jak cię pamiętam. Właśnie tak, jak powinienś. A kiedy przyjdiesz znów mnie odwiedzić... to ja będę stary.

- Wrócę niedługo.

- Nawet gdybyś wracał w każdą z twoich sobót, będziesz widział jak ja się starzeję, a dla mnie ty zawsze zostaniesz taki sam. - Potrząsnął głową, ale z uśmiechem. - To jest trochę jak relatywistyka.

- O tym też cię tutaj uczyli?

- Jest z nami wykładowca fizyki z uniwersytetu. Myślę, że polubiłbyś go.

- Na pewno, ale... dlaczego nie chcesz ze mną wrócić? Jego uśmiech zbladł.

- Nie. Nie mogę.

- Och, daj spokój. Tylko na trochę. Skoczylibyśmy do kina - przecież tutaj tego nie macie, prawda. Albo na mecz. Nie brakuje ci tego?

Wzruszył ramionami.

- Tutaj życie jest wystarczająco interesujące i bez tego.

- Mógłbyś mieć i jedno i drugie. Twoja matka nie może cię już teraz zabrać. Nie wiedziałaby nawet kim jesteś. Jakiś facet, z którym się nieraz mnie widuje, to nie to samo co mały chłopiec. Nigdy by się nie domyśliła.

Spojrzał mi prosto w oczy.



- Nie, tato, ja nie mogę.

- Nie możesz?

- To jest niemożliwe fizycznie.

- O co ci chodzi?

- Jem tu zbyt mało, żeby dostarczyć masy normalnemu, ludzkiemu ciału. Straciłem tę masę, żyłem dzięki niej, aż doszedłem do punktu, kiedy to co zjem wystarcza mi. I ważę teraz tylko parę uncji, jak prawdziwa mysz. Nie mogę wrócić do normalnej wielkości ludzkiego ciała. Gdybym chciał wyjść z tobą byłbym człowiekiem o wysokości sześciu cali. Wierz mi, inni już tego próbowali. Kiedy się jest tu przez pewien czas, trzeba już pozostać.

Wstrząśnięty wyszeptałem:

- Czy powiedzieli ci o tym na samym początku?

Kiwnął głową.

- Powiedzieli mi, że jeżeli zostaną, to na zawsze. I oto jestem...

- Ale... ale co by było, gdybyś zmienił zdanie?

- Ten proces trwa parę miesięcy czasu subiektywnego. Mógłbym wrócić i być po prostu... chudy. Miałem wybór. Ale chciałem zostać. Kocham tych ludzi, tatusiu. Oni są dobrzy. I szczęśliwi.

Spojrzałem na niego uważnie.

- A czy ty jesteś szczęśliwy?

- Tak - uśmiechnął się. - Tak.

Przedstawił mnie innym - nauczycielowi fizyki i facetowi od reklam, pośrednikowi w handlu nieruchomościami, agentowi ubezpieczeniowemu i prawnikowi. Kobięcie, którą poznałem poprzednim razem. Miała teraz siwe włosy. Musiała się chwilę zastanowić, żeby sobie mnie przypomnieć. Urządzili dla mnie przyjęcie, wszyscy śmiali się i żartowali. Byli łatwi w kontaktach i pogodni, i nikt nie musiał wychodzić wcześniej, bo czekała na niego praca lub ważne spotkanie. Ale wreszcie zacząłem ziewać.

Odprowadzili mnie wszyscy razem do schodów. W czasie tego nie mającego końca popołudnia straciłem z oczu ślepego sprzedawcę, ale teraz czekał na mnie, stojąc na drugim stopniu schodów.

- Tutaj się pożegnamy - powiedział Donny. - Zajmiesz się nim, prawda Wilbur?

Ślepiec kiwnął głową i zaczął wystukiwać łaską swoją drogę w górę. Odwróciłem się, żeby im pomachać, ale już ich nie było, zniknęli w zwariowanym, papierowym lesie.

Teraz moje życie toczy się dzień po dniu tak samo. Co sobota odwiedzam Donny'ego, a on usiłuje przekonać mnie, że bym pozostał. Jest teraz starszy ode mnie i wiem, że w ciągu paru lat go stracę. Ale i tak bym go stracił, gdyby Sheila zabrała go ze sobą. Każdy z nas dokonał wyboru i moje uczucie do niego nie zmusi mnie, żebym porzucił wszystko i został myszą. Ostatecznie teraz obaj jesteśmy dorośli. Każdy z nas ma swoje życie.

Lubię swoją pracę... wystarczająco... i mam dużą szansę, że zajmę miejsce mojego szefa, kiedy on odejdzie na emeryturę. To będzie oznaczało zwiększoną odpowiedzialność, ale myślę, że dam sobie radę i będę to lubił.

A jeżeli kiedykolwiek przestanę... jeżeli stanie się to dla mnie zbyt trudne i będę zagubiony i bezradny jak niegdyś Donny, wiem, tak jak i on, że istnieje wyjście. Na razie codziennie kupuję u Wilbura orzeszki. Oczywiście nie dla siebie.

DANTON, Robert Sheckley

ostatni Nowotahitańczyk

(The Native Problem)

Edward Danton był kompletnym nieudacznikiem – pierwsze objawy syndromu antyspołecznego zaczęły się u niego pojawiać jeszcze w wieku dziecięcym. Powinno to stanowić wystarczające ostrzeżenie dla jego rodziców, których obowiązkiem było dostarczyć go natychmiast do kompetentnego psychologa zajmującego się nieletnimi. Ustaliby on bez wątpienia, który z elementów tworzących dziecięcy świat Dantona przyczynił się do wykształcenia tych antyspołecznych skłonności. Jednakże rodzice Dantona, jakkolwiek przewrażliwieni na swoim własnym punkcie, uznali beztrząsco, że ich dziecko po prostu z tego wyrośnie.

Nic takiego jednak nie nastąpiło.

W szkole Danton z wielkim trudem zaliczył Grupowe Przystosowanie Kulturowe, Dopasowanie Braterskie, Rozpoznanie Wartości, Ocenę Zachowań Środowiskowych i inne przedmioty, których znajomość jest po prostu niezbędna, by móc spokojnie żyć we współczesnym świecie. Danton absolutnie nie żył spokojnie we współczesnym świecie nie potrafił.

Minęło sporo czasu, zanim to sobie w pełni uświadomił.

Patrząc na Dantona nikt by się nigdy nie domyślił, że brak mu Zdolności Dopasowania. Był trochę niefrasobliwym, wysokim, atletycznie zbudowanym młodym mężczyzną o zielonych oczach. Miał w sobie coś, co dość wyraźnie oddziaływało na dziewczęta z jego bezpośredniego otoczenia. Kilka z nich obdarzyło go nawet największym ze znanych im komplementów, to znaczy uznało go za odpowiedniego kandydata na męża.

Jednak największa nawet wietrznica nie mogła nie dostrzec jego braków: potrafił na przykład poczuć się śmiertelnie znudzony ledwie po kilku godzinach Tańców Masowych, kiedy to prawdziwa zabawa dopiero się zaczynała. Podczas gry w dwunastoosobowego brydża myśli Dantona często gdzieś się rozlażyły i ku zgorszeniu jedenastu pozostałych graczy, musiał prosić o powtórzenie licytacji. A już zupełnie nie do zniesienia był podczas zabawy w Metro.

Starał się bardzo wchłonąć w siebie ducha tej klasycznej gry. Spleciony ciasno ramionami z kolegami z drużyny rzucał się do wagonu kolei podziemnej próbując zawładnąć nim, zanim uda to się szturmującym przez drugie drzwi przeciwnikom. Jego kapitan wrzeszczał: „Naprzód, chłopcy! Jedziemy do Rockaway!”, kapitan tamtych ryczał zaś w odpowiedzi: „Nigdy! Gazu, chłopaki! Do Bronx Park albo nigdzie!”

Danton, ze sztucznym uśmiechem na zmarszczonej, zmęczonej twarzy szamotał się w napierającej zewsząd ciżbie. Jego aktualna dziewczyna pytała: „Co się stało, Edward? Chyba dobrze się bawisz?” „Pewnie”, odpowiadał Danton, chwytając z trudem oddech. „Właśnie, że nie!”, wołała z mieszaniną zdumienia i zakłopotania dziewczyna. „Czy ty nie rozumiesz, że nasi przodkowie w ten właśnie sposób wyładowywali swoje agresje? Historycy twierdzą, że tylko dzięki zabawie w Metro nie doszło do wybuchu wojny jądrowej. My także mamy agresywne skłonności i musimy dawać im upust w akceptowany przez społeczeństwo sposób”. „Jasne, wiem o tym”, odpowiadał Danton, „Bardzo to lubię i... o Boże!” – w tej chwili bowiem, skandując „Do Canarsie! Do Canarsie!” runęła na nich trzecia, ciasno zbита grupa.

Tak oto tracił kolejną dziewczynę, której trudno było w sumie brać za złe, że nie potrafiła dostrzec zbyt świetlanej przy-

szłości rysującej się przed nią w razie kontynuowania związku z takim człowiekiem. Braku Zdolności Dopasowania nie można bowiem ukryć czy zamaskować. Oczywiście było, że Danton nigdy nie będzie czuć się dobrze w rozciągających się od Rockport, stan Maine, po Norfolk, stan Virginia, przedmieściach Nowego Jorku. Wątpliwe było, czy istnieje w ogóle takie miejsce, w którym czułby się dobrze.

Próbował jakoś sobie z tym poradzić, ale na próżno. Mało tego, zaczęły się pojawiać nowe problemy. od ciągłego widoku różnych reklam wykształcił mu się astygmatyzm, a dziarskie piosenki zachęcające do kupna tego czy tamtego pozostawiały po sobie przykre dzwonięcie w uszach. Lekarz ostrzegł go, że sama tylko analiza objawów nie wyleczy go z tych psychosomatycznych dolegliwości, tym bowiem, czym należało się zająć, była leżąca u podstaw wszystkiego antyspołeczna nerwica. Niał jednak zająć się Danton nie potrafił.

W jego myślach coraz częściej pojawiał się pomysł ucieczki. W kosmosie było pełno miejsca dla ziemskich nieudaczników.

W ciągu ostatnich dwu stuleci poleciało ku gwiazdom miliony psychopatów, neurotyków, schizofreników i w ogóle pomyślników różnej maści. Statki tych, którzy na ten krok zdecydowali się wcześniej, wyposażone były w napęd Mikkelssena; na doczłapanie z jednego systemu do drugiego potrzebowały dwadzieścia do trzydziestu lat. Nowsze jednostki napędzane były podprzestrzennym konwerterem pól siłowych systemu GM i taką samą podróż odbywały w kilka miesięcy.

Pozostający w domu opłakiwali, jak na społecznie dostosowanych przysłało, stratę współobywateli, ale jednocześnie cieszyli się ze zwiększonej liczby nie wykorzystanych zezwoleń prokreacyjnych, które, siłą rzeczy, były wśród nich rozdzielane.

W dwudziestym siódmym roku życia Danton postanowił porzucić Ziemię i ruszyć na podbój Kosmosu. Smutny to był dzień, kiedy jego najlepszy przyjaciel, Al Trevor, otrzymał od niego bezcenny karteluszek.

– O rety, Edward – powiedział Trevor ściskając w palcach drogocenne zezwolenie – nie masz pojęcia, co to dla nas znaczy. Zawsze chcieliśmy mieć dwoje dzieci. Dzięki tobie...

– Nie ma o czym mówić – przerwał mu Danton. – Tam, dokąd lecę, nie będę potrzebował żadnych zezwoleń na rozmnażanie. Możliwe zresztą – dodał, po raz pierwszy uświadamiając sobie taką możliwość – że nie miałbym nawet z kim takiego zezwolenia wykorzystać.

– To jak sobie dasz radę? – zapytał zawsze dbający o sprawy przyjaciela Al.

– Jakoś tam. Zresztą, może po jakimś czasie trafi się jakaś dziewczyna. A poza tym są przecież różne środki zastępcze.

– No pewnie. Który wybierzesz?

– Uprawę warzyw. W końcu raz na jakiś czas mogę być praktycznie myślącym człowiekiem.

– Jasne. W takim razie, powodzenia, chłopie.

Wraz z pozbyciem się zezwolenia prokreacyjnego Danton wkroczył na drogę, z której nie mógł już zawrócić; nie pozostawało mu nic innego, jak przeć twardo do przodu. W zamiarze wyrzeczenia się prawa do spłodzenia potomka rząd dawał mu dwuletni ekwipunek i zapewniał darmowy transport do dowolnego zakątka Wszechświata.

Danton natychmiast ruszył w drogę

Gęściej zaludnione planety wolał omijać z daleka, bowiem znajdowały się one zazwyczaj pod bezwzględными rządami małych, spragnionych władzy grup kolonistów.

zupełnie na przykład nie podobała mu się Heil V, gdzie totalitarne społeczeństwo złożone z 342 osobników najpoważniej w świecie sposobiło się do podboju Galaktyki.

Nie był też zainteresowany Korani II, gdzie z kolei założonym przez siebie matematycznym imperium rządził gigantycznym komputer.

Zrezygnował także z Planet Rolniczych – smutnych, odizolowanych światów, na których zajmowano się głównie praktycznym potwierdzaniem lub obalaniem różnych ekstremalnych teorii dotyczących wpływu takich czy innych czynników na życie i zdrowie człowieka.

Przelatując koło Hedonii zapragnął zrazu osiedlić się na tej znanej powszechnie planecie. Odwiodły go od tego zamiaru pogłoski o bardzo krótkim okresie życia jej mieszkańców; co prawda nawet autorzy tych pogłosek nie zaprzeczali, że życie na Hedonii, aczkolwiek krótkie, z pewnością nie może być nazywane nudnym.

Danton leciał dalej przed siebie.

Minał Planety Górnicze – ponure, skaliste globy zamieszkałe przez posępnych, skorych do bitki brodaczy. A potem znalazł się już na Nowych Terytoriach; planety były tu nie zamieszkałe i wyznaczały najdalszą granicę politycznych wpływów Ziemi. Danton zbadał kilka z nich, aż wreszcie trafił na jedną bez jakichkolwiek śladów inteligentnego życia.

Planeta miała łagodny klimat i pokryta była olbrzymim oceanem, napiętnowanym dość gęsto pysznymi soczystą zielenią dżungli, okazałych rozmiarów wyspami. Sprawiała wrażenie zasobnej w ryby i wszelkiego rodzaju zwierzę. Kapitan statku skrupulatnie odnotował objęcie w posiadanie przez Edwarda Dantona planety o nazwie Nowa Tahiti, tak ją bowiem jej nowy właściciel postanowił ochrzcić. Właściciel został następnie wysadzony na największej wyspie i wziął się za budowę obozowiska.

Czekało go sporo pracy. Parę kroków od olśniewająco białej plaży zbudował z gałęzi i trawy małą chatkę. Potem sporządził sobie sieci, trochę sidła i oszczep do polowania na ryby. Założył także warzywnik i z dumą obserwował, jak dzięki tropikalnemu słońcu i padającemu codziennie między 7.00 a 7.30 ciepłemu deszczowi jego warzywa dostojnie z dnia na dzień stają się coraz większe.

Ogólnie rzecz biorąc Nowa Tahiti była rzeczywiście rajskim miejscem i Danton powinien czuć się tutaj bardzo szczęśliwy. Było jednak jedno małe ale...

Warzywnik miał stanowić niezawodny środek zastępczy, odciągający jego myśli od pewnych, ściśle określonych spraw. Pod tym względem absolutnie nie spełnił swego zadania. Danton w dzień i w nocy myślał o kobietach i zawodził smutnie do pomarańczowego księżyca nastrojowe, miłosne ballady.

Było to ze wszech miar niezdrowe. Rzucił się desperacko na inne formy działań zastępczych. Na pierwszy ogień poszło malarstwo, potem wziął się za wydawanie gazety, następnie próbował skomponować sonatę, wreszcie wyrzeźbił z miejscowego piaskowca dwie gigantycznych rozmiarów postacie, wykończył je starannie i zaczął się rozglądać za czymś nowym do roboty.

Niczego takiego nie dostrzegł; warzywa dawały sobie doskonale radę bez niego – jako przybysze z Ziemi nie dały szans miejscowym roślinom. Ryby całymi ławicami wpływały w jego sieci, mięsa też miał pod dostatkiem – wystarczyło tylko zastawić sidła. Znowu więc całe dnie i noce spędzał na rozmyślaniu o kobietach – wysokich i niskich, czarnych i białych, a także o kobietach brązowych.

Nadszedł wreszcie dzień, kiedy Danton zaczął myśleć z pożądaniem o kobietach marsjańskich – coś takiego nie udało się do tej pory żadnemu Ziemianinowi. Musiał jakoś położyć temu kres. Ale jak?

Nie miał jak wzywać pomocy, nie miał jak uciec z Nowej Tahiti. Zajęty był właśnie ponurą kontemplacją swej sytuacji, kiedy wysoko nad morzem dostrzegł czarną kropkę.

Z zapartym tchem obserwował, jak rosła coraz bardziej, modląc się cały czas w duchu, by nie okazała się jakimś pta-

kiem czy owadem. Kropka jednak rozrastała się w oczach i wkrótce już mógł dostrzec strzelający z dysz błąd płomień zimnego ciągu.

Statek! Koniec samotności!

Statek lądował długo i bardzo ostrożnie. Danton przebrał się tymczasem w swoje najlepsze pareo, strój z Mórza Południowych, wręcz idealny dla kogoś mieszkającego w klimacie Nowej Tahiti. Wykapany, ze starannie przyznanymi włosami, obserwował podchodzący do lądowania statek.

Był to jeden z gwiazdolotów wyposażonych jeszcze w archaiczny napęd Mikkelsena. Z tego, co Danton wiedział, wszystkie zostały już dawno wycofane ze służby. Ten jednak, co od razu rzucało się w oczy, musiał być w drodze od bardzo już długiego czasu. Kadłub, o beznadziejnie anachronicznym kształcie, pełen był rys i wgnieceń, a mimo to sprawiał wrażenie, że bez obawy można mu zawierzyć życie. Na dziobie miał wymalowaną wielkimi literami nazwę: „DRUZYNA HUTTERA”.

Kiedy wraca się z długiej kosmicznej wyprawy, najbardziej jest się spragnionym świeżego jedzenia. Zanim „DRUZYNA HUTTERA” osiadła ciężko na plaży, Danton zebrał i przygotował dla jej pasażerów stos soczystych owoców.

W burcie statku otworzył się niewielki właz; wyszło z niego dwóch uzbrojonych w karabiny, ubranych od stóp do głów na czarno mężczyzn. Rozglądali się ostrożnie dookoła.

Danton rzucił się w ich kierunku.

– Halo, witamy na Nowej Tahiti! Rany, ludzie, fajnie, żeście przylecieli! Co tam słychać...

Ani kroku dalej! – krzyknął jeden z mężczyzn. Mógł mieć koło pięćdziesiątki, był wysoki i wręcz nieprawdopodobnie chudy, twarz miał nieprzyjemną, pokrytą siecią zmarszczek. Jego stalowoniebieskie oczy zdawały się przewiercać Dantona na wylot. Lufę karabinu wycelował prosto w jego pierś. Drugi mężczyzna miał szeroką twarz, był niewysoki, krępy i bardzo mocno zbudowany.

– Coś nie tak? – zapytał zatrzymując się Danton.

– Jak się nazywasz?

– Edward Danton.

– Ja jestem Simeon Smith – powiedział mężczyzna o pomarszczonej twarzy – komendant wojskowy „DRUŻYNY HUTTERA”, a to Jedekiah Franker, mój zastępca. Jakim cudem mówisz po angielsku?

– Zawsze mówiłem po angielsku – wyjaśnił Danton. – Zrozum, ja...

– Gdzie reszta?

– Nie ma żadnej reszty, jestem tylko ja. – Wszystkie iluminatory statku były wypełnione twarzami mężczyzn i kobiet. – Zebrałem trochę tego dla was – powiedział Danton wskazując



Michał Jędrzak

„Malarstwo olejne wymaga przede wszystkim systematyczności. Jeśli nie stosujesz się do zasad, nieszczęście gotowe. Dobrym pomysłem jest użycie w podmalówce kolorów ciepłych, później trudno idzie na przykład z czerwieni, za to błękit bardzo dobrze nakłada się na czerwień. Do podmalówki używam tylko kolorów zimnych – palona siena, czerwień indyjska, surowa umbra – ile tylko możliwe. Żadnych czerni! łatwo je osiągnąć później, chociaż ja sam rzadko używam czerni, długo schną i wyszarzają obraz. Jeśli chcę osiągnąć efekt czerni, kładę błękit lub brąz z błękitem na jakiś inny kolor”.

Patric Woodroffe



na start owoców. – Myślałem, że po tak długim locie będziecie mieli ochotę przekąsić coś świeżego.

We władze pojawiła się śliczna dziewczyna o krótkich, rozczochranych włosach.

– Czy możemy już wyjść, ojcze?

– Nie! – odparł Simeon. – To niebezpieczne. Wróć do środka, Anito.

– Popatrz w takim razie stąd – powiedziała, utkwivszy w Dantonie zaciekawione spojrzenie.

Danton odpowiedział swoim i poczuł, jak przez jego ciało przebiega łagodny, nieznan mu do tej pory dreszcz.

– Przyjmujemy wasze dary – oznajmił Simeon – ale jeśli tego nie będziemy.

– Dlaczego? – zapragnął wiedzieć Danton.

– Bo nie wiemy, jakimi truciznami chcecie nas załatwić.

– Truciznami? A może tak byśmy sobie spokojnie porozmawiali?

– Co o tym sądzisz? – zapytał Jedekiah Simeona.

– Jest tak, jak się spodziewałem – odparł komendant. – Przyjemny, płaszczący się, bez wątpienia perfidny. Przyszedł sam, bez swoich ludzi. Zażoże się, że czają się w krzakach. Lekcja pogładowa byłaby tutaj jak najbardziej na miejscu.

– Słusznie, trzeba zaszczyć im lęk przed cywilizacją – powiedział uśmiechnięty Jedekiah i wycelowal karabin.

– Hej! – krzyknął Danton, cofając się raptownie.

– Ależ ojcze – wtręciła się Anita – przecież on jeszcze nic nie zrobił.

– Otóż to. Jak się go zastrzeli, to wtedy już na pewno nic nie zrobi. Dobry tubylec, to martwy tubylec.

– Dzięki temu – dodał Jedekiah – reszta będzie wiedziała, że mamy rzeczywiście poważne zamiary.

– Ale to nie fair! – zawołała z oburzeniem Anita. – Rada...

– ...nie ma teraz nic do gadania. Lądowanie na obcym terytorium stwarza sytuację zagrożenia, a wtedy o wszystkim decyduje wojsko. Zrobimy to, co uznamy za stosowne. Pamiętajcie chyba, co było na Lan II?

– Poczekajcie chwilę – odezwał się Danton. – Wszystko pomieszaście. Nie ma tu nikogo oprócz mnie, po co więc...

Pocisk wbił fontannę piasku tuż przy jego lewej stopie. Rzucił się do ucieczki, szukając schronienia w gęstwinie dżungli. Druga kula świsnęła w powietrzu, a trzecia, kiedy już dawał nura w gęste poszycie, ścięła tuż przy jego głowie małą gałązkę.

– Dobra! – usłyszał ryk Simeona. – To powinno ich czegoś nauczyć!

Danton zatrzymał się dopiero wtedy, kiedy między nim a statkiem było pół mili splątanej dżungli.

Spożywając lekki obiad złożony z miejscowej odmiany bananów i owoców drzewa chlebowego próbował zrozumieć, o co właściwie chodziło Drużynie Huttera. Może byli szaleni? Widzieli przecież, że jest Ziemią samotnym, nieuzbrojonym i o jak najbardziej pokojowych zamiarach. A mimo to w ramach jakiejś lekcji pogładowej o mało go nie zabili! Dla kogo była ta lekcja przeznaczona? Dla ohydnych tubylców, którym należało dać nauczkę...

Otóż to! Danton pokiwał głową z przekonaniem. Ci z Drużyny Huttera myśleli zapewne, że mają do czynienia z miejscowym dzikusami i że cała horda jemu podobnych czeka w krzakach na pierwszą okazję, by dokonać masakry przybyszów. Szczerze mówiąc, trudno było im się dziwić. Znajdował się przecież na odległej planecie, bez statku i kiedy ujrzeli go parującego tylko w opaleniznie i skromnej przepasce na biodrach...

Musiał przedstawiać sobą widok pasujący jak ułai do ich wyobrażeń o zamieszkujących dziewicze planety dzikusach. Tylko gdzie, według nich, zdołał nauczyć się angielskiego?

Cała ta historia była beznadziejnie głupia. Ruszył z powrotem w kierunku statku, pewien, że w ciągu paru minut będzie w stanie wyjaśnić wszelkie nieporozumienia. Jednak po kilku metrach stanął.

Zbliżał się wieczór. Niebo za jego plecami pełne było białych i szarych chmur, od strony morza nadciągała gęsta mgła,

nieszkodliwych, jak się o tym już nie raz zdążył przekonać. Przybysze jednak mogli mieć na ten temat akurat odwrotne zdanie.

Jak go nauczyło niedawne doświadczenie, mechanizmy spustowe ich karabinów były bardzo dobrze naoliwione. Wyleźć teraz na plażę równało się pewnej kuli w łeb. Poruszał się z największą ostrożnością – ciemnoskóra postać ginąca w splątym tle zielonobrazowej dżungli. Ostatni odcinek drogi przebył czołgając się przez gęste poszycie. Dotarł do skraju lasu i wyjrzał na schodzącą do morza plażę.

Przybysze zdecydowali się jednak na opuszczenie statku. Wśród kilkunastu kobiet i mężczyzn Danton dostrzegł także kilkoro dzieci. Wszyscy pocili się niemiłosiernie w ciężkich, okrywających ich dokładnie, czarnych strojach. Przyniesione przez niego owoce leżały nietknięte, a na rozstawiany właśnie aluminiowy stół przynoszono potrawy z chłodn

Na skraju zebranego na plaży niewielkiego tłumu Danton dostrzegł kilku mężczyzn objuczonych karabinami i pasami z zapasowymi ładunkami. Stali bez wątpienia na straży. Obserwowali uważnie ścianę dżungli, zerkając od czasu do czasu z niepokojem na ciemniejące niebo.

Simeon uniósł w górę ręce i natychmiast zapadła cisza.

– Przyjaciele – zwrócił się do zebranych – znaleźliśmy nareszcie dom, którego tak długo przyszło nam szukać. Spójrzcie tylko – oto kraj mlekiem i miodem płynący, hojny i zasobny we wszelkie dary Natury. Warto chyba było tak długo czekać, tak usilnie szukać, narażać się na takie niebezpieczeństwa?

– Tak, bracie! – odpowiedział tłum.

Simeon ponownie uciszył ich gestem uniesionych rąk.

– Nikt jeszcze nie zaszczył na tej ziemi cywilizacji. Przybyliśmy tu pierwsi i do nas ona należy. Czekają na nas jednak nie same tylko radości! Kto wie na przykład, jakie potwory kryją się w gęstwinie tej dżungli?

– Największe są prawie wielkości wiewiórki – mruknął pod nosem Danton. – Czemu mnie o to nie zapytają? Przecież bym im powiedział.

– Kto wie, co za bestie żyją w głębinach tego morza? – mówił dalej Simeon. – Tego nie wiemy, ale wiemy za to co innego: mieszkają tu tubylcy – nadzy, dzicy, z pewnością podstępni, bezlitośni i amoralni – słowem, tacy, jak wszyscy tubylcy. Musimy się ich strzec. Będziemy żyć z nimi w pokoju, o ile nam na to pozwolą. Obdarujemy ich owocami cywilizacji i kwiatami kultury. Być może będą sprawiać wrażenie przyjaźnie do nas nastawionych, ale pamiętajcie o jednym: nigdy nie można być pewnym, co się dzieje w sercu dzikusa. Zasady moralne, jakimi się kierują, są diametralnie różne od naszych. Nie wolno im zaufać! Musimy być zawsze czujni! A w razie czego – strzelać jako pierwsi! Pamiętajcie przecież, co nas spotkało na Lan II.

Przemówienie zostało nagrodzone długotrwałymi oklaskami, po czym odśpiewano hymn i zabrano się do wieczornego posiłku. Wraz z nadejściem nocy na statku zapłonęły potężne światła, wypłaszając ciemność z zajętej przez przybyszów plaży. Nerwowo przygarbieni strażnicy chodzili tam i z powrotem z karabinami gotowymi do strzału.

Danton obserwował, jak osadnicy wyciągają z bagaży swoje śpiwory i udają się na spoczynek w cieniu ogromnego kadłuba. Nawet strach przed ewentualnym atakiem nie był w stanie zmusić ich do spędzenia jeszcze jednej nocy we wnętrzu statku, szczególnie kiedy alternatywę dla jego dusznego wnętrza stanowiło czyste, świeże powietrze, którym tak lekko i przyjemnie było oddychać.

Wielki, pomarańczowy księżyc Nowej Tahiti skrył się do połowy za zawieszonymi gdzieś wysoko chmurami. Strażnicy kleli pod nosem i starali się trzymać jak najbliżej siebie. Wkrótce zaczęła się kanonada – rozstrzeliwali każdy podejrzaną cień i odgłos.

Danton cofnął się nieco w głąb dżungli. Noc spędził za chrońniącym go przed zabłąkanymi kulami drzewem. Po namyśle doszedł do wniosku, że chyba nie jest to najodpowiedniejsza pora dla wyjaśniania czegokolwiek. Ludzie z Drużyny Huttera byli jednak ciut zbyt popędliwi. Najlepiej będzie wytłumaczyć wszystko przy dziennym świetle – w sposób prosty, rozsądny i

„Naprawdę nie rozumiem, dlaczego rozróżnia się artystów i ilustratorów. Dla mnie przynajmniej najlepsi są i tak ilustratorami. Niektórzy ludzie mówią czasem o obrazie »literackim« tak, jakby to był zarzut. Nie rozumiem, czemu musisz być bardzo abstrakcyjny albo bardzo reklamarski, by zrobić coś wartościowego”.

Patric Woodroffe



Kłopot polegał na tym, że przybyszów w żaden sposób nie można było nazwać rozsądnymi.

Rano wszystko jeszcze wyglądało obiecująco. Danton pozwolił Drużynie Huttera zjeść spokojnie śniadanie, a potem wyszedł spomiędzy drzew na plażę

– Stój! – wrzasnęły straż.

– Dzikus wrócił! – zawołał jeden z osadników.

– Mamuuusiu! – zapłakał jakiś chłopczyk. – Ja nie chcę, żeby mnie ten brzydki pan pożarł!

– Nie bój się, kochanie – uspokajała go matka – tatuś ma specjalną strzelbę na dzikusów.

Ze statku pośpiesznym krokiem wyszedł Simeon.

– Dobra, ty tam! Możesz podejść!

Danton, czując jak w skórę wbijają mu się drażniące igielki niepokoju, ruszył ostrożnie przez plażę. Zbliżył się do Simeona, cały czas trzymając na widoku swoje puste ręce.

– Jestem dowódcą tych ludzi – powoli i wyraźnie, jakby rozmawiał z dzieckiem, powiedział Simeon. – Ja wielki szef mój ludzie. Ty wielki szef twój ludzie?

– Nie wiem, czemu pan w ten sposób do mnie mówi. Ledwo pana rozumiem – odparł Danton. – Wyjaśniłem panu już wczoraj, że oprócz mnie nikogo więcej tu nie ma.

Zawzięta twarz Simeona pobladła z gniewu.

– Mów lepiej prawdę, bo jak nie, to tego pozalujesz. No więc, gdzie jest twój szef?

– Jestem Ziemianinem! – wrzasnął Danton. – Głuchy jesteś? Nie słyszysz, co mówię?

Podszedł do nich Jedekiah, a wraz z nim niski, przysgarbiony, siwowłosy człowiek z wielkimi, rogowymi okularami na nosie.

– Zdaje mi się – zwrócił się do Simeona – że nie miałem jeszcze przyjemności poznać naszego gościa.

– Profesorze Baker, ten dzikus utrzymuje, że jest Ziemianinem i że nazywa się Edward Danton.

Profesor jednym długim spojrzeniem obrzucił opaloną skórę, skąpy strój i bose stopy Dantona.

– Więc jesteś Ziemianinem? – zapytał go.

– Oczywiście.

– A kto wyrzeźbił te posągi na plaży?

– Ja – przyznał Danton – ale to była po prostu forma terapii. Otoż, widzi pan...

– Rzeźby te są ponad wszelką wątpliwość dziełem jakiegoś prymitywnego ludu. Ta stylizacja, charakterystyczna linia nosa...

– To pewnie przypadkiem. Niech pan posłucha: kilka miesięcy temu opuściliśmy Ziemię na statku...

– Jaki miał napęd? – przerwał mu profesor Baker.

– Podprzestrzenny konwerter pól siłowych systemu GM. Baker skinął głową i Danton mówił dalej.

– No więc, zależało mi na czymś innym niż Korani czy Heil V, Hedonia też niezbyt mi odpowiadała, dałem sobie spokój z Planetami Górniczymi i Rolniczymi, aż wreszcie wyładowałem tutaj. Planeta jest zarejestrowana na moje nazwisko pod nazwą Nowa Tahiti. Zaczynało mi się tu jednak trochę nudzić, więc cieszę się, żeście tu przylecieli.

– I jak, profesorze? – zapytał Simeon. – Co pan o tym myśli?

– Zadziwiające – mruknął Baker – doprawdy zadziwiające. Poziom opanowania potocznej odmiany angielskiego świadczy o stosunkowo wysokim poziomie inteligencji, co z kolei naprowadza nas na trop zjawiska często spotykanego w niedorozwiniętych społeczeństwach, a mianowicie nieprawdopodobnie zaawansowanej umiejętności kamuflażu. Nasz przyjaciel Danta (tak bowiem najprawdopodobniej brzmi jego prawdziwe imię) powinien stać się dla nas niewyczerpanym źródłem plemiennych legend, mitów, piosen, tańców...

– Ale ja jestem Ziemianinem!

– Niestety, mój biedny przyjacielu – poprawił go delikatnie profesor – nie jesteś. Z pewnością natomiast musiałeś kiedyś spotkać jakiegoś Ziemianina, na przykład wędrownego kupca, który wyładował tu dla dokonania jakichś napraw.

– Odkryliśmy ślady świadczące o tym, że kiedyś zatrzymał się tu na krótko jakiś statek – powiedział Jedekiah.

– No proszę – pokiwał głową profesor Baker. – Oto potwierdzenie mojej hipotezy.

– Właśnie tym statkiem tutaj przyleciałem – próbował wyjaśnić Danton.

– Na uwagę zasługuje również sposób – kontynuował mentorskim tonem profesor Baker – w jaki ta niemalże wiarygodna historia, w wielu swoich kluczowych punktach, przeradza się w najczystszej wody fantazję. Na przykład ów „podprzestrzenny konwerter pól siłowych systemu GM”, jakim miał być jakoby napędzany mityczny statek naszego przyjaciela, jest bezsensownym nowotworem leksykalnym, jako że jedynym używanym w badaniach dalekiego Kosmosu napędem jest napęd Mikkelsena. Nasz przyjaciel twierdzi także, że jego podróż z Ziemi trwała kilka miesięcy, a wiemy przecież, że takiej prędkości nie jest w stanie, nawet teoretycznie, zapewnić statkowi żaden napęd. Tego rodzaju twierdzenia Danty są spowodowane tym, że jego niewykształcony i niedorozwinięty umysł nie jest po prostu w stanie wyobrazić sobie podróży trwającej całe lata.

– A może wynaleziono taki napęd już po waszym odlocie? – zapytał Danton. – Jak długo byliście w drodze?

– „DRUŻYNA HUTTERA” opuściła Ziemię sto dwadzieścia lat temu – pobłażliwym tonem wyjaśnił Baker. – Obecna jej załoga to głównie czwarte i piąte pokolenie. Proszę zwrócić także uwagę – kontynuował już wyłącznie na użytek Simeona i Jedekiaha – na jego wysiłki zmierzające do podania nam brzmiących możliwie wiarygodnie nazw własnych; słowa takie jak „Korani”, „Heil”, „Hedonia”, brzmią dla niego dobrze – prawdopodobnie są to jakieś onomatopeje. To, że takie miejsca nie istnieją, nie ma dla niego żadnego znaczenia.

– Właśnie, że istnieją! – zaperzył się Danton.

– Gdzie? – zaatakował Jedekiah. – Podaj mi współrzędne!

A skąd mam je niby znać? Nie jestem nawigatorem. Zdaje się, że Heil jest gdzieś koło Boötes, czy może Kasjopei... Nie, to na pewno było Boötes...

– Przykro mi, przyjacielu – powiedział Jedekiah – ale może zainteresuje cię informacja, że jestem nawigatorem tego statku. Mogę ci pokazać atlasy i mapy gwiazdowe. Nazw, które wymieniałeś, z pewnością na nich nie znajdziesz.

– Twoje mapy są o sto lat przestarzałe!

– Więc gwiazdy też – odparł Simeon. – A teraz, Danta, gdzie są twoi ludzie? Dlaczego się przed nami kryją? Co planują?

– To niedorzeczność – zaprotestował Danton. – Jak mam was przekonać? Jestem Ziemianinem, urodziłem się i wychowałem...

– Dosyć tego – przerwał mu Simeon. – Byle dzikus nie będzie nam tu pyskował. Dosyć tego, Danta. Gdzie są twoi ludzie?

– Nie ma nikogo oprócz mnie – upierał się Danton.

– Związany jęczyzek? – zazgrzytał zębami Jedekiah. – A może damy powąchać...

– Potem, potem – wtrącił się Simeon. – Przyjdą tu wkrótce po upominki. Wszyscy tubylcy tak robią. A tymczasem, Danta, możesz pomóc przy rozładunku.

– Dziękuję bardzo, ale wolę...

Pięść Jedekiaha strzeliła błyskawicznie, trafiając Dantona w bok szczęki. Zatoczył się, z trudem utrzymując się na nogach.

– Szef powiedział: „Nie pyskować!” – ryknął Jedekiah. – Czemu wszystkie dzikusy to takie śmierdzące lenie? Zapłacimy ci, jak tylko wyładujemy paciorki i perkal.

Dyskusja wyglądała na zakończoną. Danta, ogłupiały i otumaniony, podobnie jak przed nim miliony tubylców na tysiącach innych planet, dołączył do długiego ogonka kolonistów podających sobie wyciągane z ładowni towary.

Późnym popołudniem wyładunek został zakończony i można było nareszcie odpocząć. Danton siedział na uboczu, próbując wykombinować jakieś wyjście z tej sytuacji. Był głęboko w tych rozważaniach pogrążony, kiedy podeszła do niego Anita z menażką wody.

– Czy ty też myślisz, że jestem tubylcem? – zapytał.

Usiadła przy nim i powiedziała:

– A czy możesz nim nie być? Każdy przecież wie, jak szybko może lecieć statek...

– Wiele się zmieniło od chwili, kiedy opuściliście Ziemię. Chyba nie lecieliście cały ten czas?

– Oczywiście, że nie. Najpierw wylądowaliśmy na H'gastro I, ale że ziemie nie były tam zbyt żyzne, następne pokolenie przeniosło się na Ktedi. Tam jednak zboże przeszło jakąś mutację, w wyniku której o mało nie doszło do zagłady wyprawy. Za następny cel obrano więc Lan II. Wszyscy mieli nadzieję, że będą to już ostatnie przenosiny.

– I co się stało?

– Tubylcy – westchnęła Anita. – Z początku nawet wydawało się, że są dość przyjaźnie nastawieni i wyglądało na to, że panujemy nad sytuacją. Aż tu nagle pewnego dnia znaleźliśmy się ni stąd, ni zowąd w stanie wojny z całą tubyleżą ludnością. Mieli tylko maczugi i dzidy, ale było ich zbyt wielu, toteż odlecieliśmy i przybyliśmy tutaj.

– Hmm – mruknął Danton – teraz rozumiem, czemu tak nieufnie odnosicie się do tubylców.

– Właśnie. W razie najmniejszego nawet zagrożenia przechodzimy pod rozkazy wojskowych. To znaczy mego ojca i Jedekiaha. Kiedy niebezpieczeństwo mija, ster przejmują na powrót władze cywilne.

– To znaczy?

– Rada Starszych, naprawdę dobrzy ludzie, brzydzący się przemocą. Jeżeli tobie i twoim ludziom rzeczywiście zależy na pokoju...

– Nie mam żadnych ludzi – znużonym tonem zaprotestował Danton.

– ...to pod rządami Rady Starszych będziecie mogli wieść spokojne i szczęśliwe życie – dokończyła Anita.

Siedzieli obok siebie obserwując zachód słońca. Danton widział, jak zwichrzone wiatrem włosy przytulały się miękko do jej czoła i jak odbłask tonącego w oceanie słońca zarysowuje i uwypukla linię jej warg i policzka. Wstrząsnął nim dreszcz, który wytłumaczył sobie wieczornym chłodem. Anita, która cały czas opowiadała mu z ożywieniem o swoim dzieciństwie zdawała się nagle mieć kłopoty z utrzymaniem wątku. Zdania rwały się coraz bardziej...

Ich dłonie nie musiały szukać się zbyt długo. Koniuszki palców zetknęły się delikatnie i tak już zostały. Przez długi czas nie padło ani jedno słowo. A potem, lekko i jakby z ociąganiem, pocałowali się.

Co tu się dzieje, do cholery? – zażądał wyjaśnienia jakiś donośny głos.

Danton zerknął w górę i ujrzał stojącego nad nim tęgiego mężczyznę, którego potężna głowa otoczona była aureolą pomarańczowego księżyca. Zaciśnięte w pięści dłonie miał wsparte na biodrach.

– Proszę cię, Jedekiah – odezwała się Anita – tylko nie rób sceny.

– Wstawaj – polecił Jedekiah Dantonowi złowieszco spokojnym głosem. – Wstawaj na nogi.

Danton stanął, trzymając ręce w pogotowiu i czekał.

– Jesteś hańbą dla Drużyny Huttera i dla całej swojej rasy – zwrócił się Jedekiah do Anity. – Czy ty oszalała? Jak można mieć choć odrobinę szacunku do siebie szlajając się z jakimś brudnym dzikusiem? A ty – to już było przeznaczone dla Dantona – słuchaj uważnie i lepiej, żebyś to sobie dobrze zapamiętała: wara dzikusom od kobiet z Drużyny Huttera! A teraz wbię ci tę lekcję do głowy!

Nastąpiła krótka szarpanina i Jedekiah znalazł się na ziemi.

– Na pomoc! – ryknął. – Tubylcy atakują!

Na statku rozdzwiewał się alarmowy dzwonek, nocną ciszę przeszył jęk syren. Kobiety i dzieci, dobrze przygotowane na taką ewentualność, w karnych oddziałach zniknęły we wnętrzu statku. Mężczyźni, w których rękach pojawiły się momentalnie karabiny, pistolety maszynowe i granaty, ruszyli w kierunku Dantona.

– To było jeden na jednego! – zawołał Danton. – Trochę się posprzeczaaliśmy, to wszystko. Nie ma żadnych tubylców, tylko ja.

– Anita, cofnij się, szybko! – rozkazał najbardziej wysunięty z napastników.

– Nie widziałam żadnych tubylców – protestowała gorąco dziewczyna – a poza tym to nie była wina Danty...

– Cofnij się!

Odciągnięto ją na bok. Zanim odezwały się karabiny, Danton zdołał dać nura w krzaki. Pięćdziesiąt metrów przebył na czworakach, potem wstał i rzucił się do szaleńczej ucieczki.

Na szczęście nikt z Drużyny Huttera nie miał zamiaru go ścigać. Zainteresowani byli jedynie obroną statku i utrzymaniem małego przyczółka, składającego się ze skrawka plaży i przylegającego do niego wąskiego paska dżungli. W nocnej ciszy rozbrzmiewały strzały, wrzaski i dzikie okrzyki.

– Tam jest jeden!

– Prędko, obracaj ten karabin! Okrążyli nas!

– Tam! Tam! Mam jednego.

– Uciek! Tam ucieka!... Na drzewie, uważaj, na drzewie!

– Strzelaj, człowieku, strzelaj!

Przez całą noc Danton przysłuchiwał się odgłosom walki Drużyny Huttera z wymagowanym przeciwnikiem.

Nad świtem ogień ustał. Przez noc zdołano wystrzelić około tony ołowiu, zdekapitowano setki drzew, całe hektary trawy wdeptano w błoto. Dżungla śmierdziała kordytem.

Danton zapadł w niespokojną drzemkę.

Około południa obudził go trzask łamanych gałęzi i deptanych krzewów. Ktoś przedzierał się przez dżunglę. Cofnął się głębiej w gęstą las i przyrządził sobie obiad z miejscowej odmiany bananów i mango. Potem postanowił wszystko dokładnie przemysśleć.

Zupełnie jednak nie mógł się skupić. Umysł miał bez reszty zaprzątnięty Anitą i rozpaczą z powodu jej utraty.

Resztę dni spędził na ponurym łazieniu bez celu i bez sensu. Późnym popołudniem ponownie usłyszał, jak ktoś przedziera się przez gęstwinę.

Zawrócił już by skryć się w głębi wyspy, kiedy ten ktoś zawołał go po imieniu:

– Danta! Danta! Zaczekaj!

To był głos Anity. Danton zawahał się, nie wiedząc, co ma począć. Może porzuciła statek, by żyć z nim w głębi zielonej dżungli? Bardziej jednak prawdopodobne było, że wysłano ją jako przynętę i że w krzakach za nią czai się cały oddział z gotowymi do strzału karabinami. Skąd miał wiedzieć, czy może jej zaufać?

– Danta! Gdzie jesteś?

Uświadomił sobie, że przecież i tak nigdy nie będzie im dane się połączyć. Nigdy mu nie zaufają, jego życie będzie zawsze wisiało na włosku...

– Danta, proszę!

Danton wzruszył ramionami i skierował się w stronę, z której dochodził jej głos.

Spotkali się na malej polance. Choć Anita miała włosy w nieładzie, a ubranie wisiało na niej w strzępach, to dla Dantona była i tak najpiękniejszym zjawiskiem na świecie. Przez moment uwierzył, że uciekła, by zacząć z nim nowe życie.

Potem pięćdziesiąt metrów za nią zobaczył uzbrojonych mężczyzn.

– Nie bój się – powiedziała Anita. – Nic ci nie zrobią. Są tu tylko po to, żeby mnie bronić.

– Bronić cię? Pewnie przede mną? – zaśmiał się ponuro Danton.

– Nie znają cię tak dobrze jak ja – odparła Anita. – Dzisiaj zebrała się Rada Starszych. Wszystko im powiedziałam.

– Wszystko?

– Oczywiście. Powiedziałam im, że to nie ty sprowokowałaś bójkę i że walczyłeś w obronie własnej i że Jedekiah kłamał. Nie było żadnej hordy tubylców, tylko ty jeden. Tak im powiedziałam.

– Dzielną dziewczyna! – zawołał z zapalem Danton. – I co, uwierzyli ci?

– Chyba tak. Wytłumaczyłam im, że atak tubylców nastąpił później.

Danton jęknął

– O rany, jak mógł nastąpić jakiś atak tubylców, skoro żadnych tubylców nie ma?

– Ależ są – odparła Anita. – Słyszałam ich krzyki.

– Słyszałaś krzyki waszych ludzi.

Danton próbował intensywnie znaleźć jakiś sposób, żeby ją przekonać. Jeżeli nie uda mu się to z jedną dziewczyną, to jak niby ma sobie poradzić z całą Drużyną Huttera?

I wtedy nadeszło ośnienie. Pomyśl sam w sobie był bardzo prosty, ale jego efekty musiały, po prostu musiały być olbrzymie.

– Jak rozumiem, jesteście przekonani, że byliście obiektem frontalnego ataku ze strony tubylców?

– Naturalnie.

– Ilu było tych tubylców?

– Słyszałam, że stosunek sił wynosił 10:1 na waszą korzyść.

– I byliśmy uzbrojeni?

– Oczywiście.

– Jak więc w takim razie wytłumaczysz fakt – z triumfem w głosie zapytał Danton – że ani jeden z waszych ludzi nie został ranny?

Spojrzała na niego rozszerzonymi ze zdziwienia oczyma.

– Ależ, Danta, mój drogi! Wielu naszych zostało rannych, niektórzy nawet ciężko. Dziwne, że nikt nie został zabity!

Danton poczuł, jak ziemia chwieje mu się pod nogami. Przez jedną straszącą chwilę uwierzył we wszystko, co mówiła. Ci ludzie byli święcie przekonani, że to, co mówią, jest najszczerzą prawdą! Może rzeczywiście miał swoje plemię, może rzeczywiście w dżungli kryli się ciemnoskórzy, jak on, tubylcy, czyhający na pierwszą okazję, by...

– Ten kupiec, który nauczył cię angielskiego – mówiła dalej Anita – musiał być człowiekiem bez skrupułów. Prawo międzygwiezdne zabrania sprzedaży broni palnej mieszkańcom zacofanych planet. Mam nadzieję, że kiedyś go złapią i...

– Broni palnej?!

– Właśnie. Oczywiście nie potraficie jej zbyt dobrze używać, ale Simeon mówi, że sama siła ognia...

– Jak przypuszczam, wszyscy wasi poszkodowani mają rany postrzałowe?

– Tak. Nie pozwolili wam zbliżyć się na tyle, żebyście mogli użyć łuków i noży.

– Rozumiem – powiedział Danton. Cały jego wywód okazał się diabła wart, ale odczuwał bezmierną ulgę, że jednak nie postradał zdrowych zmysłów. Mało doświadczeni osadnicy napytali sobie biedy uganiając się po dżungli i strzelając do wszystkiego, co się rusza – czyli do siebie nawzajem.

Było więcej niż dziwne, że nikt nie został zabity. To był po prostu cud.

– Wytłumaczyłam im jednak, że nie mogą was za to winić. Zostałeś zaatakowany i twoi ludzie mieli prawo przypuszczać, że jesteś w niebezpieczeństwie. Rada Starszych uznała taką wersję za bardzo prawdopodobną.

– To miło z ich strony – powiedział Danton.

– Starają się być rozsądni. A poza tym zdają sobie sprawę, że jesteście ludźmi tak samo, jak i my.

– A czy ty też tak myślisz? – z odzieniem ironii w głosie zapytał Danton.

– Oczywiście. Rada Starszych zwołała następnie walne zebranie na temat naszej polityki wobec tubylców i ustanowiła jej niepodważalne zasady. Przenaczamy obszar o powierzchni tysiąca akrów na rezerwat dla ciebie i twoich ludzi. To spory szmat ziemi, prawda? Zaczęliśmy już ustawianie słupków granicznych. Będziecie żyć spokojnie w swoim rezerwacie, a my – w naszej części wyspy.

– Co takiego?

– A żeby sprawę już definitywnie zakończyć, Rada Starszych prosi cię o przyjęcie tego oto dokumentu – mówiąc to wręczyła mu zwój pergaminu.

– Co to jest?

– Traktat pokojowy, ogłaszający zakończenie wojny między Drużyną Huttera a Nową Tahiti i zobowiązujący nasze dwa narody do utrzymywania wiecznej przyjaźni.

Danton bezmyślnie wziął pergamin z rąk Anity. Oddział towarzyszący dziewczynie rozproszył się tymczasem i wesoło podśpiewując wbijał w ziemię czerwono-czarne słupki. Było się z czego cieszyć – przecież w łatwy i szybki sposób udało się rozwiązać nietatwy problem tubylców.

– Ale czy nie sądzisz – zapytał Danton – że, powiedzmy, lepszym wyjściem z sytuacji byłaby asymilacja?

– Sama im to zasugerowałam – odparła, poczerwieniawszy nieco. Anita.

– Naprawdę? Czyli zrobiłabyś to...

– Oczywiście, że bym zrobiła – powiedziała nie patrząc na niego. – Uważam, że wymieszanie dwóch tak silnych ras byłoby wspaniałą i jak najbardziej odpowiednią rzeczą. A jakie cudowne historie mógłbyś opowiadać naszym dzieciom!

– Nauczyłbym je polować i łowić ryby, pokazałbym, które rośliny nadają się do jedzenia...

– A te wasze upojne pieśni i tańce! – westchnęła Anita. – To by było naprawdę wspaniałe. Przykro mi, Danta.

– Ale coś chyba da się zrobić! Nie mógłbym porozmawiać z Radą Starszych? Czy rzeczywiście nic nie można poradzić?

– Nic – odpowiedziała Anita. – Uciekłabym z tobą, ale prędzej czy później i tak by nas znaleźli, choćby nie wiem jak długo musieli nas szukać.

– Właśnie, że nigdy by nas nie znaleźli – zapewnił ją Danton.

– Może tak, może nie. W każdym razie, chciałabym to sprawdzić...

– Kochanie!

– ...ale nie mogę. Pomyśl o swoich ludziach, Danta! Nasi schwytaliby zakładników i zabiliby ich, gdybym nie wróciła.

– Ależ ja nie mam żadnych ludzi, do jasnej cholery!

– To miło z twojej strony, że tak mówisz – powiedziała łagodnie Anita – ale nie wolno nam w imię naszej miłości poświęcać czyjegoś życia. Musisz powiedzieć swoim ludziom, że jeżeli chcą żyć, to nie wolno im przekraczać granicy rezerwatu. A na razie do widzenia i pamiętaj, że najdalej można zejść krocząc ścieżką pokoju.

Uciekła do swoich. Danton, patrząc za nią, był wściekły na jej szlachetne sentymenty, które bez żadnej realnej przyczyny nie pozwalały im się połączyć, a jednocześnie kochał ją za miłość, jaką okazywała jego ludziom. To, że ludzie ci nie istnieli, nie miało żadnego znaczenia. Liczyły się intencje.

Wreszcie odwrócił się i poszedł w głąb dżungli.

Zatrzymał się przy cichym, okolonym gigantycznymi drzewami i kwitnącymi paprociami oczku czarnej wody i próbował ułożyć plany na resztę swego życia. Anita odeszła, wszelkie stosunki z ludźmi zerwane. Próbowal sobie wmówić, że ani jej, ani ich nie potrzebuje. Miał przecież swój rezerwat. Mógł na nowo zająć się uprawą ogródka, wyrzeźbić parę nowych posągów, skomponować kilka sonat, zacząć wydawać kolejną gazetę...

– Do diabła z tym wszystkim! – wrzasnął na otaczające go drzewa. Dostyc miał już tych środków zastępczych. Pragnął Anity i chciał żyć razem z ludźmi. Samotność zbyt już mu dopiekała.

Ale co miał zrobić?

Możliwości miał doprawdy niewielkie. Oparł się o pień drzewa i zapatrzył w nieprawdopodobnie niebieskie, nowotahitańskie niebo. Żeby tylko ci przybysze nie byli tacy przesądni, żeby nie mieli tego kompleksu tubylców, żeby...

I wtedy przyszedł mu do głowy plan – absurdalny, niebezpieczny...

– Ale warto spróbować – powiedział do siebie. – Nawet, gdyby mieli mnie zabić.

Ruszył klusem w stronę granicy rezerwatu.

W pobliżu statku dostrzegł go strażnik i natychmiast skierował w jego stronę lufę karabinu. Danton uniósł obie ręce.

– Nie strzelać! Muszę pomówić z waszymi wodzami!

– Wracaj lepiej do rezerwatu – ostrzegł go strażnik – bo będę strzelał!

– Muszę mówić z Simeonem – oświadczył Danton, nie ruszając się ani o milimetr.

– No cóż, rozkaz, to rozkaz – westchnął strażnik składając się do strzału.

– Chwileczkę! – ze statku wyszedł skrzywiony ponuro Simeon.

– O co chodzi?

– Wrócił ten dzikus – wyjaśnił strażnik. – Mogę go zdmuchnąć?

– Czego chcesz? – zapytał Simeon Dantona.

– Przyszedłem tutaj – ryknął pełnym głosem Danton – żeby wam wypowiedzieć wojnę!

Podzielało to jak kij włożony w mrowisko. Po kilku chwilach wokół statku zgromadził się pełny stan osobowy Drużyny Huttera. Nieco z boku stała Rada Starszych – grupka podeszłych wiekiem mężczyzn wyróżniających się siwymi brodami.

– Zaakceptowaliście przecież traktat pokojowy – zaprotestował Simeon

– Skonsultowałem się z pozostałymi wodzami z tej wyspy – odparł postępując krok naprzód Danton. – Według nas traktat jest nieuczciwy. Nowa Tahiti jest nasza. Należała do naszych ojców i do ojców naszych ojców. Tutaj wychowywaliśmy nasze dzieci, zbieraliśmy z pól plony, zrywaliśmy owoce drzewa chlebowego. Nie możemy się zgodzić na zamknięcie nas w rezerwacie!

– Danta! – zawołała Anita pojawiając się we włazie. – Prosiłam cię przecież, żebyś zaniósł pokój swemu ludowi!

– Lud nie chciał mnie słuchać – odparł Danton. – Już gromadzą się plemiona z całej wyspy. Nie tylko moje, Cynochi, ale i Drovati, Lorognasti, Retelkmbroichi, Vitelli. Oraz, rzecz jasna, zależne od nich szczepy i lennicy.

– Ilu was jest? – zapytał Simeon.

– Jakies pięćdziesiąt do sześćdziesięciu tysięcy. Nie wszyscy, oczywiście; mamy strzelby. Większość z nas będzie musiała polegać na nieco bardziej tradycyjnej broni, jak na przykład zatrute strzały i dmuchawy.

Przez tłum przeszedł nerwowy pomruk

– Wielu naszych zginie – mówił z niewzruszonym spokojem Danton – ale to nie ma znaczenia. Każdy Nowotahitańczyk będzie walczył jak lew. Na każdego z waszych przypada tysiąc naszych. Na sąsiedniej wyspie mieszkają nasi krewniacy, którzy z pewnością się do nas przyłączą. Bez względu na ofiarę z życia i cierpienia, jaką przyjdzie nam złożyć, zepchniemy was do morza. Powiedziałem.

Odwrócił się na pięcie i powolnym, dostojnym krokiem ruszył w stronę dżungli.

– Mogę już go zdmuchnąć? – przypomniał o sobie strażnik.

– Odlóż ten karabin, idioto! – warknął Simeon. – Danta, zaczekaj. Przecież możemy się dogadać. Nie ma sensu niepotrzebnie przelewać krwi.

– Zgadzam się z tym – ze śmiertelną powagą odparł Danton.

– Czego chcecie?

– Równych praw!

Rada Starszych niezwłocznie rozpoczęła obrady. Simeon przysłuchiwał im się jakiś czas, potem wrócił do Dantona.

– To się da zrobić. Coś jeszcze?

– Nic – odparł Danton. – Nic, oprócz potwierdzającego nasz układ przymierza między rodziną panującą Drużyny Huttera a rodziną panującą Nowotahitańczyków. Najlepsze byłoby jakieś małżeństwo.

Po kolejnej rundzie obrad Rada Starszych przekazała swe stanowisko Simeonowi. Komendant wydawał się czymś najwyraźniej wzburzony. Kark mu nabrzmiał, ale zdołał się jakoś opanować, kiwnął głową na znak zgody i podszedł do Dantona.

– Zostałem upoważniony przez Radę Starszych – oświadczył – by zaproponować ci zawarcie przymierza krwi. Ty i ja, jako przedstawiciele rodzin panujących naszych narodów, zmieszamy naszą krew, a następnie podzielimy się chlebem i solą. Będzie to podniosła i mająca wielkie symboliczne znaczenie uroczystość, która...

– Przykro mi – przerwał mu Danton – ale my, Nowotahitańczycy, nie uznajemy takich rzeczy. To musi być małżeństwo.

– Ale do cholery, człowieku...

– To moje ostatnie słowo.

– Nigdy się na to nie zgodzimy! Nigdy!

– A więc wojna! – oznajmił Danton i poszedł w las.

Znajdował się akurat w odpowiednim nastroju do prowadzenia wojny, ale jak jeden tubylec miał poradzić sobie z całym statkiem uzbrojonych ludzi?

Rozwazał właśnie ponuro ten problem, kiedy spomiędzy drzew wyszli Simeon i Anita.

– W porządku – oświadczył wściekły Simeon. – Rada Starszych wyraziła zgodę. Dostyc już mamy tego latania od planety do planety. Mieliliśmy już takie kłopoty wcześniej i podejrzewam, że mieliśmy je wszędzie, gdziekolwiek byśmy się przenieśli. Zmęczycie nas te ciągłe problemy z tubylcami, więc sądzę – tu mężnie powstrzymał napływające mu do oczu łzy – że najlepiej będzie rozpocząć proces asymilacji. Tak w każdym razie uważa Rada Starszych. Ja osobiście wolałbym walczyć.

– Przegrałbyś – zapewnił go Danton i w tym momencie poczuł, że sam jeden potrafiłby dać radę całej Drużynie Huttera.

– Możliwe – przyznał Simeon. – W każdym razie, podziękuj Anicie, bo tylko dzięki niej możemy zawrzeć ten układ.

– Dzięki niej? Jak to?

– Bo jest jedyną dziewczyną, która chciałaby wyjść za gołęgo, brudnego, durnego dzikus!

Itak oto wzięli ślub, i Danta, nazywany teraz Przyjacielem Białych Ludzi zaczął prowadzić osiadły tryb życia, pomagając Drużynie Huttera w podboju nowego kraju. W zamian za to zaznajomiono go z cudami cywilizacji; nauczono go gry w dwunastoosobowego brydża i Tańców Masowych, a wkrótce potem Drużyna Huttera wybudowała sobie małe Metro – przecież cywilizowani ludzie muszą mieć jakieś możliwości dawania upustu swoim agresjom. Dancie, rzecz jasna, także wytłumaczono, na czym ta zabawa polega.

Próbował się jakoś zidentyfikować z praktykowanym na Ziemi sposobem spędzania wolnego czasu, ale okazało się to zadaniem przekraczającym możliwości jego barbarzyńskiej duszy.

Cywilizacja działała na niego przygnębiająco, toteż wraz ze swoją żoną przemierzał olbrzymie przestrzenie planety, zawsze w straży przedniej, zawsze jak najdalej od powabów cywilizowanego świata.

Często odwiedzali go antropolodzy. Rejestrowali pilnie wszystkie historie, jakie opowiadał swoim dzieciom – prastare, cudowne nowotahitańskie legendy, pełne opowieści o bogach przestworzy i demonach oceanów, o duchach ognia i nimfach z puszczy i lasów, opowieści o tym, jak to Katamandura musiał w ciągu trzech dni stworzyć świat z niczego i jaką otrzymał za to nagrodę, o tym, co Jevasi powiedział Hootmentaliemu, kiedy spotkali się w królestwie podziemi i o przedziwnych następstwach tego spotkania.

Antropolodzy dostrzegli pewne podobieństwa między tymi opowieściami a niektórymi z ziemskich mitów – dało to okazję do wysunięcia wielu ciekawych hipotez. Zainteresowanie naukowców wzbudzały także wielkie, wyrzeźbione w piaskowcu posągi z największej wyspy Nowej Tahiti. Te groźne, ponure postacie były z pewnością dziełem jakiejś prastarej, przed wiekami zaginionej rasy – kto je raz ujrzał, nie mógł już ich zapomnieć.

Jednak najbardziej dla wszystkich pasjonującym problemem była zagadka samych Nowotahitańczyków. Ci szczęśliwi, uśmiechnięci, miedzianoskórzy barbarzyńcy, wyżsi, silniejsi, przystojniejsi i zdrowsi od wszystkich znanych dotychczas ras, zniknęli wraz z przybyciem białego człowieka. Tylko nieliczni z najstarszych członków Drużyny Huttera widzieli ich kiedykolwiek w większej liczbie, a i to wiarygodność ich opowieści była przez wielu kwestionowana.

– Moi ludzie? – mawiał Danta, gdy go o to zapytano. – Cóż, nie potrafili obronić się przed chorobami przyniesionymi przez białych ludzi, nie mogli znieść ich maszynowej cywilizacji, brutalnego i bezwzględного stylu bycia. Teraz są wszyscy w szczęśliwej krainie Valhoola, skryci za błękitem nieba. Pewnego dnia i ja do nich dołączę.

A biali ludzie, słysząc te słowa, doświadczały dziwnego uczucia winy i podważali swe wysiłki, by okazać dobroć Dancie, ostatniemu Nowotahitańczykowi.

Adam Hollanek nigdy nie poddawał się w pełni rygorom czystej, czy – jak to niektórzy określają – „twardej science fiction”. Nie symulował ani nie odczuwał przesadnej wiary w aktualne czy perspektywiczne sukcesy nauki i techniki. Przeciwnie, posługiwał się wyjątkowością eksperymentu naukowego w wymiarze fantastycznym i ukazywał ryzyko takiego eksperymentu dla egzystencji jednostek i społeczeństw. Przy okazji demaskował naturę i charakter bohaterów przyszłości, bowiem dopiero w najostrzejszych próbach odsłania się prawdziwe oblicze człowieka.

Tak było w pierwszej fantastycznej powieści „Katastrofa na »Słońcu Antarktydy«, której bohaterowie musieli stawiać czoło najdrastyczniejszemu przygomom, tak działo

się w „Zbrodni wielkiego człowieka” i w niedawno napisanej mikropowieści „Nie można go spalić” – odkrycia i wynalazki stają się tam tragicznymi pułapkami, a to co wydawało się mądre i piękne obraca się w głupotę i brzydotę.

Nigdzie dotąd nie drukowane opowiadanie „Fausteron” stało się kanwą powieści, która ukaże się w tomie zatytułowanym „Skasować drugie ja”, a stanowiącym wybór utworów Adama Hollanka w Wydawnictwie Literackim. I tutaj elementy science fiction służą przede wszystkim ujawnianiu prawdziwych cech charakterologicznych bohaterów dramatu, rozgrywającego się między grupką osób poddanych eksperymentowi zarówno technicznemu, jak i psychologicznemu.

Fausteron

Adam Hollanek



© ilustracje Marek K. Zalejski

I Właściwie nie wiem, do czego potrzebny był doktorowi Jerzemu Faustowi. Człowiek bywa czasem potrzebny człowiekowi w chwilach upadku. On więc okazał mi się bardzo przydatny.

Po trzech odrzuconych przez wszystkie wydawnictwa książkach i całym łańcuszku bezskutecznych artykułów do prasy, rozpiłem się. Na koszt swoich koleżków. Początkowo płacili za mnie. Tak, nawet płacili. Potem zachowywali się coraz megrzeczniej. W końcu, gdy ich zacząłem nachodzić w domu – ich matki lub żony mówiły mi przez drzwi „nie ma, wyszedł, nie wiem gdzie go szukać”.

Ale ja z czasem ich odnajdywałem. Znałem po prostu knajpę. Tam się zbierali. Przywalałem się wtedy beczelnie do stolików, psulem im nastrój.

Mówiłem „postaw no jedną kolejkę Wicek czy Wacek”, zależnie od okoliczności. I nieraz mi się udawało. Bali się, że zrobię jakąś grubszą awanturę, a zależało im przecież na pozycji, na opinii, na tym wszystkim co ode mnie odpadło, nie wiem czy z mojej winy, ale odpadło.

Zawsze udawało mi się wyrwać kilku na pokera. To jeszcze ze mną jako tako lubili, zwłaszcza kiedy miałem przy sobie trochę przypadkowo zarobionego grosza, który zresztą szybko ode mnie uciekał. Po paru kieliszkach i rundkach – przegrywałem. Tego wieczoru jednak szło mi nieźle. Jak dziś pamiętam przysiadł się wtedy do nas szczeniakowaty dr Jerzy Faust. Wiedziało się o nim niewiele, j to po plotkarsku. Studiował podobno w Pradze i tam rozpoczynał karierę. Robił wielkie ekspedycje do dzikich szczepów znad Amazonki. Przyjechał

do nas, na tutejszy uniwersytet, wykonywać jakies wspólne duże doswiadczenia. Cos nawet pisano o tym w prasie. Zresztą, czy ja wiem. Może mi się zdawało z tą jego sławą. Rzeczywistosc mieszała mi się z tym co jeszcze zdołałem przeczytać i pomyśleć. Niektórzy twierdzili, że cała naukowa kariera Fausta to wielka lipa, a koleżkowie z naszego grona gadali wprost, że on się tak pęta wszędzie bez ładu, składu i celu, bo go zona, którą ogromnie kochał, dla kogoś kantem puściła.

Nigdy nie interesowałem się specjalnie nauką. A i on nie bardzo na uczonego wyglądał.

Zawolałem do niego, gdy się przysiadł do stolika:

– Nie kibicuj pan, doktorze. chodź do nas to cię w karty nauczymy. To ciekawsze od tych wszystkich $E = mc^2$ i innych pi razy oko.

On jednak nigdy nie grywał. Przypatrywał się, popijał trochę, słuchał w milczeniu plotek. Z nikim w gruncie rzeczy się nie przyjaźnił. Drażnił swoją wyszukaną elegancją i manierami. Starał się wyraźnie odróżnić od nas. Uderzał swoim gładkim, niemal młodzieńczym wyglądem. Miałem go za bubka, karierowicza, zresztą teraz w naukach mnóstwo bubków. Jak ktoś się trochę chemii czy matematyki i fizyki poduczy, co musi być zresztą paskudnym zajęciem, to łatwo mu zrobić zawrotną karierę. Tak, jest ich – tych speców – ciągle za mało.

Jerzy Faust, choć widywałem go przynajmniej raz w tygodniu, tak, chyba raz, może dwa razy w tygodniu, nie zdawał się zwracać na mnie najmniejszej uwagi. Albo – źle mówię. Ja nie dostrzegałem, żeby zwracał. Ciągle mi się racje płaczą. Przez alkohol

Tego się w żaden sposób nie potrafię oduczyć: ćwiartka rano, ćwiartka w południe i przynajmniej ćwiartka przed lub po kolacji. Gdy próbuję pisać, a to przecież mój zawód, ręce mi się trzępią jak zarzynane kury. Wszystko mi się płacze. Jednakże on musiał mnie od dawna obserwować, ten diabelny Faust. Na co liczył? Na moją półprzytomną samotność. Na pewno na nią liczył i na moje znaczne karty.

– Pożycz mi doktor forszę – powiedziałem chyba wówczas do niego.

Przymilnie, niezwykle grzecznie. – Pożycz mi pan, chcę przybić, a widzi pan, że wygrywam.

Udał, że nie słyszy.

Byłem pod dobrą datą. Zacząłem ryczeć. Zerwałem się i wyrwaliłem stół. Jerzy Faust – pamiętam to – powolutku zbierał karty pod stołikiem i przyglądał się każdej zbyt uważnie. Musieli na to zwrócić uwagę partnerzy.

– Znaczone – wykrztusił jeden z nich – ty podła świnió.

Byliśmy chyba sami karciarze i kibice w tej barokowej salce klubu. Jednak w drugiej mogli znajdować się jeszcze ludzie z zewnątrz.

Cicho – dodał więc partner, na razie całkiem spokojnie, spokojnie niż krztusił to swoje „ty podła świnió”.

Chyba jednak dalej ryczałem. Nie pamiętam jak to się nagle stało. Dość, że otoczyli mnie wszyscy. „Wreszcie mnie złapali” – pomyślałem sobie.

– Odjazd – odezwał się znowu ten sam – odjazd, ale już.

Odepchnąłem go. Chyba dość lekko.

Nic już nie zobaczyłem. Poczulem pod dłońmi parkiet podłogi. Musiałem się przy tym bardzo drzeć, wszystko starałem się im pewnie wygarnąć, wszystko co o nich wiedziałem i myślałem. Niemało Zatykali mi gębę. Wynieśli z klubu. Nie żalowali szturchańców, nawet kopniaków. Byłem dokładnie zalany, a wieczór parny. Ulica kompletnie, ale to kompletnie pusta.

Wtedy on dopomógł mi wstać. Dr Jerzy Faust. I od tego czasu żyję na jego koszt. Mieszkam w jego willi. Chodzę sobie w jego piżamach. Piję za jego pieniądze. Nawet czasem lubię z nim pogadać. Pisuję sobie też czasami.

II Pamiętam pierwszą rozmowę.

Żadna niespokojna myśl nie przeszła mi wówczas przez głowę. A przecież mógł ze mną zrobić co mu się podobało, w tej swojej przestronnej willi. Nic mi nie chciał zrobić. Ciągłe się zastanawiam do czego mu byłem i jestem potrzebny. Jeszcze mi szumiało we łbie. Golałbym sobie trochę.

Prowadził mnie przez amfiladę wielkich pokoi. Jak się u nas dba o tych facetów od nauki – pomyślałem. Tu się spodziewać można było nowoczesnych, małych pomieszczeń z małymi mebelkami, barkami, kolorkami. Tymczasem mijaliśmy niemal sale. Z ciemnymi obrazami olejnymi, z których – zdawało mi się – kiwają ku mnie jakieś głowy. Z antycznymi fotelami i komódkami na jamnicznych nogach. Makaty na ziemi, makaty na ścianach. Dostojna atmosfera profesorskiej rezydencji, jakich zresztą więcej w tym mieście. Ale skąd to do niego?

Nie po raz pierwszy zwróciłem wtenczas uwagę na jego krok. Ciężko odrywał stopy od podłogi, powłóczył nieco nogami. Wyszliśmy na chłodną klatkę schodową, potem na drugą, oficynową. Coraz bardziej trzeźwiałem i każdy szczegół nowego otoczenia wbijał mi się w pamięć. A raczej niektóre tylko szczegóły. Tak, niektóre. Ściany gołe. W rogu zbroja. Błyski światła na metalu. Schodki kręte. Był blisko mnie.

– Uważaj – powiedział – bardzo kręte i strome.

– Mógłbyś mnie z nich zrzucić na pysk do piwnicy.

– Mógłbym, uważaj.

Na dole było ciemno. Wysforował się naprzód. Przekreślił kontakt. Co za zmiana scenarii. Pusty hol. Z niego kilka bielutkich drzwi. Jak w poczekalni lekarskiej.

– No, teraz najciekawsze – powiedział.

Przypatrywał mi się z uwagą. Często mi się od tego czasu tak przypatruje. Dlaczego? Mam swoje różne teorie.

Za drzwiami drewnianymi były metalowe. Jakby zamknięcie ogromnej lodówki. Znowu coś tam kręcił. Wąski przedpokój jasno się oświetlił. Zimno. Zaszczękałem zębami.

– Psiakrew, zapomniałem cię ubrać. Zmarzłeś, co?

– Zmarzłem – szczękałem zębami.

– Długo tu nie będziemy.

Wtedy może zrodziło się podejrzenie? Prawdopodobnie miałem dość tej jego opieki i chciałem się napić. Czegoś gorącego. Gorącego za wszelką cenę, na przykład grogu, prawda? Odwróciłem się. Odepchnąłem go na bok. Przytrzymał mnie. Wydał mi się bardzo silny.

– Zwariowałeś. Puść mnie, chłopie.

Otworzył przede mną jedną ze swych lodówek. Dwie takie były, ale jedną najpierw otworzył. Zrobiłem krok do tyłu, ale patrzyłem.

W szklanym naczyniu, podobnym do wanny, leżała kobieta. Głowa ciała niezbyt wyraźne w płynie, w którym było rozciągnięte. Głowa tylko wystawała. Ubrała w diadem z rurek, błyszczących w zimnym świetle, metalowych rurek. Musiała mieć włosy, ale zginęły w tłoku tych rurek.

– Przedstawiam ci moją małżonkę – powiedział uroczyście i prędko otworzył drugą lodówkę. Takie samo wnętrze. Tylko z męską głową.

– A to jej ukochany.

Zwrócił się do pierwszej lodówki. Chwilę patrzył na twarz kobiety, biała jak jego nieskazitelny zawsze kołnierzyk. To płaskie porównanie narzuciło mi się wówczas najbardziej. Nie mówiłem nic. Nawet mi sobie trudno przypomnieć, czy się trochę przestraszyłem. Chciałem tylko jak najprędzej stamtąd wyjść.

– No to już.

Szybko zatrząskiwiał drzwiczki tych sezamów. Zauważyłem, że gdy wszedł pierwszy do pokoju lekko chwiało się na nogach. Mnie także ogarnęło znużenie i głowa mi się dobrze zakręciła, kiedyśmy z lodowni przeszli do nagranych pokoi.

Bezwiednie ustadłem w bardzo głębokim, klubowym fotelu. obok biurka. Wielkiego, ciemnego biurka. Przy takim nie można ani urzędować, ani nawet siedzieć, po co komu takie biurka – myślałem idiotycznie. Łeb mi się kręcił. Olejne bohomyzy z postaciami w długich szatach zaczęły mi tańczyć.

– I co – powiedział – napijemy się?

Już stała na biurku kryształowa karafka z przezroczystą wódką. Już nalewał.

– Widziałeś więc trzy osoby dramatu. A jutro ostatni akt się zacznie. Jutro, może pojutrze.

– Jakże trzy? – tak na pewno zapytałem wtedy. – Jakże trzy?

Pomyślałem, że mógłbym zostać czwartą.

– Jakże trzy? – powtórzyłem, myśląc o postaciach z obrazów. Tamten widok z dołu wydał mi się pijackim widziadłem. Zresztą chyba go już nie pamiętałem.

– No trzy. Żona, jej ukochany i ja. Banalny trójkącik, co?

– Banalny – skinąłem głową, wychylając do dna kieliszek. Część świnstwa wylała się. Wycierałem bezskutecznie kołnierz. Wycierałem i wycierałem.

– Nie taki całkiem jednak banalny. Nie całkiem. Weź bracie pod uwagę, że jestem uczonym. Rozumiesz: u-czo-nym. No, jeszcze jednego. Jutro zacznie się rozgrywka.

– Aleśmy się urzęgli. Jak ty się nazywasz, no, gadaj. Jak się nazywasz? – tak chyba zagadywałem do niego.

– Idioto – tak chyba mówił. – Jestem Jerzy Faust. Doktor Jerzy Faust. Faust, Faust, Faust. – Ryczał mi to chyba wprost do ucha.

– Nie bujaj – zdaje się, że tak odkrzyknąłem, też w samo ucho – nie łżyj. Faust miałby tysiąc lat. A ty? Ty jesteś gówniarz. Ju-Jurek po papierosy. Szczeniak jesteś przy mnie. Po papieroooo-sy.

To się tak zaczęło. Wszystko się zaczynało w tych dniach i kończyło na wodzie.

III Na drugi dzień rano: sam mi przyniósł tackę z jedzeniem i kielichy.

Piliśmy na czczo. Tylko odrobinę zagryzał. Opowiadał mi o tej swojej liście i o tamtym. Podobał mi się. Byłbym się w nim zakochał na umór, gdybym był babą. Miał przecież gębę mocną, ciekawą, nieglupią. I młodą. Kto by pomyślał, że był już grubo po sześćdziesiątce. Przysięgał się, że to najprawdziwsza prawda.

– Pamiętasz tę scenę z lodówkami?

Nie pamiętam. Chciałem, żeby mi nalał kieliszek. Sam spróbowałem, ale mi odsunął rękę.



- Jesteś sam jak palec, wiem - powiedział
 - No to co?
 - Byłem też taki samotny. Przy swojej pięćdziesiątce z haczykiem wyglądałem pomarszczony i sterany.
 - Pleciesz.
 - Stary i zniszczony. Parszywy mól książkowy. Bez przeżyć. Wiesz gdzie się poznaje kobietę, w której można się zakochać?
 - W najdziotyczniejszy sposób się ją poznaje
 - Sądziś? Była smarkulą. Mogłem właściwie przystawiać się do jej matki. Tak się zresztą zaczęło. W filharmonii je obie obserwowałem. Ona tam z matką chodziła. Rzadko widywałem obok tych dwu pań - jednej jeszcze całkiem całkiem i drugiej - smarkuli, starszego pana o szpiczastym nosie. Tatusia. Ona miała nos prosty. Nie wiem jak to się dzieje. Skąd się jej taki wziął. Bo u nich wszyscy albo kartoflane, jak matka i babka, albo spiczaste jak tatuś i dziadek. Mniejsza z tym. Nie ważne, w kogo się wdała.
 - Lubisz muzykę? - powiedziałem, starając się nalać do kieliszków. Pozwolił tym razem.
 - Nic prawie z brzdąkania nie rozumiem. Nic. Kompletnie mnie to nie interesuje.
 - To na coś tam chodził?
 - Żeby zobaczyć jak to wygląda. Lubilem się z tego śmiać jak goście siedzą i z nabożeństwem uciekają od własnych myśli, wpatrzeni w facetów z powykrecanymi kawałkami metalu albo innymi przedmiotami o śmiesznych kształtach. Czemu to ma akurat takie kształty, a nie inne? Czemu to brzmi właśnie tak? Funkcjonalizm...
 - Ona też ma funkcjonalne? - zapytałem.
 W tym momencie przypomniałem sobie tę lodówkę z kobietą w metalowych rurkach na głowie.
 - Ty, to było naprawdę: kogo tam masz w lodówce?
 - No, ją.
 - Nie lżyj.
 - Odstaw kielich i słuchaj. - Popatrzył się na mnie jak by myślał „idioto, i tak niczego nie pojmujesz, ale ci opowiadam, bo muszę się przed kims wygadać”. Zresztą po dziś dzień nie wiem na pewno, dlaczego mnie sprowadził. Mam różne teorie. Ale o nich za chwilę. Później

- Miałem pomarszczoną gębę, ale w środku jeszcze byłem niezły. No, nie byłem zepsuty - powiedział. Na tyle nie zepsuty, że mi się zdawało, że ona się we mnie zakochała. Czort wie, może się kochała rzeczywiście. Była początkowo zazdrosna. Jeszcze jak. Potem poznałem ciekawe zбочenie tej zazdrości. Ciągnęła mnie w kółka towarzyskie. Gdy spostrzegła, że mam powodzenie, że się mną interesują takie jak ona smarkule - to wcale z zabaw nie chciała zrezygnować. Rezygnowała ze mnie. Miała swoich kolegów. Spotykała się z nimi codziennie. Nic mnie nie obchodził ten jej własny czas. Mężczyzna w moim wieku, który jeszcze niewiele zrobił, nie interesuje się duperelami. Ja się duperelami coraz mniej zajmowałem. Kompletna obojętność dla ludzi. Nie, żeby nie lubił. Owszem. Tylko bez angażowania się. Rozumiesz? A ją ludzie angażowali. Opowiadała mi początkowo szczegóły każdego spotkania. Bawiło mnie to nawet. Zartowałem sobie z niej. Czasami bardzo złośliwie. Tak, wierzyłem jej. Nie przypuszczałem, aby mogła. No, napijmy się jeszcze.

- I zamknąłeś ją do lodówki?

Już mi szumiało w głowie. On budził we mnie więcej obojętności niż zainteresowania. Poczułem się doskonale. O lodówce powiedziałem ot, tak sobie. Ta lodówka z ciałem kobiety i ta druga z mężczyzną to był pijacki koszmarek.

- Ja ich jutro obudzę - powiedział wstając.

Był wściekły. Miałem przez chwilę wrażenie, że mnie chce łupnąć. I zastanawiałem się, jak zareaguję. Tylko tego byłem ciekaw: jak zareaguję. Czy spuszczę łeb i zniosę to, czy mu oddam? Ale nie uderzył. Dobrze. Wstał i powtórzył:

- Ja ich jutro, najdalej pojutrze budzę. Pomówisz z nią. Będiesz z nią mówił. Poznasz jaka jest.

- Napijmy się jeszcze - przerwałem.

We łbie miałem już tylko ochotę na smak alkoholu. Jeszcze trochę. Jeszcze trochę. Jest wesoło? Nie? Wszystko się kręci, wykręca, zapada. Nawet przestaję wiedzieć, że istnieje. Najmilsze uczucie.

Bydlak na drugi dzień nie dał mi ani kropelki. Piłnował także, żeby nie uciekł. Ani siły, ani ochoty nie miałem na taką ucieczkę. Gdy sobie porównałem klub z tym co teraz. Nie, szkoda porównywać. Nie dał mi pić. Ale da.

Pokazywał mi dokładnie to swoje największe doświadczenie. Ciała tych dwójga tkwiły w wannach z roztworem fizjologicznym którego temperatura była znacznie niższa od zera. Kazał mi dotknąć płynu. To była bardzo zimna lemomada o żółtawym kolorze. Nagie ciało wydawało się w niej woskowe i rybne. Nic ludzkiego, przysięgam, przysięgam. Posąg. Twardy. Próbowałem. Brrr.

Tkwiła w tym jakaś szalona perwersja, gdy się usiłowało wierzyć, że ta kobieta, z tymi ładnymi kształtami jest jeszcze żywa, że można się do niej zbliżyć i dotykać, a ona kiedyś będzie czuła i mówiła. A teraz właściwie jej nie ma. Bo że właściwie nie żyła, to fakt.

Co się dzieje z człowiekiem, któremu się odbierze naturalną temperaturę ciała? Wyjaśniał rzeczowo, ale pod tym musiała się kryć gorączka. Wyjaśniał mi, że organizm ludzki jak gdyby rozpada się wówczas na najdrobniejsze cząstki.

Już przy 29 stopniach, tak - przy plus dwudziestu dziewięciu - zanika świadomość. Człowiek staje się nieczuły na wszelkie bodźce. Mankin, bryła sztucznie połączonego mięsa, nerwów i kości. Nic. To jest tak zwana zimna anestezja. Życie stopniowo przechodzi w stan, który Claude Bernard określił jako *vie non manifestée*. Nie ma go w gruncie rzeczy, trwa podskórnym, drzemie gdzieś tam głęboko jak u ryb uwięzionych w krze lodowej.

Serce osiąga swój biegun chłodu przy dziewiętnastu, plus dziewiętnastu lub nawet plus szesnastu stopniach. Staje. Zupełnie się zatrzymuje. W miarę dalszego ochładzania zrywają się więc wszelkie kontakty między poszczególnymi organami a nawet komórkami. Każda cząstka ciała stara się resztkami sił wegetować na swój własny rachunek. Nie trzeba jedzenia, nie potrzeba powietrza.

- Popatrz.

Nalozyl kłosz na woskową twarz w wannie. Pokazał mi manometr. Ogromny manometr z długim czarnym wężem.

- Wypompowuję powietrze.

Wąs ruszył. Zatrzymał się w pobliżu zera.

- Ani krztyny powietrza.

Oddychałem gwałtownie. Czulem każdy swój oddech. Wydawało mi się, że każdy kolejny coraz trudniej łapię. Przestanę oddychać?

Fluimacyli mi z kolei, że według prawa, pamiętam doskonale, aż się dziwię, że to tak precyzyjnie pamiętam, według prawa van t'Hoffa-Arrheniusa intensywność reakcji chemicznych zwalnia się dwukrotnie po obniżeniu temperatury o kolejnych 10 stopni. Po oziębieniu tego ciała do plus 30 stopni, czyli zaledwie o głupich siedem kresiek, zużycie tlenu zleciało o połowę. Przy dwudziestu stopniach - aż do 85 procent. Ustrój liczący sobie 10 stopni ciepła zużywa tylko 5 procent tej ilości tlenu jaką zazwyczaj spożytkowuje w normalnej temperaturze. A ona

Ona jest w pobliżu zera. Nie oddycha. Rozumiesz?

Opisywał mi jak ich oboje zwabił i jak z nimi postąpił. Z detalami to objaśniał. Widocznie sam nie mógł i nie chciał uronić ani szczegółu. Chciał je wszystkie mieć świeże, świeżuteńkie. Na zawsze w pamięci.

Przerwałem mu wtedy całkiem serio, że jak mi będzie zabraniał dalej pić to go obezwładnię

Py, ty byś to potrafił? - I zaśmiał się

Myslałem, że prowokuje awanturę. Ale nie. Tylko spod oka pilnie mnie obserwował. Więcej się nie zaśmiał. Pozwolił mi się znowu napić. Pił także sam. Trochę gorączkowo. Niemal jednego za drugim.

Opowiadał te sceny zbyt chaotycznie jak na mój gust i słabą głowę. Nakrył ich w sposób prymitywny. Wrocil z podróży do Anglii dzień wcześniej. Zastał chłopaka z nią. Oni byli podobno dla siebie bardzo odpowiedni, doskonale dopasowani fizycznie i psychicznie. Rozmawiali sobie o różnych tam głupstwach i to ich wzajemnie bawiło. Opisywali sobie każdy szczegół swych idiotycznych uczuć. W stosunku do Jerzego ona się zachowała brutalnie. Oświadczyła mu, że ma go już po uszy, że stary i ze z takim starcem nie ma w ogóle nic do roboty, że tylko mężczy i pudzi. Takie to ёмоје boje wygadywała. I wreszcie trzeba się rozstać. Tak powiedziała, wprost. Przy tamtym, który także zachowywał się dość bojowo. „Niech pan nie myśli, że ja pan skrzywdzi. Żadnych takich brutalności” - stawał się chłopak. „Co pan zresztą o niej wie. Jesteście różni, obcy ludzie. Jakże pan ma do niej prawo?”

Wtedy Jerzemu Faustowi rozjaśniło się w głowie. Postanowił wykorzystać swoje doświadczenia naukowe. Zamrozę ją. Zatrzymam w tej postaci, w jakiej ją kochałem, a tymczasem wykorzystam swój inny wynalazek i będę się odmładzał.

Miał takie środki od dawna wypróbowywane na zwierzętach. Cemu by ich działania nie wypróbować na sobie?

Przypatrzył się mojej szyi - powiedział, rozpinając kołnierzyk swej zawsze śnieżnobiałej koszuli.

Z tyłu, za uszami i pod włosami, dojrzałem całe łańcuszki schodzących aż na kark blizn. Małych, ledwo, ledwo widocznych, już starych. Po dawno zasklepionych ranach.

- Ta parka nie przevegetowała w wannach całych dziesięciu lat, o nie - DoJał.

I zaraz przyszła kolej na mrozące moją krew opisy zabiegów, jakie na tych obojgu dokonywał. Idąc śladem sławnych odkryć Filatowa, który stwierdził w tkankach poddawanych działaniu niskich temperatur wytwarzanie się substancji bodźcowych, zwanych biogennymi stymulatorami, Faustowi udało się wyodrębnić jedną z takich substancji.

- Dawniej nikt nie mógł tego zrobić - mówił ciągle gorączkowo, ale z tą swoją przerażającą naukową dokładnością. - Nie mógł, ponieważ mnie pierwszemu udało się doprowadzić człowieka do temperatury zerowej, a nawet nieco poniżej zera. A wówczas ta substancja, broniąca resztek organizmu od nieuchronnej śmierci, szczególnie silnie się ujawnia. Jest jej dużo i jest bardzo aktywna. Nazwałem ją fausteronem, zwłaszcza, że ma charakter zbliżony nieco do hormonów, wiesz? Ach, gdyby udało się ją otrzymywać syntetycznie, coż to byłoby za eliksir młodości.

Przerwał, wpatrywał się chwilę w postaci w wannach. Potem zbliżył się i ku memu przerażeniu i wstrętowi zaczął je odwracać, ukazując miejsca, z których pobierał skórę, zawierającą ów wytwarzany przez chłód - fausteron organiczny.



- To był potwornie żmudny i ponury proceder. Zapewnam cię.

Oziębiał tych dwoje. Po miesiącach, czy nawet po roku w oziębionych było sporo tego fausteronu, więc ich zagrzewał, chuchał, dmuchał - aż dochodzili prawie do przytomności. Zdierał z nich niewielkie płaty skóry, wszczepiał sobie. Przywracały młodość jego twarzy i całemu ciału, mimo że pobierał je w niewielkich ilościach. Potem znowu ich na długie miesiące zamrażał. Znowu ogrzewał. Ponownie pobierał skórę. I tak mijały lata.

- Ile? - zapytałem niecierpliwie.

Dziesięć. Jutro mija równa dziesiątka.

Teraz rozumiałem, skąd sprzeczne informacje o jego długich wyjazdach ekspedycyjnych, niby to do dalekich i dzikich krajów, gdzieś nad Amazonkę.

Teraz pojmujesz? Dziesięć lat. A ona, ona wyjdzie po tej dziesiątce identyczna jak wówczas, gdy ją kładłem po raz pierwszy do wanny, dziewiętnastolatka. Dziewczyneczka. Sam smak życia. Dlaczego miałem tego nie próbować? Myślałem sobie zawsze: „zatrzymam ją, zamrozę w tej postaci jaką najbardziej kocham, a sam się odmłodzę”. To trwałq, prawda. Musiało trwać, ale wbrew naturze czas pracował dla mnie. Odmłodzę się - myślałem i wówczas będę się z nią mógł lepiej porozumieć. Zobaczysz mnie takim jakiego jeszcze nie widział. Wtedy przebaczy próbę, to swoje zamrożenie, które przecież i jej przedłużyło młodość, a pewnie i całe życie. Przebaczy. Musi przebaczyć.

Swoją drogą jak on mógł tak rozumować? Musiał być dobrze zaszkolowany. Jak można sądzić, że człowiek, któremu jego ręka przerwała życie w najważniejszej chwili, przebaczy mu wszystko?

Nie rozumiem Jerzego. Staram się, ale go nie pojmuję. Nie wiem, co w nim siedzi. Kompletnie wariactwo. Ale wariactwo postępujące tak konsekwentnie i logicznie, działające bezbłędnie - coż to za wariactwo. Mój Boże, jakż jestem trzeźwy, że umiem się zastanawiać, co właściwie w tym człowieku przeważa: chęć zrobienia doświadczenia, jakiego nikt przed nim nie zrobił, chęć sławy, chęć odmłodzenia siebie? A uczucie do tej Lizy?

Gdy ich zastał razem, postanowił nie tylko ją, ale ich oboje zamrozić. I zagrać grę. Wolną grę. Ciekawy był piekielnie, jak z tej gry wyjdzie. Ja jestem głęboko przekonany, że nie można wygrać. Ona wybrała tego młodego, który tego jej wyboru padł ofiarą. Pytałem Jerzego czy oni oboje zachowają pełną świadomość po eksperymencie (że ja jeszcze ciągle wierzę, że oni z tego wyjdą cało).

- Naturalnie - odpowiedział.

Pewnie - dodał - bez tego nie byłoby całej mojej gry. Wolnej gry sił, w którą i ty - uśmiechnął się - i ty zostałeś wciągnięty.

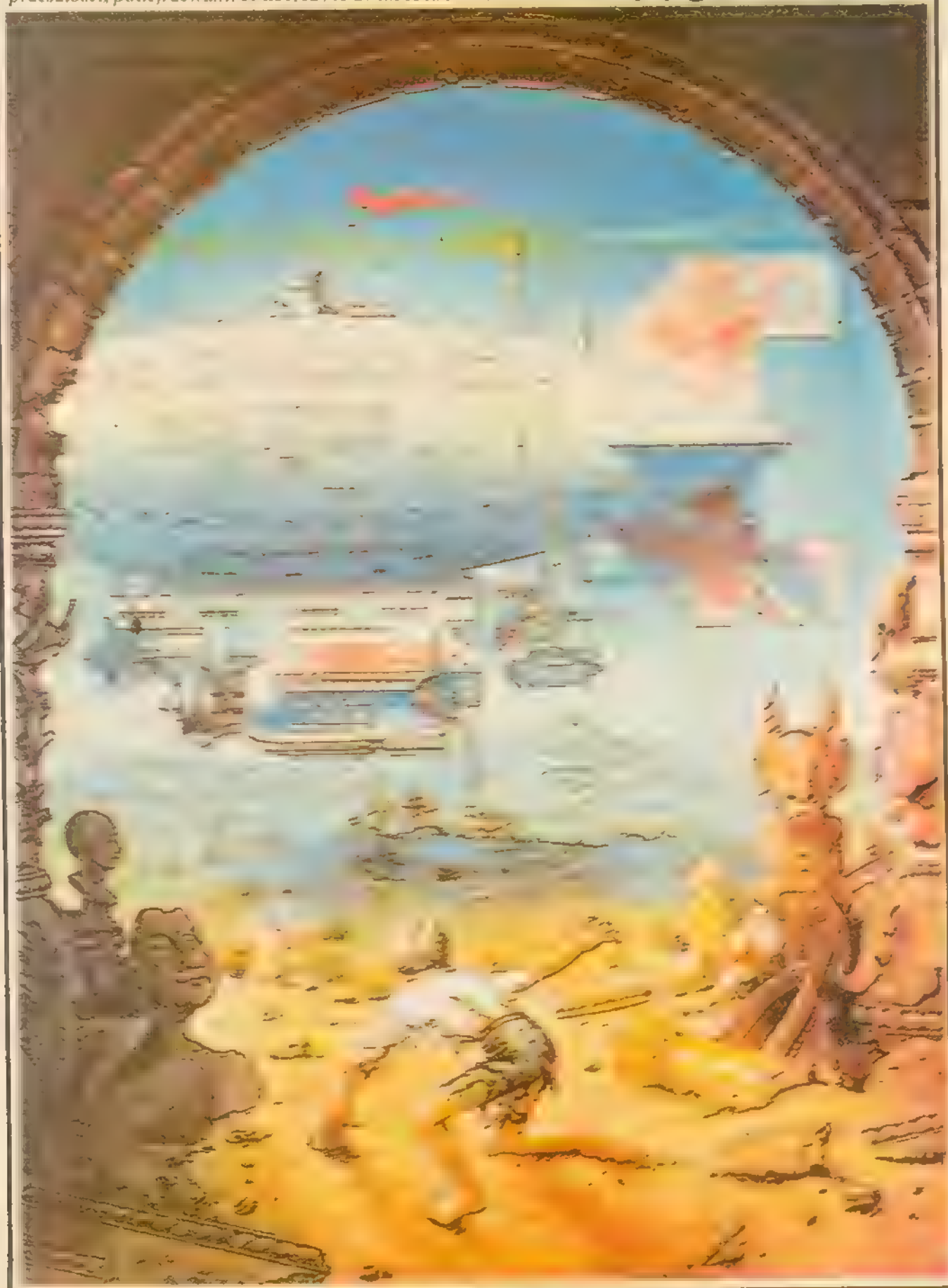
Po co ja?

- Zobaczysz.

Co do mnie to mnie było wszystko jedno. Nawet przy wódce mroziło mnie jego ohydne opowiadanie ze szczegółami. Gdy ich zastał i kie-

„Od wielu lat świadomie nie używam modeli i nie maluję z natury. Jeśli artysta może w ogóle zrobić coś unikatowego, wynika to z tego, że robi to coś »nie tak« – to daje jego dziełu wdzięk i tajemniczość. Postaci maluję teraz w sposób, który jest anatomicznie niepoprawny, lecz to jakoś tam pasuje do obrazu. Myślę, że wielu malarzy popełnia błąd i sądzi, że konieczne jest coś w rodzaju »prawidłowości«. Mylą się. Tak przecież robiło wielu artystów w przeszłości, podejrzewam, że dotyczy to zwłaszcza średniowiecza”

Patric Woodroffe



IV Właściwie to byłem Jerzemu Faustowi nawet wdzięczny za te ciosy i za ten wstrząs. Zdałem sobie sprawę, że jedynym człowiekiem, który się mną poważniej zainteresował był tylko on. A więc jest ta jedyna głowa w pamięci.

Wstałem z ciężkim łbem. Kotary na oknach zapuszczone. Ciepło w tej hali z antykami. Jak król się poczułem, mimo ciężkiej głowy. Kto tak kiedy o mnie dbał: machinalnie sięgnąłem po stojącą obok butelczynę. Trochę po omacku nalałem sobie kieliszek. Kotary na oknach były zapuszczone, ale mnie mało interesowało czy to rano czy wieczór. Wypiłem jeszcze jednego. I jeszcze. Zapomniałem o ciężkiej głowie. Miałem plaster na prawej stronie podbródka, plaster na policzku i nic więcej. Dotykałem jednego i drugiego. Bawiły mnie te obce ciała na twarzy. Wszystko mnie tego dnia, wieczora, a może nocy – bawiło. Mogłem w każdej chwili wyjść na zawsze. Ubrać się i uciec. Otwierałem szafę i zamykałem. Wymacywałem różne, wiszące w niej ubrania. Mogłem w nie natychmiast przeskoczyć z mej piżamy, a raczej z piżamy Jerzego Fausta. Tak mi się przynajmniej wydawało. On nie pilnował mnie teraz wcale. Widocznie bardzo zajęty. Aha, koniec eksperymentu. Koniec tych makabrycznych lodówek w piwnicznym laboratorium.

Faktycznie. Co mnie to zresztą obchodzi. Niech sobie wskrzesza swoich umarłaków. Niech ich nawet z powrotem zamraża. Niech mnie bije codziennie po mordzie, byłem tylko mógł być w takim nastroju. Zaśpiewałem sobie. Coś tam sobie pod nosem podśpiewywałem. Kto wie zresztą czy nie bardzo głośno. Czort wie co. Nieważne. I właśnie wtedy otworzyły się te wielkie drzwi, jak w auli uniwersyteckiej.

Kobieta była w krótkim szlafrocuku, w pantoflach, włosy miała jakby trochę zlepięte. Zresztą pomalowana jak lalka świeżo ściągnięta z wystawy. Świetnie to widziałem mimo półmroku. Nie wiem dlaczego zawstydzilem się bardzo, że jestem także w szlafroku i na bosaka i w takim nastroju i że trzymam kieliszek w ręce. Natychmiast o tym wstydzie zapomniałem. Na wszelki wypadek cofnąłem się za wielki czarny stół. Widać mnie było więc tylko do połowy. Taka między nami była śmieszna rozmówka:

- Ooo, kto pan jest? Nic o panu nie wiedziałam.
- Szuka pani Jurka? On na dole wypuszcza pewnie zwierzątka z lodówki.
- Mnie już wypuścił.

Racja, że w tym szlafrocuku nie nadeszła z ulicy. Musiałem mieć bardzo idiotyczną minę, bo się zaśmiała. Zaśmiałem się także, ale z wielkim zmeszaniem.

- Pani? To pani. No, no i jak się pani czuje?
- Cudownie. Czemu człowieku siedzisz za tymi wariackimi kotarami?

Podbiegła do okna. Wspięła się na palce. Odwróciłem się za nią jak słonecznik za słońcem. O ile dobrze pamiętam. Buchnęło światło. A ona, odwrócona, na tle światła, była czarną wspaniałą kobiecością.

- Cudownie – powtórzyła. – Przyjemnie jest żyć.
- A, a pani, pani coś z tamtego pamięta?
- Człowieku nie zwracaj mi głowy.

Podeszła do stoliczka z karafką. Nalała sobie. Wychyliła duszkiem. Zauważyłem wówczas, że jej ręce trochę latały. Rozlewała na stolik. Gestem zaprosiła mnie koło siebie, na tapczan. Skrępowany, ale posłuszny usiadłem i napiłem się. Ona także. I jeszcze raz. I jeszcze.

- Wesoły z ciebie chłopak – powiedziała. – Widać, że pijesz cały boży dzień. A to on ciebie także tak urządził?

Rozglądałem się jakby nagle niebezpieczeństwo było tuż tuż. Dotknąłem plastrów na pysku. Przyciszyłem głos.

- Gdzie go pani zostawiła?
- Nie wiem. Wyszedł chyba do miasta. Musi odwalić te swoje naukowe interesy.
- A ten drugi?
- Pan mnie naprawdę zaskakuje. Coś wie, ale... Eee. Ile, właści-

wie pan spał czy leżał nieprzytomny? To już drugi dzień jak jest po wszystkim. Drugi dzień. Po co właściwie pan tu jest?

- Po co tu jeszcze siedzisz – krzyknąłem chrapliwie i zamachałem po pijacku rękami, machałem beładnie. – Po co tu siedzisz, wołałem, wstając, chwytając ją wpół i starając się dopchać do drzwi. – Uciekaj. Ledwo się wyrwała.

– Dom wariatów – powiedziała. – Czy nie widzisz człowieka, że jestem w niezłym humorze i nie mam na razie zamiaru stąd czmychać? Co ja tam sama zrobię? Co ja bym na świecie sama robiła?

- Przecież on, przecież tu on...
- On stracił swoją władzę. Człowieku – powiedziała, śmiejąc się i mruczając do mnie oczy – człowieku on stracił władzę odkąd mnie ożywił. Co mi może zrobić? W każdej chwili mogę stąd wyjść. W każdej chwili. Patrz – dodała – klucz do laboratorium, klucz do mego pokoju, klucz do drzwi wejściowych, zawsze mogę wyjść. Ale co on mi może więcej zrobić. Jest dobry, łagodny i – i pełen niepokoju. On się teraz tylko może bać.

- Nic mi się nie układało w głowie.
- No to wypijmy – powiedziałam.

Kiedy on przyszedł wcale się nie zorientowaliśmy. Zobaczyłem go dość niespodziewanie z tą jego przystojną, młodzięcą, gładko wygoloną twarzą, w tym jego eleganckim ciemnym garniturze. Przysiadł na stoliku fortepianowym. Okręcił się w kółko. Przypatrywałem mu się. Musiałem mieć bardzo mętne oczy, bo się uśmiechnął drwiąco, pokazując mi kieliszki. A potem pociesznie pogłaskał się po twarzy: po podbródku i policzku, jakby chciał mi przypomnieć moje plastry. Czekaj, że się znów zdenerwuję? Nic z tego.

- No to pijmy Jerzy – powiedziałam, nalewając trochę trzęsącą się ręką.

Kobieta się śmiała głośno. Za chwilę było nas już aż trzech mężczyzn z nią jedną. Przypatrywałem się z kolei jej bubkowi. Chuderławy, szczupłutki. Wobec Jerzego Fausta prawdziwy wymoczek. Tacy mali bywają najbardziej zaczepliwi. On też ciągle zachowywał się wyzywająco. A w stosunku do niej zbyt poufale. Gdy ją objął i przytulił, spoglądając na Jerzego ze śmiechem, powiedziała ostr.

- Nie chcę tego. Odczep się. – Odepchnęła go bardzo silnie. Omal że się nieśkatulał z tapczanu, na którymśmy wszyscy razem siedzieli. Ryknęliśmy w trójkę śmiechem. On się zaczerwienił. Przysiadł na krawędzi.

- Nie myśl, że ujdzie ci to na sucho – mówił do Jerzego.
- To czemuś stąd od razu nie wyfrunął? – spytał Jerzy.
- Przestańcie – krzyknęła – źle wam tak? Mnie tak dobrze. Należy jeszcze, człowieku.

Nalałem. Potem tańczyliśmy z nią po kolei. Jerzy był szarmancki i starał się nie reagować na zaczepki tamtego. Ja wszystkim ustępowałem.

To był wyjątkowo zadziorny kłógucik ten jej bubek. Złościł mnie. Zresztą i on się urzął. Nawet nie pamiętam kiedy się ta zabawa skończyła: kiedy nadszedł wieczór, a kiedy rano.

O nie. Przepraszam. Cholerną wodą. Jedno mi się przypomina. Gdy po raz nie wiem który ona tańczyła z Jerzym Faustem zauważyłem, że on stara się ją pocałować, a ona przyjmując to z radością. Diabelska sprawa. Wypuścił kobietę z lodówki, gdzie przeleżała bez życia całych dziesięć lat, a ona jak gdyby nigdy nic. Całuje się z nim.

Poczułem odrobinę sympatii do stawiającego się bubka. Nie wiem czy on także widział, bo był kompletnie zalany i zdawało mu się, że na antycznym stoliku szachowym rozgrywa wielką partię.

Ustawił szachy, powpyrowadzał piony i figury. Mruczał: „szach, szach, szach, mat”. Potem wszystko trochę cofał i jeszcze raz swoje. „No, czemu nie robisz ciągu” – zapytał mnie. „Rób”. Wzruszyłem ramionami. „Rób” – powtórzył. I jeszcze coś plół. Nie słuchałem. Podśluchiwałem rozmowę tańczącego Jerzego. Teraz myślę, że oni całkiem głośno rozmawiali. Ładna para.

- Jesteś teraz naprawdę młody chłopiec – mówiła mu. – I tyle, tyle umiesz. Młody, fajny chłopiec.

Czyżby on wygrał? – pomyślałem. Już samo to, że ona nie chciała uciekać mogłem śmiało uważać za jego wygraną. Teraz mu się przypomniała. Coraz więcej sympatii czułem do tego wykiwanego bubka. Tyle co ona przeleżała przez nią w lodówce. Tyle przeleżał i nie żył, żeby ją teraz stracić. Niech to wszyscy diabli.



V Szukałem jej po całym domu. Ani jej, ani bubka nie znalazłem. Z przykrością uświadomiłem sobie, że wszystko robię dziś zupełnie na trzeźwo. Nie ciągnęło mnie do butelki, choć po wczorajszej bibie (a może to było przedwczoraj lub wcześniej jeszcze?) dość ich jeszcze i to nie całkiem pustych wałało się po barze i po stołach. Nawet nalałem, ale zapomniałem wypić. Trochę mi się to śmieszne wydawało. To bieganie po całym domu. Działalem jak w gorączce. Tłumaczyłem się, że to po wczorajszym pijaństwie i dlatego że dzisiaj ani kropli. Dobrze. Pal diabli tłumaczenia. W korytarzyku na dole, do którego doszedłem, paliły się dwie jarzeniówki. Syczały głośno, podkreślając pustkę. Zmitygowałem się. Trzeba było wejść cicho, niespodziewanie – jeśli oni są tutaj. Buchnęło zimnem i Jerzy Faust uśmiechał się przed kabiną. Nie mówił jeszcze nic, tylko uśmiechał się i obserwował mnie. Odsunąłem go. Wszedłem. Dał się łatwo odsunąć. W wannie, w której przedtem ona musiała leżeć, tkwiło kosmate cielsko dużej małpy. Odsunąłem się mimo woli. Klepnął mnie po plecach. Objął i pokazał drugą małpę w drugiej wannie. Zatkąło mnie.

– Wściekły? – zapytał.
– Znowu te doświadczenia? – warknąłem.
– Jasne. To nie może być przerwane. Fausteron, rozumiesz? Nie może, bez względu na to jak się moja osobista sprawa rozwinie.

– Liza?

Wzruszył ramionami.

– Nie więzę jej. Skończyłem doświadczenia. Nie więzę.
– A bubek?

Widziałeś, że wczoraj miał dość.

– Co on robi? No, mówże co oni robią. Wyszli jednak razem?

– Nie, nie razem. Rano spakował swoje manatki.

– Pewnie się gdzieś umówili.

Przyjrzał mi się jakby mnie pierwszy raz zobaczył. Zachowałem się po kretyńsku. Mówiłem bardzo blisko jego twarzy. Z pasją. Więc zapytał:

– Nie pijeś? Nic nie pijeś. Popatrz no.

Przeglądałem się małpom. Nie do zniesienia była myśl, że on ludzi trzymał w tych samych wannach co te małpy. Falszywie to wyrażam: inaczej to wówczas formułowałem. Całkiem inaczej. Małpy leżały nieruchomo ze szklistymi otwartymi oczyma, ustami lekko uchylonymi, z diademem rurek na głowach. Skąd je wziął, te małpy? Gdzie, u diabła miał klatki? Byłem zawsze taki pijany – willi dobrze nie znałem. Teraz sobie to z całą ostrością uświadomiłem, gdy liczyłem wszystkie obejrzone przed chwilą pokoje i zakamarki, które przebiegłem szukając tamtych.

– Nie pijesz – powtórzył. – Wszedłem naprzeciw ciebie jakże huknął drzwiami – zrobił ruch ręką: chciał mi pokazać o jakie drzwi chodzi. – Wszedłem naprzeciw, bo się bałem, że mozesz... – Tu ręka mu przeszła nad moją głową, po drodze lekko stuknął mnie pięścią w czołkę. Zareagowałem bardzo gwałtownie. Pchnąłem go tak, że się mało co na wannę nie przewrócił.

Oparł się o ścianę. Miałem przez moment wrażenie, że rzuci się.

Czekałem na to. Po raz pierwszy wyczulem jednak: nie miał odwagi zaatakować. Sprawilo mi to przyjemność, rozładowało napięcie.

Nie pijesz, bracie – powiedział – a zachowujesz się jak pijany.

– Chciałbym wreszcie wiedzieć do czego ci byłem potrzebny.

– A ja chciałbym wiedzieć, czy się przypadkiem nie przydałem na coś?

– Ty mnie?

– Tak, ja tobie.

Staliśmy tak naprzeciw siebie. Jerzy Faust roześmiał się. Nie jestem pewny, czy to nie było wymuszone.

– Nie bój się. Wróci – dodał prędko, kładąc mi dłoń na ramieniu.

– Bubka wyrzuciła, wyrzuciła, wyrzuciła.

– Wygrałeś?

– Wątpisz.

– Tobie się zdaje, że twoja nauka pozwoliła ci zeżreć wszystkie rozumy. Tymczasem nigdy nie wiesz jak się zachowa człowiek. Nigdy. Ja, ja sądzę, że tu każde doświadczenie zawodzi. Zawsze nas zawodzi doświadczenie.

Wołała Liza.

Głos jej w tej chłodnej i pustawej przestrzeni zabrzmiał wobec naszych szczególnie ciepło i mocno. Obaj podskoczyliśmy ku drzwiom.

– Jurek – wołała – co ty tam znowu robisz.

Przepchnął się przede mną przez drzwi. Szczęśliwy człowiek. Czy na to byłem mu potrzebny? Zarzuciła mu ręce na szyję. Zachowywała się jak dziewczynka. Czegoś innego w niej szukałem. Ubzduriała sobie, że po tym co zaszło powinna być inna, że zawsze powinna być inna. Tymczasem z tamtym na pewno była taka sama. Z każdym. Na mój widok ucieszyła się wyraźnie. Pokazała nam torbę.

Otwierała ją gorączkowo, nawet nie patrzyłem na fatalaszki, które stamtąd wyciągała. Ohydny banał. Coś gorszego niż banał. Szmira – powtarzałem sobie.

Można jednak z góry przewidywać zachowanie się takiej kobiety. Faust znał ją oczywiście lepiej i dłużej ode mnie. W tej chwili jego doświadczenie, to doświadczenie z ludźmi, ta cała walka i rywalizacja zrobiła się śmieszna. Jerzy zmalował w moich oczach, kompletnie zmalował.

Zostawiłem ich i poszedłem się napić. Dogonili mnie

– Nalewaj – wołali – nalewaj.

Drżały mi ręce, gdy nalewale.

– Z czego się tak strasznie śmiejiesz, popatrz jak on się śmieje. Nie marszcz się tak w śmiechu, bo brzydko i staro wyglądasz – powiedziała do mnie, a raczej krzyknęła. Rzeczywiście nie miałem dotąd najmniejszego pojęcia, że się zanoszę od śmiechu. Jerzy Faust poklepał mnie po plecach.

No i widzisz chłopie, w porządku.

Jakich nadzwyczajności mogłem się po nich spodziewać? Tak, ale to jeszcze nie wszystko. Co się stało dalej muszę opisać, choć ręce mi się znowu trzępią od przepicia jak zarzynane kury

VI Na dworze było mnóstwo słońca.

Wcisnęło się tu, między stare meble i obrazy. Odbierało trochę powagi. Wyobrażałem sobie jak Jerzy musiał paskudnie spędzić tę noc. Odwrócił się do mnie plecami, gdy nalewał kieliszki. Wygodniej mu było w ten sposób przystąpić do stołu. Obserwowałem jego ręce. Ani drgnęły.

– Nie masz do mnie żalu? – zapytałem.

– Do ciebie? Sam ciebie sprowadziłem.

Istotnie wyglądał na pogodzonego z losami. Ile w tym było udawania? Zniknął nawet najmniejszy śladzik jego drapieżności. Może w nim tego nigdy nie było. Zresztą – pocieszałem się – miał do czego wrócić. Miał swoje doświadczenia: podobno z jedną małpą, na dole, działo się nie najcieplej.

Powiedziałem mu:

– Masz swoje doświadczenia, masz co robić.

– Zostawcie mnie? – zapytał.

To samo pytanie postawił jeszcze wczoraj.

– No przecież we trójkę żyć nie będziemy.

– Nie denerwuj się. Nie potrzebujesz się denerwować. Tylko powiedz, jak pójdziecie, z czego będziecie żyli?

Wtedy mi się przypomniało jak ona beztrudno nad tą sprawą przeszła do porządku dziennego. Było już dobrze po północy i Jerzy trochę chwiejnym krokiem poszedł do swoich małp. Uparł się, że pójdzie. A myśmy mu mówili: „zostaw to do diabła”. Ale musiał się nudzić i musiał być zły, gdyż ona coraz rzadziej z nim tańczyła i mówiła.

Tylko wyszedł przysunęła się do mnie. Stała tuż, tuż, leciutko oparła się na mnie. „Człowieku – powiedziała – i ty myślisz pewnie, że ja bym z Jerzym została. Po tym wszystkim co się stało. Musiałam mieć trochę czasu na ochłonięcie. I tamtego chciałam się pozbyć”. Zachnąłem się. Nie spodziewałem się przecież tego, ale daleko było od najgorszego ze wszystkiego czego dotychczas doświadczyłem. „Zostawisz go?” „Pewnie. Niech sobie szuka idiotki. Widziałeś tę jego sztuczną młodość. Ona jest tylko z wierzchu. W środku został taki sam jak przedtem”. „Kocha cię jednak” – próbowałem go niby to bronić. Ale jakim to głosem robiłem. „Człowieku – powiedziała – o miłość nie jest wcale trudno”. Skrzywiłem się. „Głupio się krzywisz. Nie masz pojęcia co we mnie siedzi”. „Co siedzi?” Objęła mnie nagle i pocałowała. „To we mnie siedzi”.

Nie dosłyszeliśmy jego kroków. Wszedł cichutko po tych swoich puszystych, profesorskich dywanach. Dopiero kiedy stanął nad moimi plecami zwiertziłem niebezpieczeństwo. Szybko się odwróciłem. Miał oczy ściągnięte i nabiegłe krwią. Co miał do stracenia? Doświadczenie wygrał, ale przegrał tę swoją ludzką walkę. Wybrał mnie pewnie tylko dlatego, że uważał mnie za słabego przeciwnika. Oszukiwał samego siebie tą równą walką.

Tymczasem tak się to wszystko wykołowało. Co miał teraz do stracenia? Przestraszyłem się, że wybierze ostateczność.

„Nie idzie mi” – powiedział przez zęby.

„Pomówmy otwarcie – powiedziała Liza. – Absolutnie nie mam zamiaru z tobą zostać. Próbowałam, ale już nie mam zamiaru”.

„Nie idzie mi” – powtórzył Jerzy w moją stronę. Odpaliłem ostro: „Znaliśmy się tak krótko, że nie mam wobec ciebie żadnych zobowiązań. Poza tym te twoje doświadczenia z ludźmi. Mam dość twoich doświadczeń z ludźmi. Nie będziesz więcej robił prób z ludźmi”.

„Zabronisz?” Siedziałem na niego. Ten sam przycisk, który miałem w ręce podczas pierwszego starcia, twardą metalową statuetkę (zabijcie mnie, jeśli wiem co przedstawiała) już ścisnąłem w dłoni. Od razu ją miałem na oku. Tę statuetkę. I jego łeb. Pochylony łeb z przymrużonymi oczami. Uniosłem statuetkę. Pochylił głowę jeszcze mocniej. Nie patrzył na mnie. Patrzył w bok.

„Radzisz mi nie robić doświadczeń z ludźmi. A to czemu? Coś na tym stracił”.

Zdawało mi się, że go dobrze zrozumiałem. Nie odchylił się, gdy robiłem zamach, nie wyciągnął nawet rąk przed twarz. Cisnąłem statuetką w lustro, które odbijało naszą trójkę. Rozprysło się na kawałki. W jednym odłamku została tylko część twarzy Lizy.

Karmił mnie. Wtajemniczał w swoje sprawy, jeśli nawet chciał, że bym był łatwym przeciwnikiem – okazałem się trudniejszy. On tracił,

Fausteron

ja zyskiwałem z każdą chwilą. Odbierałem mu to, co sobie zbierał. Liza miała twarz histerycznie wykrzywioną i piskiała: „Nie chcę, żeby przeze mnie lała się krew”. Obaj zatrzymaliśmy na niej oczy. Zrobiła ruch jakby chciała objąć Jerzego. Zawahała się. Przyskoczyła do mnie. „Weź mnie stąd. Weź mnie stąd. Prędko”.

„Co mam robić Jerzy” – zapytałem bezradnie. Uśmiechnął się. To był gorzki uśmiešek.

„Chciałem wam powiedzieć – odezwał się jak najspokojniej umiał – że nie bardzo mi poszły doświadczenia, tam na dole. Jedno zwierzę ma się źle. Bardzo źle”.

VII Z czego będziemy żyli we dwójkę? Zastanawiałem się nad tym właśnie gdy mnie o to zapytał. Nie mogłem o tym nie myśleć jak Liza.

– Postaram się jakoś wkręcić do starej roboty.

– To nie będzie łatwe. Znają cię z najgorszej strony.

Byłem wściekły, że mi tamte sprawy przypominają. Na pewno miał rację, ale po co mi wypominał.

– Mam zrezygnować? Żądasz jednak, abym z niej zrezygnował?

– Nie, ale może być tu... oboje...

Spojrzałem mu w oczy. Nie spuścił wzroku. Na dnie błyskały chyba iskierki ironii.

– Żartujesz?

– Nie, mówię poważnie. Mogłbym wam przez pewien czas pomóc. Pracowałbyś u mnie. – Przerwał. Ironia zniknęła. Machnął ręką. – Niepotrzebnie gadam. I tak zrobisz inaczej. Musisz postąpić inaczej po tym co wiesz i widziałeś.

– Targujecie się o mnie? – zawołała dzwicznie i wesóło Liza. – Targujcie się sobie, targujcie. – Nagle z wesołego tonu przeszła na ten swój histeryczny, piskliwy. – Czy nie widzicie, żeście obaj dla mnie dziady. Stare, obrzydliwe dziady. – Zwróciła się do mnie z pasją: – I tyś, człowieku, mógł choć przez moment myśleć, że pójdziesz z tobą. Ile jesteś ode mnie starszy. No, powiedz. Co ja bym z tobą robiła? To samo co z nim?

Złapała mnie za rękaw, przyciągnęła do okna, zza którego buchało słońce.

– Widzisz tego, tam na drugiej stronie? Czeka na mnie. Spakuję się i odejdę. Tylko bez kawałów, panowie.

Pojąłem, że musiała tak postąpić. Teraz ja z kolei wydałem się sobie śmieszny. Było to uczucie tylko początkowo nieprzyjemne, jako że do takich przykrości nawykłem był od dawna. Wszystko więc było po dawnemu? Dobrze? Dobrze czy źle? Obojętnie?

Wyszła do drugiego pokoju spakować się. Jerzy był wstrząśnięty. Poznałem to po jego ruchach, zupełnie nieopanowanych, po spojrzeniu. Na mnie zatrzymywał wzrok z jakąś niemal ojcowską czułością.

– Hm – mruknął do mnie. – Można by coś jeszcze poradzić.

– A mianowicie? – starałem się mówić swobodnie.

– No cóż, każdy może być Faustem. Ty także. – Ściszył głos. Czuliśmy, że mówi w pełnym napięciu. – Można by Lizę uspić. Zwabić tego nowego sprzed domu i także uspić. Spróbować jeszcze raz. Spróbować. Z tobą w roli głównej – dokończył bardzo szybko.

Chciał się jeszcze raz w to bawić? Liczył po cichu na odrodzenie swoich szans?

– Idź do diabła – warknąłem.

– Słuchaj, zrozumiem. Żadna sytuacja się nie powtarza. Absolutnie żadna – mówił z głębokim przekonaniem. – Ta nowa będzie całkiem nowa. Nie skorzystasz z moich rozczarowań. To będzie kompletnie coś nowego. Pojmujesz. Nie warto zobaczyć, co?

– Każdy może być Faustem – przedrzeźniałem go – i ja też. Tylko po co?

Gdy w tym momencie Liza przeszła przez pokój, mówiąc „biorę na razie torbę, po walizki wrócę z robotem” Jerzy, który przed chwilą zastąpił w geście przekonywania, z wyciągniętymi do mnie rękami, opuścił te ręce. Odwróciłem się i przez ramię powtórzyłem mu swoje „po co”.

Anna

Róża Holzman

W listopadzie 1987 r. rozstrzygnięto konkurs na słuchowisko o tematyce fantastyczno-naukowej i popularnonaukowej, ogłoszony przez Program IV Polskiego Radia (werdykt opublikowaliśmy w numerze 4/88). W pracach jury konkursu uczestniczył redaktor naczelny „Fantastyki”, Adam Hollanek. Wśród wielu nadesłanych tekstów słuchowisk powielających przestarzałe wątki fantastyki, szczęśliwie znalazło się kilka oryginalnych propozycji, których autorzy spróbowali się wyłamać z getta klasycznych tematów SF i odświeżyć tradycyjną formę słuchowiska radiowego. Przedstawiamy Państwu wyróżniającą się pod tym względem nagrodzoną pracę Róży Holzman (godło „Ada”), która zajęła w konkursie trzecie miejsce. (mp)

Osoby: NARRATOR, DZIEWCZYNA, PRZECHODZIEN I, PRZECHODZIEN II, CHŁOPIEC, SANITARIUSZ I, SANITARIUSZ II.

NARRATOR: Jestem dzieckiem nie chowanym. Pojawiam się w słuchowiskach niektórych autorów dlatego, że beze mnie cała konstrukcja rozsypałaby im się i nikt by nie rozumiał, o co chodzi.

Ponieważ mnie powołano – jestem. Ponieważ jestem – pracuję. Zaczę od prezentacji bohaterki. Jest drobna i szczupła. Ma tyle lat, na ile wygląda; wygląda młodo. Jej puśzysty koński ogon lśni w słońcu rudawo. Dziewczyna ma pewne osobliwości w wyglądzie i zachowaniu, ale zapowiem tylko dwie. Pierwsza – to jej dłonie. Długopalce, mocne, chwytliwe. Zdziwiająco delikatne, jak na osobę, która sama sprząta, gotuje, pierze. W ogóle jest sama – ani rodziny, ani chłopca. Jej drugą osobliwością są oczy: intensywnie niebieskie, granatowo nakrapiane.

Kiedy jesteśmy już przygotowani – spotkajmy ją. W leśnym wieczór na placu Zamkowym kręci się wiele ludzi, ale bez trudu odnajdziemy delikatną, płynnie poruszającą się dziewczynę, która zmierza w stronę Starego Miasta. Zwyczajem samotnych ludzi – mowi do siebie.

DZIEWCZYNA: Nie gniewaj się Święty Antoni i pomóż mi chociaż wiesz, że jestem niewierząca. Patronie szukających, wysłuchaj mnie: nie chcę niczego znaleźć, chcę zgubić. Posłuchaj...

PRZECHODZIEN I: Słucham pana...

DZIEWCZYNA: Nie do pana mówię! Święty Antoni, czy

wiesz, że w moim domu ciemność urodziła potwory? Wałą się na mnie, kiedy tylko wracam do domu, już od progu omotują mnie, perzą, klują prądem. Czasem cofają się przed krzykiem. Wzrask musi być ostry, ciągły, na długim oddechu. Nie lubię tego. Ale sąsiedzi także tego nie lubią i od razu wzywają karetkę pełną mężczyzn usiłujących narzucić na mnie szatkę z za długimi rękawami. Święty Antoni...

PRZECHODZIEN II: Czego...

DZIEWCZYNA: Proszę nie zaczepiać, bo zawezwę... Mój cierpliwy święty, przyznam ci się do czegoś: wychodząc z domu rano zapalam światełko. Wracając wieczorem już z daleka widzę jasność w moich oknach i mówię sobie: „O, ktoś miły na mnie czeka!” Ale zaraz muszę sobie powiedzieć „Nie zgrywaj się...” Święty Antoni, pozwól mi zgubić pamięć o tym, kto i dlaczego zapalił światło! Pozwól mi chociaż tak długo, jak trwa droga z ulicy aż do drzwi mieszkania, cieszyć się, że ktoś wstanie z fotela, uśmiechnie się, obejmie mnie i powie: „Tak długo na ciebie czekałem, dobrze, że jesteś!”

CHŁOPIEC: Tak długo na ciebie czekałem, dobrze, że jesteś!

NARRATOR: No nie, tak nie można! Kto z tego coś zrozumie? Po kolei! Porządnie! Przecież tu się stało coś ważnego! Dziewczyna biegnąc po schodach wyciągnęła z torebki klucz i wsunęła go do zamka, ale nie drgnął, wtedy wyjęła klucz i chwyciła za kłamekę, która ustąpiła. W pokoju na fotelu siedzi młody człowiek, bawiąc się jej błękitnymi, granatowo nakrapianymi paciorkami z lazurytu. Ujrawszy dziewczynę uśmiechnął się i nonszalanckim gestem wrzucił naszyjnik do ko-

CHŁOPIEC: Tak długo na ciebie czekałem. Dobrze, że jesteś!

DZIEWCZYNA: Jak się tu znalazłeś?

CHŁOPIEC: Proste: zgubiłem się gdzieś indziej i znalazłem się tutaj.

DZIEWCZYNA: Jak otworzyłeś drzwi?

CHŁOPIEC: Zakłócałem. Czy nie wzywałeś mnie swałem?

DZIEWCZYNA: Jak ma się zachować dziewczyna, która zostaje w swoim mieszkaniu obcego młodzieńca. Wezwać milicję? Zastukać w ścianę, żeby sąsiedzi się zbiegli? Poprosić, żeby się przedstawił?

CHŁOPIEC: Do usług: reaguję na każde męskie imię, byle nie wypowiedziane kolczastym głosem, bo wtedy natychmiast popadam w frustrację. A jak ja mam ciebie nazywać?

DZIEWCZYNA: Pola.

CHŁOPIEC: Paula? Paulina?

DZIEWCZYNA: Pola-tucha.

CHŁOPIEC: Przecież to latająca wiewórka! Jaka szkoda, że nie mam przy sobie orzechów, basiu-basiu.

DZIEWCZYNA: Rozumiem, że drzwi otworzyłeś wytrychem, ale jak sforsowałeś skrytkę?

CHŁOPIEC: Czy wyglądam na niedołęgę? Siedziałem tu sam, więc troszeczkę pomajstrowałem, aż się dostałem do twojego skarbca. Czy te świecidełka to zapasy na zimę? Nie zdziwisz się chyba, że niektóre cenności zmieniły właściciela. To jakby premia za wysiłek. Nawiasem mówiąc czajnik, w którym nastawiłem wodę na herbatę natarczywie gwiżdże. Jeśli poczęstujesz mnie kolacją, mogłbym zostać także na śniadaniu.

NARRATOR: W przedwojennym filmie nastąpiłoby po tych słowach zaciemnienie, a po rozjaśnieniu wiadomo by było, że czas na śniadanie. Prawdopodobnie jestem starszowiecki, ale muszę przyznać, że nie pochwalam takiego postępowania. Nawet bardzo cierpiąc z powodu samotności. Dziewczyna nie powinna się zgodzić na propozycję nieznajomego. Ale czy mnie ktoś pyta o zdanie? Zaprogramowano mnie tak, abym możliwie jasno relacjonował wydarzenia, więc robię to: zjeść, swaśdanie, pozmywać, poustawiać wszystko porządnie w kredensie.

CHŁOPIEC: Daj czołko, to cię cmoknę na pożegnanie. Placzą po mnie dziewczki, zanka, a szef wściekły za spóźnienie, skreśla mi premię. Bywaj! Nie lataj, jak szalona!

NARRATOR: Cyniczny łobuz? Złodziej właściwie. Jak postąpi Dziewczyna? Będzie skomleć? płakać? rozpaczć? Pozwoliła mu odejść ani słowem nie wspomniawszy o naszyjniku. Klasa! Ale czym wypeln sobie dzień? Dm? Znowu opuszczając dom rano zapalił światło? I Święty Antoni znowu be-

dzie miał mnóstwo roboty? A Dziewczyna codziennie z tą samą emocją, że tym razem już na pewno... Właśnie bieganie, skacze po dwa stopnie, niecierpliwie wtyka klucz do zamka, przekręca, otwiera drzwi i wolno podchodzi do fotela.

DZIEWCZYNA: Święty Antoni, co mógłbyś mi pomóc odnaleźć? Naszynik z lazurytu? Z nim, jak bez niego. Stoi nakruty dla dwóch osób? A czy kiedykolwiek siedział przy nim ktoś oprócz mnie samej? Coś mi się snuje po głowie, coś straszny. Trzymajmy się realów. Dzień się skończył, czas na wieczorne rachunki. Noga – to raz, dwie oczu – to dwa, trzęsionika – to... nie wiem, jak policzyć. Pracowity dzień.

Raz: Szłam za tą dziewczyną Nowym Światem spory kawałek. Z irytacją patrzyłam na jej prawą nogę skurczoną i przedkuzoną butem ortopedycznym. Przy sklepie z futrami poczułam przypływ energii, jak włączenie prądu i już byłam gotowa do przeprowadzenia korekty anatomicznej. Dziewczyna także coś odczuła. Zatrzymała się zaniepokojona, zachwiała się, przez chwilę walczyła o odzyskanie równowagi, ale nie udało się jej i grzmotnęła o chodnik. Ryczała z przerażenia, a i z bólu pewnie też – napadli zaraz na nią czekający w kolejce: „Komedianka! Udaje kalekę!” Kiedy kopniakami odsunęli ją od wejścia – przebiegłam na drugą stronę ulicy.

Dwa: Zazową kobietą spotkałam na Krakowskim Przedmieściu. Spojrzała na mnie każdym okiem inaczej, moczolnie celując w środek czoła. Wyglądała, jak rozszalone ptaszysko, które dziwnie, kiedy tylko zorientuje się, z której strony naprawdę znajduje się przeciwnik. Przez chwilę nasze oczy zmagaly się ze sobą, aż poczułam, że udało mi się nazwać rozsypane paciorki na jeden sznurek. Kobieta stała chwilę ogłupiała, a potem wyciągnęła z torebki lusterko i zbliżyła je do twarzy.

Trzy: Tego starszego mężczyznę widywałam na Rynku Starego Miasta. Dziś siedział w ogródku Hortens i jak zwykle dzwoniąc łyczekką o szkło pucharka – jadł krom. Dopiero dzisiaj to nieznosne dzwonięcie wyprowadziło mnie z równowagi. Podbiegłam do niego, wyrwałam łyczekkę i silnie uchwyciłam jego dłoń. „Ja sobie pani nie przypominam, ja pani wcale nie znam!” – powtarzał płaczliwie, kiedy tak siedzieliśmy ze splecionymi, rozłatanymi dłońmi. Oparłam mnie niezmiernie słabość. Nie mogłam tego wytrzymać. Wcisnęłam mu łyczekkę do ręki, a kiedy zaczął nią znowu dzwonić – uciekłam w pośpiechu.

Dlaczego mi się nie udało? Czy moc mnie opuściła? Jutro spróbuję jeszcze raz; z tym bezogonem spod perfumerii.

NARRATOR: Ale jutro wcale nie okazało się łatwiejsze. Sama zresztą opowie. Właśnie wbiegła do domu, usiadła na fotelu i przysunęła do siebie telefon.

DZIEWCZYNA: 31-91-11. Nie wiesz, Pogodysiu, czym się usuwa z sukienki plamy z mózgu? Nie przypuszczałam, że to się może tak skończyć. Żeby człowiek tak się bronil przed cudem?! Codziennie przechodzę przez ten róg Kruczej i Żurawiej. Od lat przyglądam się temu facetowi. Od wiosny do jesieni siedzi na kuchennym stołku. Kufe oparte o ścianę perfumerii, noga wyciągnięta daleko, pusta nogawka podpęta agrafką. Dziobata morda fiołkowa od alkoholu. Budź to we mnie coraz większą odrazę i wściekłość. Ponieważ nie chciałam zmieniać mojej codziennej trasy – musiałam zmienić coś na trasie. Gdyby ten człowiek miał dwie nogi, to by wstał, odniósł krzesło do kuchni, wyrzucił kule, zaczął pracować u Kasprzaka albo w Belchatowie i zniknąłby mi z oczu. Włec niech mu ta cholerna noga wreszcie odrośnie! Stałam obok. Skupiłam się. Po chwili poczułam przypływ tej siły, której nie rozumiem, ale z której czasami korzystam. Zakulałam go w kciach palców. Kiedy wyciągnęłam do niego ręce – rozdzawił mordę pełną czarnych pienków, chuchnął na mnie wysokoprocentowo i oblesnie zachichotał: „Paniuszka chce się pobawić?” Podalałam mu kulę i wrzasnęłam: „Wstań, kiedy nad tobą czynią cud!” Nie chciał wstać. Usiłowałam go podnieść, ale był bardzo ciężki i stawiał opór. Musiałam się śpieszyć nie tylko dlatego, że tam się ciągle kręcił młodziwcy, ale dlatego, że przypływ energii nogdy nie trwa zbyt długo. Natężyłam się i wreszcie udało mi się go po-

dnieść. Ale wtedy wałnął mnie pięścią. Zabolęło – więc się wściekłam. W szamotaninie przewróciło się krzesło, upadły kule. Teraz był zdany tylko na swoją jedną nogę i właściwie na mnie, ale mnie właśnie odpychał, bił po głowie, po ramionach, gdzie popadło. Jestem nieduża i niezbyt silna, ale czułam przecież w sobie tę moc, która miała służyć czemuś całkiem innemu, więc lewą ręką chwyciłam go za kłapy, a prawą za kudy i zaczęłam walić jego głowę o mur. Moja sukienka zniknęła w niektórych miejscach kolor i to było obrzydliwe. Jakaś babina narobiła wrzasku, ludzie zaczęli się gromadzić. Pobiegłam Kruczą do Alej, słyszałam za sobą tupot wielu nóg. Ostatkiem energii odbiłam się od krawężnika i wbiegłam. Bardzo lubię ten moment zachłystnięcia się nieprawdopodobną wolnością, ale tym razem zepsuła mi go wściekłość na samą siebie, przypomniałam sobie, że jestem w zwykłych figach, a nie w tych z koronkowymi falbankami. Trudno, niech się gapią na byle jakie, jeśli już tak pozadziękuję głowie do góry, jakby nigdy jeszcze nie widzieli latającej dziewczyny. Wyłądowałam na stopniu autobusu 17B, resztką energii rozsunęłam zamykające się drzwi i wcisnęłam się do środka. Ciekawa jestem, czy o tym całym zdarzeniu napiszą w Expressie? Jak myślisz: czy wlamywacze czytają Express? Czy taki jeden domyslił się, że to o mnie? Czy przyjdzie na kolejkę? No to jak będzie z tym przepięciem na paszteciki z mózdzikiem? Dasz czy nie? Dlaczego w kółko pieciesz o temperaturach, o przelotnych opadach? Przecież pytam, jak człowiek, odpowiedź jak człowiek! Nie zachowuj się, jak bezpańska krowa na rynku, do której każdy może podejść i ją podoc, a ona ani me ani be, gadaj kłótko, bo ci ten twój słodki głosik.

NARRATOR: Teraz już powinno się zdarzyć coś dobrego, coś co rozładuje jej napięcie i pozwoli wrócić do normy. Jak znalazło tego gąbkana, który do obcego domu wszedł jak po swoje? Może jemu udało się odwrócić bieg wydarzeń, które zmierzają w złą stronę. Jest coraz bardziej podniecona, będzie się coraz gwałtowniej zachowywać, będzie traktować przedmioty jak ludzi, spoutalać się ze świętym Antonim, aż wreszcie zacznie krzyczeć głosem nie do zniesienia, wprawi w panikę cały dom, a kiedy przez zamknięte okno wyrzuci pelargonię i budzik „Jantar” – sąsiedzi zawezwą karetkę z

krzepkimi sanitariuszami. Czy nie można by jej pomóc zanim będzie niezbedny kaftan bezpieczeństwa?

DZIEWCZYNA: Biedna, mała drżaka Pelasia. tak długo czekała na mnie. No i jestem. Spójrz tylko, co ci kupiłam. Wózek. Będę cię teraz wozic po całym mieszkaniu i po tarasie. Nie, na ulicę nie, wiesz, jakich mamy sąsiadów, zaraz by zadzwonili, wiesz gdzie, przecież to są sierszawe chamy. Hup! A teraz wyjedziemy na taras, o, tu ci będzie dobrze. Zaśpiewam ci, ale jeśli mnie jeszcze raz wyśmiesz za to, że fałszuję – to cię ogolę, liść po liściu, rozumiesz? I zostanie pusty wózek. I przestaniesz się wreszcie trząść! Boisz się? Ja tak – że się boję! Bój się, bój się!

NARRATOR: Co robisz? Kogo poprosić o pomoc? Przecież nie wolno dopuścić do tego, co tu się za chwilę stanie!

DZIEWCZYNA: Muszę ci coś wytłumaczyć, Jantar. Ja wiem, że masz dobre serce i wiem, że mnie lubisz. Ale ani jedno, ani drugie nie upowaznia cię do tego, żebyś mnie nie budził o godzinie, o którą cię proszę! Dlaczego sprawiasz mi kłopot? Ja jestem na każde twoje zawołanie, staram się, żeby ci było dobrze, a jak ty masz zrobić dla mnie najmniejszy drobiazg, to od razu ci jest za ciężko. Masz taką poczciwą, okrągłą, wesolą mordkę i taka ładny głosik. Kto by przypuszczał, że taki z ciebie egoista! Zdejże się, że trzeba ci twardy rękę, inaczej zupełnie się rozklekocesz. I nie rób takich głupich min! Wiesz? – mam tu młotek. Jak cię wałnę, to wszystkie sprężynki pogubisz! I nie drwij ze mnie! Nie potrzebuję ciebie! Nie potrzebuję nikogo! Mam dosyć waszej łaski! Wynos się! Wynoscie się wszyscy!

Brzęk tłuczonego szkła, przez okno wylatuje budzik, pelargonia, lustra; hałas demolowanego mieszkania, sąsiedzi walą w ściany, krzyczą.

NARRATOR: Przecież mówiłam, że to się zbliża! Jak można tak biernie przyglądać się cudzemu nieszczęściu? Czy naprawdę najważniejszy jest spokój we własnym mieszkaniu i jak najszybsze pozbycie się uciążliwej sąsiedki? Pewnie już zadzwonił na pogotowie. Ładna chwila rozlegnie się sygnal karetki (*słychać sygnal karetki*) i wprawi sanitariusze wyważą drzwi (*słychać brzęk wyważanych drzwi i krzyk Dziewczyny*).

SANITARIUSZ I: Przytrzymaj jej łapy!

SANITARIUSZ II: No i po krzyku. Dziecko ładne w tym kaftaniku. No, a teraz pojedziemy na spacerek za miasto.

SANITARIUSZ I: A ten jak tu wlaź? Czego?

CHŁOPIEC: Przyniosłem ci trochę orzechów, basiu-basiu. Widać, że masz gości, czy nie przeszkadzam?

NARRATOR: Czy okaza się człowiekiem, czy zechce pomóc? Siega po orzechy, po co te orzechy w takiej chwili? Ale z kieszeni wyciąga naszynik z lazurytów i nakłada ja na szyję nieruchomej Dziewczynie. Ona patrzy na Chłopca niebiesko-granatowymi oczami i wszystkie paciorki także jakby na niego patrzyły. Sanitariusze przytomnieją.

SANITARIUSZ I: Niech nam pan nie przeszkadza! Na służbie jesteśmy!

SANITARIUSZ II: Wstąp się Ronneo! Możesz swoją Julcię odwiedzać codziennie między 15 a 17.

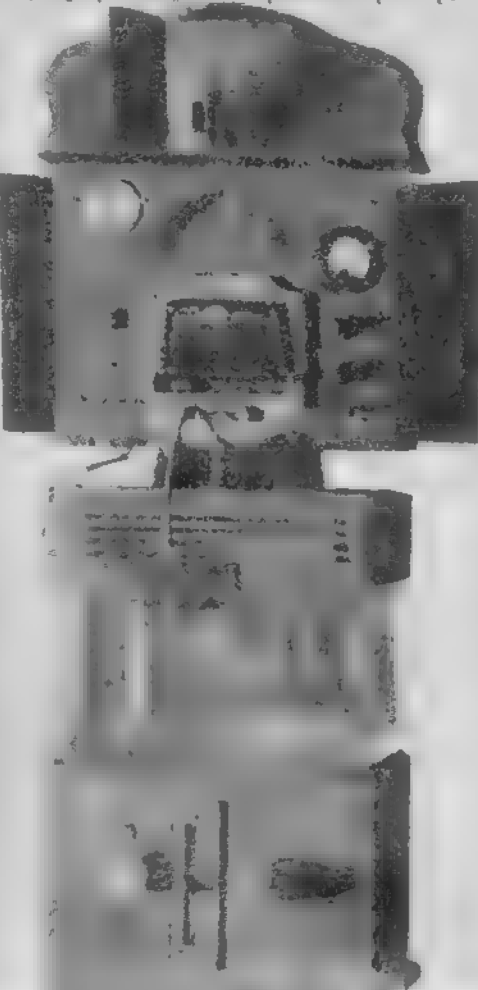
NARRATOR: Sanitariusze popychają Dziewczynę ku drzwiom. Wyrwa się im gwałtownym szarpnięciem, wybiega na taras i mocno odbija się od jego krawędzi. Polamie sobie kości! Zabije się! Ludzie, pomóżcie! Ja nie mogę. Jestem tylko głosem!

SANITARIUSZ I: Nie gap się w dół, tumanie, popatrz w górę! Ona lata!

CHŁOPIEC: Wiesz, basiu-basiu, zgorszyłaś mnie. Chłupa pełna gości, a ty ich zostawiasz i jeszcze im świecisz nad głowę majtkami. A co mam zrobić z orzechami, pognać za tobą aż do łazienek?

NARRATOR: Uciekła im, uciekła im! Poleciała! Rozwiązane rękawy powiewają jak skrzydła, jej rudawe włosy tną... Lepiej będzie jeśli zamilknie, sentymentalny mazgaj.

SANITARIUSZ I: Ty, a jak my się rozliczymy przed szefową? Przecież ona nam nie uwierzy!



Kilka lat strawiłem za młodu na heavy-metal-punkowym męczeniu elektrycznej gitary. Nie trafiłem niestety do Jarocina (absolutny brak słuchu), paru jednak rzeczy się nauczyłem. Między innymi tego, że kiepskiemu gitarzyście wara od dobrego instrumentu. Póki piłuje na „defilu” wzmacniacz rzezi, gitara rzezi i można wytrzymać. Ale na „Gibsonie” cała jego mierność wyłazi na wierzch w sposób tak jaskrawy, że nic, tylko usiąść i się wstydić.

Później, kiedy zacząłem karierę gwiazdy rocka na rzecz twórczości SF, przekonałem się, że i tu jest podobnie. Nie ma co brać się od razu za łeb z największymi problemami tego świata. Autor, którego możliwości warsztatowe swobodnie wystarczają na space operę lub bajeczkę o wyprawie po ukryte w górach skarby, na w jakimś temacie wyklada się z reguły malowniczo jak Flap na skórcie banana. A potem musi tykać ukradkiem łyż i długo masować obolałe siedzenie.

Miewało się w życiu takie pouczające przygody. Toteż doświadczam teraz złośliwej satysfakcji, kiedy na tym samym bananie wywija orla kto inny. Zwłaszcza jeśli jest to autor starszy wiekiem i stażem i ceniony wśród fanów. Takiej właśnie niechrześcijańskiej radości dostarczył mi „Stan zagrożenia”, najnowsza książka Jacka Sawaszkiewicza.

Szczeciński autor od dawna już nikogo nie zaskakuje, trzymając się z powieści na poziomie jednego strychulca. Jego recepta na sukces jest prosta: dużo seksu, dużo sprawnie namotanej fabuły, zwiezły precyzyjny styl i nade wszystko: ślizganie się po powierzchni tematów najmodniejszych przed kilkoma (ach, te cykle wydawnicze!) laty. Poglębienia tematu raczej nie ma się co spodziewać — „mistrz nie po temu”. Mistrz wyspecjalizował się w opowiadaniu ciekawostek rodem z „Kuriera Polskiego”, i jak dotąd dobrze mu z tym było mimo recenzentkich ciągów, jakie zebrał od Parowskiego i Oramusa.

Podejrzewam, że „Stan zagrożenia” to właśnie efekt ich recenzji. Sawaszkiewicz wyraźnie zabolął zarzut, że stroni od poważnych problemów tego świata. Wziął zatem na warsztat (a daj mi Boże taki warsztat, ale całą resztę dawaj mi od innych pisarzy) temat wielki, tragiczny i w ogóle najpoważniejszy z możliwych. Przyjął mianowicie misję ostrzeżenia rodaków przed totalnym dumzdejem, atomową zagładą i ostatecznym kresem ludzkiej cywilizacji.

Jak na starego fachurę przystało, najpierw przerył starannie literaturę przedmiotu — bomba faktycznie wybucha bez picu, dobre i to. Rozpłanował też dwupłaszczynową fabułę. Pierwszy jej plan to opis zagłady trafionego termojądrową rakietą miasta, zawarty w dziele tajemniczego proroka Eliasa (prorok to bardzo pożyteczne w SF stworzenie; aby go uzyskać wyżymamy kilka powieści Dicka do szklanczki i zarabiamy wodą). Plan drugi natomiast to ponura rzeczywistość imperialistycznej Ameryki, gdzie wszyscy łożą coca-colę, gonią za dolarami (Polakowi trudno to zrozumieć) i zioną obsesyjną nienawiścią do postępowych systemów społeczeństwa. Z zawartych w tym planie wzmianek wynika, że za kilka lat prorostwo Eliasa niechybnie się spełni, ale w ogólnym, właściwym dla upadającego, amerykańskiego ego systemu rozwydrzeniu nikł na proroka nie zwraca większej uwagi. Poza, oczywiście, znanymi nam już z „Kroniki Akaszy” reporterami z Dutson, goniącymi

za tanią sensacją i zionącymi nienawiścią. I poza agentami wszechobecnej CIA, którzy pragną proroka zwinąć, ale to im się nie uda. Bo to wcale nie był prorok, tylko autentyczny kosmita w skali jeden do jednego! Ha! Przyleciał nas ostrzec, ale niestety trafił do USA, gdzie potraktowano go jak ciekawostkę zoologiczną w stylu potwora z Loch Ness. Więc się obraził i wrócił do swoich, a głupi jankesi będą nadal budować rakiety, łożać coca-colę i zionąć nienawiścią, aż im się zrobi jakieś zwarcie w tych ich prymitywnych komputerach, i wywołają wojnę, i będzie Dumzdej.

Wstrząsające, prawda?

Uczciwie muszę dodać jeszcze, że w notce na okładce zapowiadany był jeszcze jeden plan, ale go nie zauważyłem. Może jestem tępy. Chodziło (według słów wydawcy) o *eksperyment socjologiczny (...)* będący próbą wprowadzenia poprawki do „Apokalipsy” Jana Ewangelisty. Przy okazji, jeżeli już, to świętego Jana, nie zabierajcie mu tego tytułu, daję głowę, że harował na niego cokolwiek ciężiej niż autor notki na swoje „mgr”.

Wracając do naszej zagłady, autor nie szczędzi wysiłków, żeby czytelnikiem wstrząsnąć, a przynajmniej zniesmaczyć go wyrafinowanymi opisami śmierci swych bohaterów — pieczonych, gotowanych żywcem w basenie albo rozsmarowanych na jezdni jak masło na grzance przez fruujące dachy. Galeria owych bohaterów jest tak oryginalna, że dreszcz bierze nawet bez bomby młody chłopiec, który bardzo chce zostać już mężczyzną, ale nie może, bo obiekt jego westchnień chce zostać kobietą z kim innym, młoda dziewczyna, która też chce i też nie może; stary, fanatyczny pułkownik, zionący nienawiścią; starzejąca się temperamentna samica „bez przesądów”, szukająca sobie buhaja; ciężarna w ostatnich miesiącach; niewinne pachole, które nie wie co jest grane. I tak dalej. Wszyscy oni oczywiście zostaną przez autora naniesieni na listę trupów, ze smutnym krzyżkiem przy nazwisku. Przepraszam, pachole i młodziemiec przeżyją. Ale za to reszta! Starzejąca się nimfomanek, na przykład, przebodie wielki maszt antenowy i przyszpili ją z zadartymi nogami do samochodu (celem lepszego wstrząśnięcia czytelnikiem autor najpierw ją rozbierze), a między te zadarte nogi wpadnie reszka spopielonej wybuchem głowy jej ostatniego buhaja. Ot, jaką chorą wyobraźnię mają ci kosmici.

Żeby wstrząs był pełny i skuteczny, autor wyciąga z rękawa jeszcze jeden dramatyczny efekt: kończąc ponurą wizję atomowej zagłady listą opatrzonych krzyżkami imion ofiar, zostawia na niej wolne miejsce z adnotacją: tu wpisz drogi czytelniku imię swoje, swojej matki, żony, szwagra i pana od PO.

No i co! No i psstro, a myślałby kto, że coś, jak śpiewała kiedyś pani Rodowicz. Żarty, kpiny, jak pisał Tolkien. A co ja albo moja żona mamy do roboty wśród tej zbieraniny wyciętych z gazetowego papieru półgłówek? To, że gazeta była amerykańska, niewiele znaczy. W ogóle mam wrażenie, że Sawaszkiewicz coraz nachalniej przepisuje podręczną amerykańską prozę dla nieinteligentnych, z kalkowaniem amerykańskich słów i idiomów włącznie

Jego próby, by skleić z cudzych słów jakieś niebanalne i mądre zdanko dają efekty wręcz żenujące. Warto, na przykład, żeby autor miał jakieś pojęcie o religii, jeśli ma zamiar się z niej na kartach swej książki podśmiewać.

Mam jeszcze jeden cytatik: *du-du, jest i piec i gaz, a skutków jakoś niet* („Lady Pank”). To znaczy: pisze nam się gładko, wątki płączą się w zgrabne supełki (szkoda, że nie zawsze się potem rozplątują, w planie współczesnym przydałoby się tu i ówdzie coś na kształt puenty, albo druga bomba, jeśli inaczej się nie da), zdania ciekłą równutko jak olej uniwersalny z fabry-

Dumzdej!!!

cznego opakowania, a czytelnik, zamiast rzucić się z krzykiem na najbliższą amerykańską bazę wojskową, drapie się czegoś w łepetynę i spogląda głupkowato spodoba, jakby nie wiedział, czy się bać, czy płakać. *Takiż to świat, okrutny świat, czemuż innego nie ma świata* (Leśmian, i naprawdę już kończę z cytatami) i takiż jest ponury, pisarski fach. Nie zawsze wystarczy złać do gara odpowiednie ingrediencje w odpowiednich proporcjach. Trzeba jeszcze odrobiny tego „Czegoś”, co nie bardzo daje się nazwać, co pisarz ma albo nie, jeśli się z tym nie urodził — a bez czego literatura staje się wypchanym trocinami ptakiem, który ma skrzydła, ma pióra i wszystko co trzeba, a czegoś, cholera, nie chce się wzblić w przestworza.

Poważnie: jest takie powiedzenie, że nie należy sobie robić jaj z pogrzebu. Zwłaszcza jeśli faktycznie może się zdarzyć, że będziemy w nim grać główną rolę. Czytelnik kiedyś, że film „The Day After” pociągnął za sobą falę masowych naśladownictw, w których ewentualną katastrofę sprowadzono do roli jeszcze jednego King-Konga czy monstrualnej wielkości rekina z butlą tlenu w rozdziawionym pysku. Jacek Sawaszkiewicz, jak się zdaje, miał zamiar przeciwko takim właśnie praktykom zaprotestować. Zamiast tego dołożył do nich swoją cegiełkę, opisując czterdziestu tysiącom czytelników malowniczo Dumzdej (tak właśnie, nie „doomsday”). Nie ostrzega, nie chwytą was za gardło. To po prostu sprawny rzemiecha, który wybrał sobie temat na kolejne piętnaście arkuszy autorskich. Pośliznął się na nim, ale to nic, wstanie, otrzepie hajdawery i rozejrzy się za materiałem na nową powieść.

Sawaszkiewicz nie mieszka na podejsiach do pasa startowego lotniska Okęcie, tak jak mi to zostało dane. Nie zdarza mu się, że w środku nocy wyrwie go nagle ze snu potworny ryk, od którego trzęsą się szyby w oknach. Nie zrywa się wtedy z posłoci z łomotem serca, z rozpaczliwą myślą „Boże, czy to już?”

I nie idzie potem chwiejnym krokiem do kuchni, żeby napić się wody i z wolna wracając do rzeczywistości uświadomić sobie, że którejś nocy może to nie być kolejny startujący nad dachem odrzutowiec. Że za którymś razem może nie będzie już można odetchnąć i wrócić pod kołdrę, do otulonej mgiełką ciepłego snu żony.

Być może, gdyby było to jego udziałem, poprzestałby na metempsychozach i reinkarnacjach. Są takie gitary, na których potrafi grać tylko najlepszy

Rafał A. Ziemkiewicz

Jacek Sawaszkiewicz *Stan zagrożenia*. Wydawnictwo Poznańskie Poznań 1987. Cena 300 zł

Uwaga: Idzie Jabłoński!

Mirosław Piotr Jabłoński nazywa w tej chwili do najbardziej utalentowanych autorów fantastyki naukowej w Polsce, choć nie wszedł do literatury z takim rozmachem i rozgłosem, jak nieco starsi od niego Marek Oramus i Maciej Parowski albo równieśni mu Marek Baraniecki i Andrzej Drzewiński. Ale też, jak się domyślam, wynika to z faktu, że Jabłoński działa jakby na uboczu całego rozbudowanego ruchu amatorów i autorów SF, że jest człowiekiem przychodzącym do tego typu literatury z zewnątrz, ale nie przychodzącym z pustymi rękami. Już debiutancka powieść „Kryptonim »Pisma«” pokazała jego talent i umiejętności, a potwierdziła je: druga książka – nie wydana jeszcze, ale czytana w radiu – „Schron”, jak również opowiadania, na które uważny czytelnik może trafić w ciągu ostatnich kilku lat w czasopiśmie różnego typu. No i teraz mamy drugą opublikowaną powieść Jabłońskiego – „Nieśmiertelny z Oxa”.

Pierwsza myśl, jaka nasunęła mi się po odczuciu powieści Jabłońskiego to ta, że mam do czynienia z niezwykle sprawnie napisaną prozą rozrywkową. Nie pamiętam, by w tym pokoleniu – włączając w to również wymienionych na wstępie autorów – ktoś potrafił tak konsekwentnie zaplanować i tak precyzyjnie zrealizować utwór prozatorski. Częściej spotykamy euforyczne wizje i gwałtowne przełamania toku narracji. Jabłoński postępuje z zimną precyzją wytrawnego zawodowca, choć to przecież dopiero jego trzecia powieść (a może nawet druga, bo możliwe że została napisana wcześniej niż „Schron”). Śmiało operuje kilkoma płaszczyznami czasowymi, to znaczy czasem teraźniejszym, w którym bohater pędzi jeepem przez pustynną krajinę doświadczając konwencjonalnych w tej sytuacji przygód oraz kilkoma poziomami retrospekcji, przez które ujawnia autor wszystkie motywy kierujące bohaterem jego powieści i – co najważniejsze – pokazuje całe uwikłanie jego życia wewnętrznego.

Doprawdy rzadko się zdarza w fantastyce naukowej, by postaci miały tak rozbudowaną psychikę, by były w tak wszechstronny sposób pokazane od tej strony, jak to jest właśnie w „Nieśmiertelnym z Oxa”. Z reguły bohaterowie utworów SF wyrażają się przez swoje czyny, ich życie wewnętrzne praktycznie nie istnieje na kartach powieści. U Jabłońskiego inaczej. Postępowaniem bohatera kieruje zawiła płatanina nienawiści i miłości, strachu i brawury, poczucia obowiązku i nieodpowiedzialności i autorowi udało się znaleźć taki literacki sposób, by wszystko to pokazać w sposób bardzo atrakcyjny dla czytelnika, nie bojąc się przy tym gwałtownych przełamań płaszczyzn czasowych, brawurowych skojarzeń, przeskoków akcji w czasie i przestrzeni. W rezultacie relacjonuje równolegle kilka wątków, precyzyjnie prowadząc je do swojej wspólnej kulminacji w zakończeniu powieści, kiedy zapadają rozstrzygnięcia najważniejsze i kiedy bohater zyskuje jakieś tam, niepełne z oczywistych względów, rozeznanie tego, w jakiej sytuacji się znajduje.

I przed oczyma czytelnika zostaje odsłonięte całe życie bohatera powieści, jego fascynacja – jak się okazuje – (nie, nie ujawnię kum ona jest) Melly i jego nienawiść do Krafta, błysk uczucia (Rita), które mogło odmienić jego los i wyrwać go z zakłętego trójkąta, ciążyąca na nim przez całe życie sprawa ojca, którego – jak się też okazuje – figury życiowe bohater nieświadomie powtarza swym własnym życiem, uczucie synowskie do matki i wszystkie dramatyczne przypadki z życia

zawodowego i wreszcie historia ostatniej, najważniejszej i skazanej na niepowodzenie (piszę wprost, bo to nie do końca prawda) wyprawy, która ujawnia istnienie nieśmiertelnych oraz alternatywnego Wszechświata itd., itd.

Jak z tego pobieżnego wyliczenia widać Jabłoński odwołuje się raczej do wątków i pomysłów już w SF i innych rodzajach literatury rozrywkowej wykorzystanych wielokrotnie. Nic w tym złego, na tych obszarach literatury (i nie tylko na tych, nie miejmy kompleksów) pomysły wracają, przekształcają się w schematy narracyjne. Nie w tym więc rzecz, ale w tym, że Jabłońskiemu udało się z tego materiału, przeżutego już przez innych, sporządzić bardzo zgrabną całość, tchnąć w nią nowe życie i podać w taki sposób, że wcale ta schematyczność szczegółów nas nie razi, bo służy jakby nowym celom, pokazuje, że za schematami też można doszperać rozległą problematykę psychologiczną niczego nie ujmując przystępności. W ten sposób autor „Nieśmiertelnego z Oxa” daje do zrozumienia, że zaczyna mu się robić za ciasno w tych ograniczeniach, które nakłada nań SF, że będzie musiał poszukać innych możliwości pisarskich dla siebie i – jak już wiem po lekturze jego propozycji jeszcze nie opublikowanych – robi to i dobrze rokuje na przyszłość.

Leszek Bugajski

Mirosław Piotr Jabłoński, *Nieśmiertelny z Oxa*, Wydawnictwo Glob, Szczecin 1987. Cena 250 zł.

Polując na śmierć

Nieczęsto zdarza się, że powieść SF zaspokaja wybredne gusta krytyków i miłośników literatury pięknej. Większość produkcji tego gatunku opiera się na utartych schematach i konwencjonalnych chwytach. SF często coraz mniej ma wspólnego z grą swobodnej wyobraźni, która stanowi przecież konstytutywny element fantastyki. Wtórność motywów i konwencji nie jest jednak zjawiskiem zupełnie nowym. Nawet fantazja ma swoje granice, możliwość kombinacji wcale nie jest nieskończona. Granice te wyznaczają ludzkie sposoby postrzegania i myślenia, które działają trochę tak, jak kantowskie formy zmysłowości i kategorie intelektu. Budując najbardziej niesamowite światy zawsze korzystamy z materiału dostępnego naszej wyobraźni, którego dostarcza wspólny nam wszystkim świat. Chyba dlatego tak niewiele znajdujemy w literaturze wiarygodnych i odkrywczych przedstawień społeczeństwa z obcą cywilizacją. Tak daleko nasza wyobraźnia nie sięga, możemy tworzyć rzeczy dziwne, ale nie nieludzkie. Na całe szczęście fantazja w naszym wymiarze i tak posiada olbrzymią ilość pokładów i możliwości. Szkoda tylko, że masowa literatura i film za wszelką cenę usiłują zaprzeczyć temu faktowi.

W tym kontekście niezwykle cieszę się lekturą powieści zaskakującej, innej, z trudem mieszczącej się w schematach, a taką z pewnością jest „Łowca śmierci” Iana Watsona. Wydanie tej książki częściowo wypełnia lukę w naszej znajomości twórczości znanego i popularnego angielskiego pisarza. Wcześniej tylko „Fantastyka” prezentowała jego dwa opowiadania (numery 5/87 i 8/87).

„Łowca śmierci” wprowadza czytelnika w świat dziwny i niepokojący. Oglądamy go oczy-

ma głównego bohatera Jima Todhuntera, który pełni istotną funkcję w wymyślnym społeczeństwie – przewodnika w Domu Śmierci. Ideologia, wyznaczająca strukturę tego świata, opiera się na specyficznym kulcie i nobilitacji śmierci.

Todhunter, zamiast spełniać swoje urzędowe obowiązki, wciąga się coraz głębiej w badania dotyczące natury śmierci. To, co wydawało się rojeniem wariata, okazuje się istniejącym faktem. Konfrontacja rzeczywistości z wizją obłąkanego to w ogóle podstawowa struktura kształtująca świat powieści Watsona. Todhunter polując na śmierć, łamie granice i przenika na drugą stronę tajemnicy, ale to tylko jedna warstwa „Łowcy śmierci”.

Wraz z rozwojem akcji rzeczywistość staje się coraz bardziej niespójna, zaskakująca, okrutna. Obrazy upodobniają się do surrealistycznych i groteskowych wizji, choć nadal tkwią swą logiką w świecie percepcyjnym przez Todhuntera. Dopiero zakończenie powieści w zupełnie zaskakujący sposób zmienia perspektywę rozumienia całej przedstawionej rzeczywistości. Watson w świadomy sposób kształtuje materię swego utworu. Końcowe zaskoczenie opiera się na zmianie perspektywy narracyjnej. Użycie konkretnych punktów widzenia odróżnia „Łowcę śmierci” od większości utworów SF, które z reguły posługują się wszechwiedzącą, przezroczystą narracją.

Ostatnie rozdziały książki przenoszą punkt widzenia narracji ze świadomości Todhuntera do psychiki Noela Resnicka. Dzięki temu zabiegowi cała historia okazuje się wytworem wyobraźni obłąkanego kapłana. Wizję tę pracownicy Domu Życia obserwują dzięki specjalnemu urządzeniu

– psychoskopowi. W tym momencie czytelnik rewiduje cały swój dotychczasowy pogląd na poznawany świat. Wiele elementów staje się jasnym i zrozumiałym dzięki wprowadzeniu mienotliwości ich twórcy. Próby uporządkowania materii powieściowej okazują się jednak po chwili bezowocne. Ostatnie strony utworu w pewien sposób likwidują jedność ontologiczną świata przedstawionego. Rzeczywistość uznana przez czytelnika za realną i wytwór obłąkanego umysłu zaczynają się na siebie nakładać, następuje nie tylko analogia odczuć i zdarzeń, ale również pewne przebiegi dwóch różnych światów. I w tej sytuacji autor pozostawia czytelnika samotnego, zezwalając mu na snucie dalszych domysłów i refleksji.

„Łowca śmierci” to doskonale napisana literatura dająca wiele możliwości interpretacyjnych. Watson swobodnie porusza się zarówno w świecie symboliki kulturowej, jak i wyobraźni surrealistycznej. Zakresem poruszanej problematyki „Łowca śmierci” włącza się w ambitny nurt SF. Utwór ten stanowi refleksję nad możliwością poznania świata, granicami obiektywizmu i subiektywizmu. Watson podobnie jak Dick podważa naszą wiarę w prawdziwość percepcyjnego przez nas świata. Czy nasze decyzje i wybory mogą stać się załącznikiem nowych, odrębnych rzeczywistości? Zdezorientowani bohaterowie wraz z czytelnikami snują refleksje dotyczące alternatywnych egzystencji i możliwych światów równoległych.

„Łowca śmierci” to ciekawie napisana powieść o problematyce wyraźnie epistemologicznej, którą można polecić wszystkim zwolennikom dojrzałej, ambitnej SF.

Małgorzata Skórska

Ian Watson, *Łowca śmierci*, Przełożył Michał Wroczyński, Wydawnictwo „Alfa”, Warszawa 1987. Cena 320 zł.

Piekara Jacek

(ur. 1965)

Student prawa, autor fantastyki

Urodził się 19 maja 1965 r. w Krakowie. Jest studentem prawa na Uniwersytecie Warszawskim. Debiutował w 1983 r. opowiadaniem „Wszystkie twarze szatana” zamieszczonym na łamach sierpniowego numeru „Odgłosach”. Swoje teksty drukował również w „Odgłosach”, „Młodym Techniku”, „Problemach”, „Feniksie” i „Sferze”. W 1987 r. ukazały się jego powieści „Labirynt” (Aimapress) i „Smoki Haldoru” (Iskry).

Twórczość Jacka Piekary nawiązuje do literatury fantastycznej spod znaku „miecza i czarów”. Autor poszukuje dopiero odpowiednich form wyrazu, czerpie z poetyki modernistycznej, kreśli nastrojowe parabole, wprowadza narrację oniryczną, ukazuje walkę dobra ze złem uwikłaną w tematy społeczne, polityczne.

Pik Franciszek Czcisław

Pseudonim:
Mirandola Franciszek
(1871-1930)

Poeta, krytyk literacki,
tłumacz, prozaik

Urodził się 13 grudnia 1871 r. w Krośnie. W latach 1891-1893 studiował farmację na Uniwersytecie Jagiellońskim, później wyjechał do Berlina, Heidelbergu i Paryża na studia filozoficzne i literackie. Po powrocie do kraju osiadł w Krakowie. Ogłosił kilka tomików poetyckich, m.in. „Liber tristum” (1898), „Liryki” (1901), i dwa zbiory opowiadań „Tempore belli” (1916), „Tropy” (1919). W 1906 r. wyjechał do Rapperswilu, później zamieszkał w Krośnie. Pracował jako aptekarz dzierżawiąc aptekę w Bukowsku, Krośnie, Łęku i Stryju. W czasie wojny przeniósł się do Krakowa. Związany był z ruchem socjalistycznym (był członkiem redakcji „Naprzodu”, współpracował z „Ogniem” i „Robotnikiem”). Redagował „Ekran”, zajmował się pracą przekładową (przetłumaczył ok. 200 tomów prozy i poezji m.in. Rollanda, France’a, Kiplinga, Baudelaire’a, Maeterlincka, Tagorego). W latach 1919-1921 przebywał w Warszawie, pisał scenariusze filmowe, współpracował z pismem „Strażnica Polska”. Od 1921 r. mieszkał w Krakowie żyjąc na skraju nędzy i tu zmarł 4 czerwca 1930 r.

Franciszek Pik jest dziś, na dobrą sprawę, autorem zapomnianym. Jego nazwisko nader rzadko pojawia się w poetyckich antologiach modernizmu, opowiadania nie są wznawiane, opinie krytyczne nie przetrwały próby czasu. Może dlatego, że utwory tego pisarza nazbyt dobrze odpowiadały zamówieniom epoki, stanowiły egzemplifikację manifestów Maeterlincka, Przybyszewskiego, a ich niewątpliwie wartości literackie osłabiał metaforyczny język, udziwnienia stylistyczne, emocjonalny stosunek do rzeczywistości. Była twórczość Pika ilustracją filozoficznych przemyśleń Schopenhauera ukazujących bezradność życia ludzkiego podtrzymawanego wyłącznie przez ślepe siły, popędy; mówiła, że istotą tego życia jest bezmiar cierpienia, że świat jest dla człowieka piekłem, a prawdziwe męczeństwo zadaje nam nie szatan, lecz inny człowiek. Powiadał Mirandola, że ludzkie dążenie do

szczęścia jest wędrówką daremną, że szczęście jest czymś nieuchwytnym i nieosiągalnym, a naszej egzystencji towarzyszy ciągle uczucie niedosytu wynikające z niemożności zrealizowania pragnień. Tylko filozofia, sztuka, religia może zmniejszyć ból człowieka, ukończyć jego tęsknotę za utopią, innym, doskonalszym światem. To ona powstrzymuje działanie popędów, nadaje jakiś sens nędzy naszego istnienia. Uczeń i artyści stają się zatem symbolami metafizycznej strony człowieka i świata.

Korzystał także Mirandola z koncepcji innego myśliciela epoki – Bergsona. Nie intelekt – twierdził – lecz intuicja najgłębiej rozpoznaje świat i najpełniej ukazuje jego różne wymiary, znaczenia. Ciasny praktyczny rozum zniekształca obraz rzeczywistości; badania naukowe zajmują się wyłącznie zewnętrzną stroną bytu, toteż nie mogą ujawnić indywidualnych, osobniczych właściwości podlegających działaniu tajemniczego „pędu życia” umieszczonego wewnątrz widzialnego świata.

Fantastyka w twórczości Mirandoli wywodzi się z tradycji europejskiego symbolizmu zrodzonego we Francji, związanego z nazwiskami takich autorów, jak Verlaine, Rimbaud, Mallarmé, Claudel i Valéry. Bliższy był jednak Pik – Maeterlinckowi w jego poetyckiej, odrealnionej wizji świata, próbie dotarcia do takich obszarów psychiki, których nie sposób zbadać za pomocą rozumu. Głosił za Maeterlinckiem, że celem twórczości jest poznanie tajemnicy bytu, że zmysły odzwierciedlają rzeczywistość idealną, a piękno i prawda stanowią wyznaczniki absolutu. Aby opisać ów świat trzeba posłużyć się symbolami, znakami, które zawierają treści głębsze od realnych, nieokreślone, tajemnicze. Stąd też opowiadania Mirandoli są utworami wieloznacznymi, próbując oddać migotliwość przeżyć za pomocą nieuchwytnych słów i doznań (zob. tom. Tropy, Kraków 1919, nakł. czasopisma „Maski”; wartość. Zatruta studnia, Ulica dziwna, Wojność, Cel, Pułapka, Świt, Pociąg nadzwyczajny, Gościńiec, Stary dom, Zamknięte, Chleb i woda, Hotel pod Idealem, Dola, Drogowskaz Lux perpetuus).

Fantastyka Mirandoli niezwykle rzadko sięga do motywów science-fiction. Wyjątkiem jest jego opowieść „Sztuczny żołnierz” powstała po tragicznym doświadczeniu I wojny światowej opublikowana w czasopiśmie „Maski” (1918, nr 15). Treścią utworu stają się losy genialnego samouka-wynalazcy Protazego Kulasa, który pragnie zapobiec rozlewowi krwi i buduje automat zastępujący żołnierzy na polu walki. Ku zdumieniu wynalazcy maszyna odmawia posłuszeństwa przechylając szalę zwycięstwa na korzyść przeciwnika.

„Sztuczny żołnierz” jest utworem o wyraźnej wymowie pacyfistycznej, a bunt automatów służy udowodnieniu tezy, że tylko człowiek może przekroczyć granicę podłości występując otwarcie przeciw drugiemu człowiekowi.

Teoretycy rodzimej science-fiction (zob. np. R. Handke, Polska proza fantastyczno-naukowa. Problemy poetyki, Wrocław 1969) uznają pacyfistyczną opowieść Mirandoli za jeden z prekursorskich tekstów naszej SF. Ale nie jest to utwór dla Mirandoli reprezentatywny. Dlatego też przedstawiam dz. 5 Państwu inną opowieść Pika, wybraną z tomu „Tropy”. Jest to symboliczna, nastrojowa historia o człowieku, który wybiega myślami w przyszłość i zarazem skazany jest na świat odarty z ideałów. Historia o pisarzu, który rozpoznaje ów świat w marzeniach i zwykłej, codziennej, heroicznej rzeczywistości. A może o czymś jeszcze?...

Bibliografia wybrana:

- J. Trzaniel, *Obraz Literatury Polskiej*, tom V/1,
- T. Sinko, *Legenda o Poznaniu* (w:) „Czas” 1919/2,
- J. Świerżowicz (w:) „Kurier Lwowski” 1921/113-114, przedruk w książce „Szkice Literackie”, s. I, Grodzisk 1936

Łan niezmierzony leżał pod żarem słońca. Na puszystym dywanie wybielałego od promieni złota uwijał się żeńce.

Człowiek z wiadrem siedział na cembrowinie studni i spozierał zadumany wokół.

Miał przykaz poić wszystkich spracowanych, gdy pić zapagnął.

To był jego urząd. Ochotnie wziął sznur z rąk poprzednika, który odszedł zwolniony ze służby we właściwym czasie.

Silnymi ramionami pełnił wiadro dobytą z głębi ziemi krystaliczną wodą.

Przychodzili rozradowani, świadomi, że pracują jak trzeba i chłodzili czoła na powiew wiatru, nim usta przytknęli do wody.

Przychodzili też, okryci kurzem drogi wędrowcy ze stron dalekich, nie będący pracownikami na złocistym łanie. Twarze ich były obce, ubiory nieznane, mowa dziwna.

I tym dawał pić wedle przykazu.

Zgłaszali się też próżniacy, szydzący z pracowników, ciskający im słowa szydercze. Spragnione ich usta pożyły napoju.

I tym dawał wedle przykazu

Najchętniej nachylał wiadro ku ustom dzieci zgrzanych, spoconych, zmęczonych zbytkami.

Poił spragnionych, bo ten był cel życia jego. A że myśli jego nie zajmowało w zupełności to zajęcie, przeto pozwalał im krążyć, gdzie chcieli.

Zrazu latały wokół ponad łanem i przyglądały się żeńcom

Byli tam młodzi chłopcy, chylący się elastycznie ku ziemi, dziewczęta w jasnych strojach rozemiane i zalotne, starzy ludzie osiwiali w pracy, poglądający często ku niebu, kobiety wiekowe w czarnych szatach, szepczące pacierze. Łzy padały gęsto z oczu tych kobiet, a spojrzenia szukały raz po raz mogił, kędyś w łanie życia skrytych

Byli tam kapłani głoszący nauki pracującym. Podnosili ręce nad pochylonymi głowami, dając pracowników błogosławieństwem niebiosów

Nie brakło też kramarzy z pudłami, pełnymi tandety i wrzaskliwych skoczków zachęcających do wesołości

Wróciwszy sponad łanu, myśli usiadły na cembrowinie studni, pytając:

– Gdzie teraz polecimy?

– Lećcie wzdłuż gościńców dalekich, snujących się bezmiarem widnokręgu.

Poleciały.

Wzbiły się zrazu w niebo, by obrać kierunek, potem ruszyły każda w inną stronę świata.

Człowiek z wiadrem pełnił tymczasem dalej swą powinność, w duszy miał przytem wielką ciekawość, co mu też jego myśli przyniosą. Siedział i pracował i tak był zajęty, że nie spostrzegł, iż jedna z myśli nie poleciała wraz z innymi, ale siedziała na cembrowinie niepewna i zakłopotana, strzepując jeno czasem skrzydełkami

– Czemu zostałeś tutaj? – spytał, spostrzegłszy ją nagle.

– Chcę się udać gdzie indziej – odpowiedziała.

– A dokądże się to chcesz udać?

– Chcę zejść w głąb studni.

– Po co?

– Chcę poznać, skąd płynie woda, chcę przebyć całą drogę źródła i widzieć, gdzie jego początek

– Więc idź!

– Nie mogę tam zejść gotębem. Przyzwol mi



Zatruta studnia

Franciszek Mirandola

przemienić się w małą rybkę albo pajaczkę wodnego, albo kreta, lub jakie inne stworzenie, tak bym mogła zaspokoić swe pragnienie

– Dobrze! – odparł. – Daję ci moc przybierania postaci, jakich ci będzie potrzeba. Idź i opowiedz coś widziałam.

Znikła, plusnąwszy w wodę, a człowiek z wiadrem pracował dalej, bardziej jeszcze niż przedtem ciekawy na to, co mu jego myśli przyniosą, i spoglądał często w dal, ku skrajowi widnokręgu

Gdy tak patrzył, ujrzał nagle daleko na równi jakąś postać idącą w jego stronę

Nieznajomy był białą odziany i połyskiwał na tle zieleni, jak obłok srebrzystego oparu.

Ale obowiązek nie pozwolił Człowiekowi z wiadrem wpatrywać się długo w oddal. Zgłaszała się ludzkie, których musiał napić

Pracował wytrwale. Wszyscy jednak, którym

przychylał wiadra, wydali mu się teraz mniej pięknymi, mniej godnymi. Dostrzegał brud ich rąk, rzucił mu się w oczy ślady wyuzdania w ich rysach, w podkrążonych oczach widział ich szatę cielesną, w drżeniu rąk, skutek nalogów brzydkich. Młodzieńcy wydali mu się łakomymi samcami, ludźmi żądnymi uciech, dziewczęta rozpustnicami. Starcy wyglądali na skąpców i bezmyślnie ruiny, wiekowe kobiety na pozbawione czucia i pobożności dewotki, kapłani nawet przedstawiali mu się teraz bez wiary, bez zdolności do uniesienia... świat mu cały zbrzydł i szerniał w oczach

Pragnął, by nastała chwila spokojna, kiedy będzie mógł zobaczyć, co się stało z dziwnym nieznajomym

Gdy napił ostatniego, postawił puste wiadro na cembrowinie, wstał i przysloniwszy oczy ręką, zapuścił spojrzenie w dal

– Bądź pozdrowiony!

Głos jakiś rozbrzmiał tuż obok

Spojrzał zdumiony i zobaczył, że nieznajomy siedzi na wielkim kamieniu przy studni

Skłonił się przed nim głęboko. Potem ujął silnymi ramionami linę i wyciągnął świeżej wody.

Pochylił wiadro ku jego ustom.

Nieznajomy uczynił gest odmowy.

– Nie piję tej wody – powiedział

Człowiek z wiadrem stał zadziwiony i patrzył na przybysza, a im dłużej patrzył, tym bardziej rosło jego zdumienie.

Szata nieznajomego biała była i połyskiwała jak srebro, mimo dalekiej wędrówki czysta, niepokalana. Spadała z jego ramion w precyzyjnych fałdach, niepodobna zgola do ubiorów ludzi współczesnych. Ni rąbek jej dolny nawet nie nosił śladu pyłu ni błota, iż wydawało się, że nieznajomy nie dotyka stopami ziemi, ale unosi się ponad nią, jak anioł.

Kapelusz złożył na trawie.

Twarz jego okalały długie, ciemne włosy, spadające w kędziorkach na ramiona.

A twarz sama...

Człowiek z wiadrem wpatrywał się w tę twarz długo. Zrazu zgola nieznana, coraz mu się wydawała bliższą, bardziej pamiętną, podobniejszą do twarzy zapamiętanych kiedyś...

– Znasz mnie? – spytał nieznajomy.

– Nie wiem... coś sobie przypominam... – odparł z wahaniem Potem dodał: – Wyglądasz panie, jak ktoś znany mi...

– My wszyscy mamy podobne rysy – wszyscy...

– Któż to wy jesteście? – spytał

– My wszyscy nie pijący tej wody! – odpowiedział przybysz.

W tej chwili szum się rozległ w powietrzu nad głowami rozmawiających

Człowiek z wiadrem spojrzał w górę i zobaczył stadko gołębi

Były to jego myśli, które wróciły z drogi.

Sfrunęły na dół i przypadły do kolan nieznajomego, tuląc się doń miłośnie.

Brał je łaskawie do ręki i przyciskał do piersi.

Od dotknięcia jego rąk i szaty stawały się srebrzyste i piękne.

Gołębie opowiadały, co widziały.

Jak daleko sięgnąć mogły wzrokiem, wszędzie na całym świecie pracowali ludzie. Ścinały lasy, karczowali poręby, drążyli się w głąb ziemi, szukając kopalni użytecznych, inni zaś, pozornie nic nie czyniąc, wyteżali myśl nad sprawami świata albo znów dumali o tem, zali w zaświatach, w przepastnych głębiach przestrzeni, znajdują się twory podobne ludziom, stworzone na ich podobieństwo. Znów inni zatapiali się w pytaniach o początek i sensie świata, byli zaś i tacy, którym ponad wszystko stało prawić, jak to żyć trzeba pocziwie i zgodnie z wolą bożą

Wszędy zaś, przy każdej gromadzie siedział zawsze Człowiek z wiadrem i poił spragnionych wodą dobytą z głębi ziemi, wspólnej rodzicielki wszystkich.

Gdy to mówiły gołębie, pojawili się u studni ludzie, pić żądający.

Człowiek z wiadrem wstawał niechętnie i napił ich, a oni odeszli.

Ale zbrakło wody dla ostatniego.

Człowiek z wiadrem musiał znowu napracować się niemało, nim naciągnął wody

Gdy wiadro stanęło na cembrowinie, nagle plusnęło coś i wyskoczyła na trawę mała złocista rybka



Przygotował Jacek Izworski

Dużo i mało

O polskich wydawnictwach komiksowych ostatnich lat

Jerzy Szyłak

Wspadku po minionym okresie zostało nam kilka serii, ale te albo ledwo zipią (jak „Według Dänukena” ukazujące się w takich odstępach czasu, że mało kto jest w stanie nerwowo oczekiwać na następny odcinek), albo rozpadają się na zupełnie osobne całości połączone – jak gdyby przypadkowo – postacią głównego bohatera.

Używam tu słowa „przypadkowo” nie z czystej złośliwości, ale dlatego, że duże odstępy dzielące kolejne części danego cyklu, pozostają nie bez wpływu na ich kształt i odbiór. Przysnam od razu, że myślę przede wszystkim o „Kajku i Kokoszu” Janusza Chrysty. Ostatnia część tego cyklu, zatytułowana „W kramie borostworów” jest – zresztą zgodnie z zamierzeniem autora – utrzymana w zupełnie innej konwencji niż wcześniejsze epizody. Nagromadzenie dziwacznych stworzeń i rozmaitych cudowności, z jakimi mamy tu do czynienia, przypomina raczej „bajki dla dorosłych” publikowane ongiś w „Relaxie” niż wcześniejsze „Kajki i Kokosze”. Dystans między „starym” a „nowym” widac jeszcze wyraźniej dzięki temu, że KAW zdecydował się na wydanie także starych – pierwotnie drukowanych w gdańskim „Wieczorze Wybrzeża” – opowieści o wojach Mirmuła, „Złoty puchar”, „Szranki i konkury” oraz „Rozprawa z Dajmnechem” (bo o nich mowa) są historiami bardziej racjonalnymi (jeśli można tak powiedzieć) niż powstałe później albumy. Przeważa w nich intencja humorystyczna, czasem wręcz satyryczna. Są bardziej dobronliwą kpiną z baśniowych reguł, niż samą baśnią. Wystarczy spojrzeć na ewolucję postaci Ciotki Jagi, by to zauważyć. W „Złotym pucharze” jest ona po prostu rozsądne myślącą i sprytną osobą, która wykorzystuje to, że inni wierzą w czary, by kierować ich postępowaniem i zmuszać do posłuszeństwa sobie. Jaga z „Festiwalu czarownic”, „Skarbów Mirmuła” i innych albumów z tego okresu, to już prawdziwa czarodziej-

Aby określić to, co dzieje się obecnie na polskim rynku komiksowym, wystarczą trzy słowa: przypadkowość, sporadyczność, różnorodność.

Zniknęły z kiosków i księgarni magazyny komiksowe: „Relax” i „Alfa”, zakończyły swój żywot tasiemcowe seriale: „Kapitan Żbik”, „Pilot śmigłowca” i „Kapitan Kloss” (wznawianie tego ostatniego idzie tak ślamazarnie, że właściwie jest zaprzeczeniem samej idei serialu), a ich miejsce zajęły bądź kilkuodcinkowe opowieści, bądź samodzielne, pojedyncze albumy.

ka, a obok niej pojawiają się i krasnoludki, i smok Miliś. „W kramie borostworów” to kolejny krok w stronę cudowności, tym razem już bez żadnych ograniczeń.

Podczas gdy w komiksach Chrysty o zmianie odbiorcy informuje nas zmiana ich poetyki, przemiany świata przedstawionego itp., to w drugiej szlendarowej serii polskiego komiksu – „Tytusie, Romku i A'omku”, który już dawno przeszedł na pozycje cudowności bez ograniczeń (i związków z rzeczywistością) – informację o tym fakcie noszą zabiegi znacznie mniej szlachetne. Henryk Jerzy Chmielewski po prostu bezwstydnie powielił stare schematy fabularne i stare pomysły, bo z prostego wyliczenia wynika, że dawni sympatycy Ty-

tusa już wyrosli i jeśli nadal kupują ten komiks, to już nie dla siebie, ale dla własnych dzieci. Może jest w tym sposobie myślenia jakaś racja, ale czy nie lepiej byłoby wznowić pierwsze księgi tego komiksu, zamiast robić ich (nieświadome, jak przypuszczam) autoparodie?

A propos „cudowności”, to jest ona cechą charakterystyczną każdego niemal komiksu. Doświadczenie wskazuje, że każda długa seria komiksowa sięga w końcu po jakiś jej rodzaj. Baśnowość jest bowiem nierozdzielnie związana z samym plastycznym tworzywem, z którym obcuje rysownik. Należy tu sobie zdać sprawę z dwóch rzeczy: z tego, że choć komiks nie jest dziełem plastycznym (w tym sensie, w jakim jest num-



obraz, rysunek, grafika czy rzeźba), ponieważ przedstawienie zostało w nim poddane faktowi opowiadania, to jednak posługuje się graficznymi środkami wyrazu dla skonstruowania przekazu pewnej fabuły; a także z tego, że realizm jest tylko jedną z wielu możliwości istniejących w świecie sztuki. W swoim czasie teoretycy kina głośno artykułowali tezę, że film z racji środków jakim się posługuje, istnieje po to, by opisywać rzeczywistość. Przy okazji padły wówczas sformułowania o uwolnieniu przez fotografię sztuk plastycznych od „realistycznej obsesji” i pozwoleniu im na poszukiwanie „autonomii estetycznej”. Komiks – z racji swej narracyjności – całkowicie od realizmu uwolnić się nie może, ale – dzięki swej graficznej naturze – za każdym razem ujmuje rzeczywistość przedstawioną w ramy umowy-konwencji.

Z jednej strony ubóstwo realizmu, z drugiej strony bogactwo kryjące się w plastycznych środkach, popychają komiks nieuchronnie w stronę szeroko pojętej fantastyczności. Nie mam na myśli fantastyki naukowej ani żadnej innej, konkretnej odmiany fantastyki, ale ową wielopostaciową, rozlewającą się szeroko fantastyczność, która może pojawić się zawsze i wszędzie.

W najczystszej postaci występuje to zjawisko w komiksach Tadeusza Baranowskiego, takich jak „Podróż smokiem Diplodokiem”, „Antresolka profesorka Nerwosolka” i innych. Baranowski proponuje we wszystkich swoich pracach nieskrępowaną niczym zabawę formą komiksu. Żongluje jego elementami: dymkami, ramkami, onomatopejami... Tworzy niepowtarzalne – mogące istnieć tylko na papierze – konstrukcje demaskujące iluzoryczność świata przedstawionego.

Jest to swoisty autotematyzm, o tyle jednak nieciekawym, że jałowy poznawczo. Szkoda wielka, iż mimo obfitości komiksów Baranowskiego na rynku, nie zostały wydane dotąd przygody (znanego z „Relaxu”) Orient-Mena, bądź zbiór jego „porad praktycznych” (drukowanych kiedyś w „Razem”). I jedna, i druga seria bowiem, przy zachowaniu całego arsenału środków charakterystycznych dla twórczości ich autora, wciągała czytelników w pełen ironii dialog o współczesności.

Oczywiście, satyryczność nie jest jedyną drogą przeznaczoną dla twórcy komiksów, ale w tym wypadku jest to chyba droga najwłaściwsza. W przeciwnym razie, pozbawione oparcia w znaczeniu, komiksy Baranowskiego zamieniają się ze sztuki narracyjnej w dekoracyjną...

Rozpatrując w dalszym ciągu rzecz całą z punktu widzenia stosunku świata przedstawionego do rzeczywistości i inwencji literackich, niedaleko od Baranowskiego należałoby ułokować Szarlota Pawła z jej komiksami. Zarówno Kleks, jak i

Kubus Pieluszyński są nieodrodnymi dziećmi „Świata Młodych” i bliskimi – choć uboższymi – krewnym Tytusa, Romka i Atomka. Światy, w których żyją i przeżywają swe przygody ci bohaterowie, są rzeczywistościami baśniowymi i wszystko jest w nich możliwe. Co prawda status tych światów nie jest określony do końca i raz dzieją się tam cuda tylko w wyobraźni, innym razem znów „naprawdę”, jednak zawsze jest to świat uproszczony i dostosowany do wyobraźni dziecięcej. Łatwizna myślowa, jakiej holduje pani Paweł znajduje odbicie w jej kresce. Rysunki w komiksach, o których mowa, trudno nazwać przeładowanymi, wyrafinowanymi, wyszukanymi, czy nawet starannymi. Owa nieстаранność wykonania tym bardziej szkodzi, że styl rysunków, za pomocą których zostały opowiedziane przygody Kleksa, można określić jako najbardziej doskonałą bezstylowość. Takie komiksy – a przynajmniej bardzo podobne – są rysowane dla dzieci pod każdą szerokością geograficzną przez rzeszę rysowników pozbawionych serca i wyobraźni. I to one właśnie stanowią główny składnik zalewającej świat pulpy komiksowej. Tyle że w Japonii, Stanach Zjednoczonych, czy krajach Europy Zachodniej tworzący je wyrobownicy piórka dbają o staranność wykonania swych skromnych prac. Inaczej nie przeszłoby przez sito i mogłoby co najwyżej pokazać kartony niewydrutowanego komiksu swoim dzieciom. U nas, dzięki brakowi konkurencji, Kleks stał się gwiazdą, a komiksy o jego przygodach – bestsellerami. Są one przykładem komiksowej „gumy do żucia dla oczu”, co zresztą znajduje potwierdzenie w faktach, iż po twórczości pani Paweł sięgają najchętniej najmłodsi – najmniej wyrobieni i jeszcze nie umiejący wybrzydząć – czytelnicy, ci którzy dopiero nauczyli się czytać i dopiero uczą się rozumieć to, co przeczytali (szkoda, że pomocą w tej nauce musi być własne Kleks).

Zupełnie osobną pozycję wśród dzieł sztuki komiksowej ostatnich lat zajmuje serial „Według Danikena” rysowany przez Bogusława Polcha. W porównaniu z innymi komiksami science fiction, jakie pojawiły się w ostatnim czasie („Ostatnia przystań” Szyszk, „Goscie z gwiazdozbioru Aquarius” i inne Kasprzaka) sprawia on wrażenie przybycia z innego świata. Dopracowane do ostatniego szczegółu rysunki, elegancka kreska, dynamika ujęć i przejrzysta kompozycja strony – wszystko to kaze stawiać dzieło Polcha za wzór innym rysownikom. Oczywiście, wszystkim wiadomo, że „Według Danikena” powstało dla zachodniemieckiego wydawcy i ten fakt wiele tłumaczy. Zauważyć trzeba jednak, że Polch zawsze rysował w ten sam sposób i nadmamu z jego komiksów nie można zarzucić niedopracowania (przy-

najmniej w warstwie graficznej). A zarzutu tego nie są w stanie uniknąć inni autorzy.

W przypadku Zbigniewa Kasprzaka jest to zresztą zarzut może nieco chybiony. Jego komiksy grzeszą raczej małą wyrzecznością rysunku (co zdaje się wynikać z niewielkiego przystosowania stylu tego rysownika do potrzeb komiksu) i przeładowaniem tekstem. Wady te występują także w najlepszym – jak dotąd – komiksie tego autora, „Zagładzie Atlantydy”, choć trzeba też przyznać, że duży format tego komiksu pozwolił omawianemu rysownikowi rozwinąć skrzydła i przedstawić niektóre sceny w sposób naprawdę znakomity.

O wiele gorszych słów należałoby użyć przy ocenie zeszytowych prac Marka Szyszk, ponieważ rysownik ten pokazał już łwi pazur i udowodnił, że rysować potrafi, ale czasem mu się nie chce (i to okropnie!). Zamiast jednak poddawać się rozgoryczeniu, lepiej skupić swoją uwagę na innym komiksie tego rysownika – na „Sądzie Parysa”, w zamierzeniu otwierającym cykl „Mity greckie” (mam nadzieję, że doczekamy się w końcu kontynuacji tego cyklu). Komiks ten to prawdziwa perła, choć poligrafia skrzywdziła go straszliwie. Zrealizował go Szyszko jako ciąg kompozycji otwartych (ani jednej ramki w całym komiksie – granice kadrów są tu wyznaczone jedynie przez kształt i wielkość strony), przetykanych całostrowicowymi rysunkami. Powoduje to znaczne osłabienie linearności opowiadania. Czytelnik nie przesuwając wzroku z obrazka na obrazek, ale zostaje zmuszony do ogarnięcia nim całej strony, rozdzielena na niej składników osobnych przedstawień i uporządkowania ich w podporządkowaną chronologię całość. Rezygnując z ramki jako granicy kadru, Szyszko tym samym robi unik przed koniecznością zmuszenia i mającego mało wspólnego z artystą, rysowującego w tło każdego obrazka przedstawień przestrzeni, w jakiej odbywa się akcja. Sceneria jest tu ukazywana jedno- lub dwukrotnie, co wystarcza dla poznania jej wyglądu, a potem ustępuje miejsca zwiększonej liczbie postaci ukazanych w działaniu.

„Sąd Parysa” to prawdziwy pokaz możliwości, jakie tkwią w tworzywie komiksowym. Można mu co prawda zarzucić jednostronność – ożywiłoby go znacznie wymieszanie „normalnych” komiksowych ramek z otwartym kompozycją, ale i tak technicznie od niego świeżością.

Kolejny rysownik – najmłodszy sztażem – Andrzej Nowakowski też swoimi komiksami wpisuje się w ramy fantastycznego, choć pulsują te prace na pograniczu między baśnią a egzotyczną awanturą. Blżej egzotyki jest pierwsza praca Nowakowskiego: wypuszczony przez bydgoskie wydaw-



nictwo „Pomorze” (bardzo słaby) trzygodniowy komiks „Zemsta Harpera” jest próbą wpisania się w tradycję westernu – w komiksie światowym bogate, u nas – właściwie żadne. Również wydane w 1987 roku „Wilcze Imperium” nie odskakuje zbyt daleko od tej tradycji – rewolwerowe pojedynki, pogonie i napady mające miejsce na Alasce, zostały zakotwiczone gdzieś w latach dwudziestych-trzydziestych – co pozwoliło na manaz westernu z historią gangsterską w stylu retro.

Pastiszu stylu retro (choć nie jest to pastisz komiksów z tamtych lat) nie można w tym wypadku nazwać nieudanym, choć komiks, mnie przynajmniej, nie przypadł do gustu. Każda z jego stron jest dosłownie upchana rysunkami. Są one drobne i niewiele pokazują sceny zdarzeń. Za dużo tu również onomatopej – natarczywie atakujących wzrok i nie zawsze trafnych (np. banalne „Fu Fu Fu”, czy „WUUUU”). I wreszcie, raczy nas autor w nadmiarze także przedziwnymi skrotami perspektywicznymi postaci, przekształcającymi je w groteskowe monstra. Co prawda, jest to chwyt przez niektórych rysowników komiksowych chętnie stosowany, bo przydaje dynamizmu rysunkom, ale we wszystkim trzeba mieć umiar.

Głównym dziełem Nowakowskiego jest niewątpliwie „Doman” – zbyt pochopnie reklamowany jako pastisz komiksu heroic fantasy (z wyraźną graficzną sugestią, że autor ma tu na myśli Conana). Od „Conana” do „Domana” droga jest niezmiernie daleka, a i jak na heroic fantasy ta adaptacja „Starej baśni” jest zbyt ugięta, za mało dynamiczna i zbyt mało fantastyczna przede wszystkim. Główne zalety tego komiksu to staranność rysunku i dobra jakość reprodukcji. Wady – to nadmierne trzymanie się fabuły powieści, powolne tempo akcji i nieefektywność przedstawień. W końcu komiks rysunkiem stoi – i to nie było dobrym, ale rysunkiem przedstawiającym postacie w działaniu (zwłaszcza taki komiks). W końcu, mimo że śmiesz, nie są zupełnie pozbawione słuszności dokonywane przez zachodnich krytyków porównania uznanych komiksyarzy do malarzy renesansowych – i jedni, i drudzy bowiem musieli wykazać się doskonałą znajomością anatomii i umiejętnością przedstawiania ciała ludzkiego w różnorodnych, skomplikowanych pozach. Ruch

ukazany w nieruchomym dziele – to jedna z tych rzeczy, których odbiorcy szukają w komiksie przede wszystkim. U Nowakowskiego jest go bardzo niewiele.

Z drugiej strony „Doman” niebezpiecznie schodzi we wszystko. Właściwie nie wiadomo dla jakiego czytelnika został przeznaczony odcinek, w którym bohater został przedzierzgnięty w szewczyka Skubę. Rozumiem oczywiście, że smok, potwór z piekiel (albo chociaż z Saturna) czy choćby czarownik powinni pojawić się w komiksie tego typu, ale chyba lepszy byłby w „pastiszu komiksu fantasy” jakiś mniej znany i mniej obrosły tradycją przedstawiciel gadzego plemienia. Fantasy powinna być grą wyobraźni – fantasy, w której spotykamy tylko znane od dawna elementy, staje się natomiast grą braku wyobraźni. Odczucie takie jest zdaje się powszechne, bowiem pierwsze odcinki „Domana” zniknęły w mgnieniu oka, kolejne – leżą w kioskach do dziś.

Celowo na sam koniec pozostawiłem nader obszerny wybór prac rysownika, który może poszczycić się chyba najliczniejszym zestawem opublikowanych komiksów, Jerzego Wróblewskiego. Ma on na swoim koncie liczne zeszyty „Kapitana Żbika” i „Podziemnego frontu”. Wiele drukował w „Relaxie”, narysował jeden westernowy komiksik, a w ostatnim czasie wydawnictwo „Sport i Turystyka” wypuściło dwie młodzieżowe serie jego autorstwa i jeszcze – tym razem w KAW-ie – wydał trzy i pół albumu.

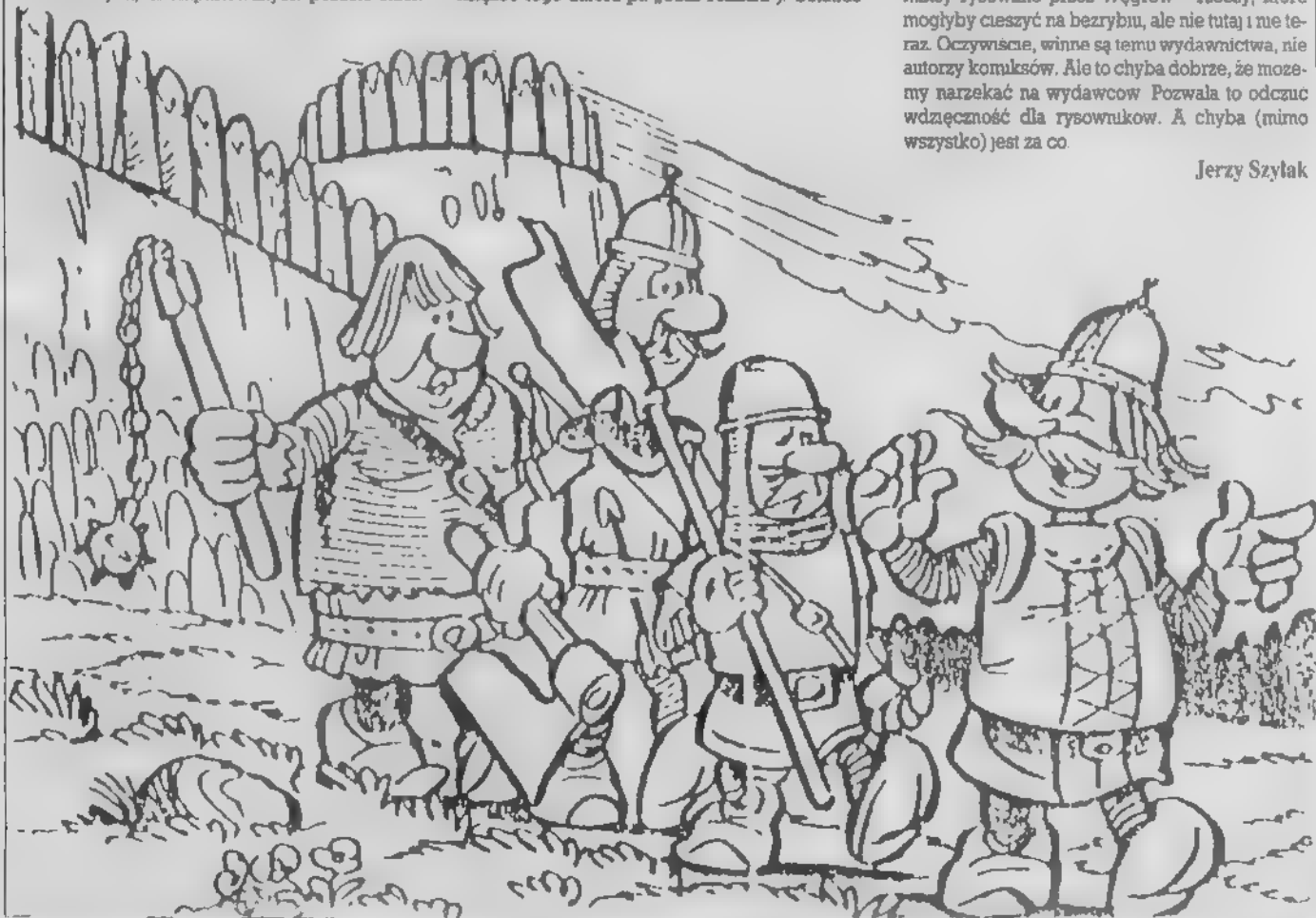
Pozycja Wróblewskiego jest dość dziwna. Rysuje on zawsze niezwykle starannie (choć nie zawsze w sposób porywający), ale jego komiksy cieszą się umiarkowaną popularnością. Przyczyn tego stanu rzeczy doszukiwałbym się w fakcie, że pozostaje on w kręgu mało interesujących tematów. Najbardziej egzotyczne historie, jakie stworzył, to ów westernik i historyczny (więc mało porywający) komiks o Cortesie. Jego specjalnością są fabuły wojenno-młodzieżowo-kryminalne w polskich realiach, co nie pozwala mu rozwinąć skrzydeł, a czasem wręcz wywołuje żądliwe ataki krytyków (myślę tu przede wszystkim o złośliwych uwagach Jerzego Jastrzębskiego na temat realiów w „Kapitanie Żbiku” zamieszczonych w książce tego autora pt. „Czas relaksu”). Ostatnie

dwa komiksy: „Skradziony skarb” i „Figurki z Tiloc” są zresztą dowodem na to, że Wróblewski szuka dróg na zręczenie krepujących go więzów. Fabuły obu (oczywiście kryminalne!) rozgrywają się w egzotycznych scenach, gra idzie tu o dużą stawkę, a przeciwnicy dysponują bogatym arsenałem środków i umiejętności, co stwarza okazję do widowiskowych akcji. Te parady atrakcji to jakby pierwszy krok w stronę szerokiej formuły fantastyczności, o której mówiłem wcześniej. Bo przecież nawet egzotyczne sceny są tu tylko umownym, nierzeczywistym tłem, mającym uwiarygodnić nieprawdopodobne przygody (to nie żart – nie można zarzucać niczego komiksowi, który się znakomicie ogląda). Mój cichym marzeniem jest zobaczyć komiks Wróblewskiego o tematyce fantastycznej albo fantastyczno-naukowej. Ale taki, w którym występowałyby postacie jak z jego rysunków do „Fantastyki”, a akcja nie zwiłała się w nadmierne literackie (nieplastyczne) meandry jak w „Vahanarze”.

I to już w zasadzie wszystko, jeżeli chodzi o polskie wydawnictwa komiksowe ostatnich lat. Dużo to i mało zarazem. Dużo – jeśli wziąć pod uwagę liczbę tytułów. W końcu możliwości poligraficzne są u nas dość niszowe, a tych komiksów zebrano się sporo. Mało – jeżeli chodzi o nowe zjawiska. W końcu to nie jest tak, że w Polsce tylko kilka osób rysuje komiksy. Przepadł gdzieś Sławomir Jezierski (autor znany jako ilustrator książek dla dzieci i twórca jednego – drukowanego jedynie w niewielkim fragmencie w „Wieczorze Wybrzeża” komiksu będącego parodią fabuł baśniowych), o którego albumie komiksowym – przyjętym podobno do druku – słyszałem już cztery lata temu w gdańskim KAW-ie; nie doczekał się jeszcze żadnej publikacji książkowej; Tadeusz Raczkiewicz – od kilku lat stale obecny na łamach „Świata Młodych”; znakomite rysunki komiksowe Jerzego Skarzynskiego możemy obejrzeć (ale w niewielkim wyborze) w „Projekcie” (nr 6 z 1986 r.), ale tylko tam; znikła Krystyna Wojcik – autorka prześlizgniętej adaptacji „Paniećników Casanovy”, drukowanych około 1978 roku w „Kamieniu”. Gdzie są jeszcze inni?

Zamiast nich możemy oglądać słabutkie komiksy rysowane przez Węgrów – rzeczy, które mogłyby cieszyć na bezrybiu, ale nie tutaj i nie teraz. Oczywiście, winne są temu wydawnictwa, nie autorzy komiksów. Ale to chyba dobrze, że możemy narzekać na wydawców. Pozwala to odczuć wdzięczność dla rysowników. A chyba (mimo wszystko) jest za co.

Jerzy Szyłak



Rola fantastyki w rozwijaniu wyobraźni, sekrety i filozofia felietonowej kuchni, poziom polskiej popularyzacji naukowej, nauka a religia, nauka a świat wartości... to niektóre z tematów rozmowy, jaką z Maciejem Howieckim (najpopularniejszym autorem „Fantastyki”; patrz: wyniki sondażu II i III) przeprowadził w poprzednim numerze Maciej Parowski. Drukujemy obecnie drugą część wywiadu, poświęconą poszukiwaniom w nauce tzw. nowego paradygmatu. Po powrocie Macieja Howieckiego ze Stanów Zjednoczonych, gdzie zbiera on m.in. materiały do swej nowej książki, felieton „Z tamtej strony lustra” zjawi się ponownie na naszych łamach.

Szczeliny⁽²⁾

z Maciejem HOWIECKIM rozmawia Maciej Parowski

Maciej Parowski: *Scjentyzm – to słowo brzmi dziś jak epitet. Niemal wszyscy zajmujący się nauką odziewają się dziś od scjentyzmu. Mówi się natomiast o nowym stylu uprawiania nauki, o nowym paradygmacie. Co to takiego?*

Maciej Howiecki: – Rzeczywiście dochodzimy do tego, co uczeni nazywają zmianą paradygmatu współczesnej nauki. Zmienia się podejście do nauki, do jej metodologii, do celów i ograniczeń, jakie widzą przed sobą naukowcy. Ale zanim spróbuję wyjaśnić o co tu chodzi, chciałbym wygłosić krótką pochwałę nauki i odpowiedzieć na pytanie, czemu uważam ją za jeden z najlepszych systemów wiedzy o świecie. Otóż nauka jest systemem samoweryfikowalnym. Jest to jedyny system ze wszystkich możliwych ludzkich systemów, który uznaje własne błędy, tropi je i jest z tego zadowolony. Nie musi tego robić nikt z zewnątrz, nie trzeba tu nikogo obalać ani robić rewolucji. Taka po prostu jest istota nauki. I teraz zbliżamy się do nowego ujęcia. Nie chodzi tylko o metodę ogię nauki, ale o jej wizję, o filozofię, wzór – właśnie o paradygmat. O wzór postępowania, mówiący co jest dobre, co nie – społeczeństwa naukowców wytwarzają takie zbiorowe przekonania w różnych okresach, to wisi jakby w atmosferze. Panem Bogiem wzoru poprzedniego, paradygmatu, w którym my jeszcze częściowo tkwimy, były Fakt i Doświadczenie. Rzecz uczonego było szukanie faktów, bezstronne, obiektywne sprawdzanie ich doświadczalnie i na tej podstawie formułowanie hipotez czy szerszych teorii. Mówiło się i myślało, że uczone jest bezstronne, obiektywne, dąży do prawdy, przystępuje do doświadczenia bez wstępnych założeń. To był wzór, paradygmat nowożytności nauki gdzieś od Galileusza i ja bym absolutnie go nie chciał krytykować, bo to się doskonale sprawdzało i temu zawdzięczamy wspaniały rozkwit europejskiej cywilizacji.

– Ale przestało się sprawdzać? I naukowcy w ramach samoweryfikacji postanowili ów paradygmat odrzucić. Czy tylko częściowo go zakwestionować?

– To wynikałoby jakby samo z rozwoju samej nauki. Uczeni doszli do wniosku, że jest trochę inaczej. Nie ma naturalnie niezależnych uczonych ani niezależnych informacji. Uczonego podchodzi do przyrody z określoną koncepcją. Przecież już pod kątem tej koncepcji ustawia pozorowanie bezstronne doświadczenie. A więc – teoria jest pierwsza. Teoria idzie przed faktem. Zawsze jest układ – Obserwator i To Co Się Bada. Czyli nie badamy przyrody, tylko jakby powierzchnię zjawiska, rzeczywistości, które uczone i jego apriorycznie założona teoria są już

częścią składową. Broń Boże, nie chcę przez to powiedzieć, że mieliśmy w stosunku do przyrody jakieś złe, fałszywe zamiary, tylko, że tą metodą nie badamy „czystej” przyrody, lecz swoje co do niej przypuszczenia i jakby łączny układ. obserwator-przyroda. A może przyroda jest jeszcze inna? – powoli dochodzimy do takiej wątpliwości. Są na przykład pewne doświadczenia, które jeśli nawet nie dadzą się powtórzyć w tych samych warunkach, to wcale nie oznaczają, że nic ciekawego nie wskazują... Zmieniają się zatem jakby kryteria prawdy naukowej. Poza tym – wynika to ze wszystkich badań fizycznych, biologicznych, chemicznych – świat jawi się nam dziś (powiem to słoganiem) bardziej jako myśl niż jako maszyna. Bardziej jako idea niż jako rzecz. I to w podobnym może sensie, w jakim to wyobrażał sobie Platon. Współcześni fizycy często przywołują nazwisko Platona, od którego, z drugiej strony, wywodzili się wszystkie tzw. idealizmy.

– Ma pan na myśli specjalistów od fizyki atomowej, od mechaniki kwantowej? Na poziomie atomu, cząstki, kwantu rzeczywiście tracimy pewność – mówimy o częstoci czy o jej równaniu? Ale czy to jest naprawdę nowy paradygmat? Opisująca to zjawisko zasada nieoznaczoności Heisenberga liczy sobie już 60 lat.

– Rzeczywiście mówię o mikroświecie, w którym to wszystko przejawia się najwyraźniej, ale naukowcy zaczynają podejrzewać czy nie tak samo jest w makroświecie, wręcz w ogólnych procesach kosmologicznych? Mówią dziś na przykład, że bardziej realna jest „możliwość bytu” niż sam byt. Astronomowie, fizycy, wprowadzają dziś na przykład pojęcie brzemienności próżni. To znaczy, my ludzie wychowani w poprzednim paradygmacie zakładaliśmy, że próżnia oznacza NIC. Otóż tak nie jest. W tej naszej próżni zawarte są JAKOŚ czas i przestrzeń (ten czas i przestrzeń, które narodziły się w momencie Wielkiego Wybuchu, bo przedtem ich nie było...), a przede wszystkim potencjał i nie zawarte są już w tej próżni jakieś cząstki, jakaś materya. To przekonanie nie jest wcale kopią przeróżnych tzw. idealizmów subiektywnych. Ta „brzemienność” próżni wynika z badań. Prowadzę do tego, że świat w sensie przyrodniczym może okazać się takim, w którym w drastyczny sposób zmieniają się granice niemożliwego. Na przykład, że COŚ może powstać z NICZEGO, że NIC jest tą potencjalną brzemiennością. W tym świecie, który dopiero odkrywamy, może być tak, że okaże się iż SKUTEK wpływa na PRZYCYNĘ. Albo że prawdopodobieństwo zajścia jakiegos zdarzenia czy dane statystycz-

ne dotyczące jakiejś obecności (np. cząstki) są ważniejszą kategorią od samego bytu. To się wydaje niepojęte, takie niestychane rzeczy, o których nie wiadomo właściwie jak mówić, bo dopiero szukamy języka do ich wyrażenia.

– Skutek wpływający na przyczynę? Fantastów nie przerazi taki paradoks. Znamy przecież pojęcie podróży w czasie i fantastyczny dylemat pradiadka zabitego przez wnuka.

– Zgadza się. Naukowcy podejrzewają, że w skali Wszechświata Przeszłość, Teraźniejszość i Przyszłość mogą na przykład istnieć jednocześnie i że teoretycznie jest możliwe, iż istnieją różne światy. No i oczywiście wszystko co istnieje – jest to koncepcją tak zwanego holizmu – jest w jakiś sposób bardzo powiązane. Tymczasem nauka nowożytna, nauka tego starego paradygmatu, przyzwyczaiła nas do krącenia świata na plasterku i badania każdego plasterka z osobna. To wydawało się poprawne – chodziło zresztą o lepsze poznanie. Teraz, okazuje się, wszystko jest pewną nierozdzieloną całością. Samo wyodrębnienie jak egoś elementu zmienia istotę rzeczy i nasz wgląd w tę istotę.

– Wszystko to prowadzi nas znów do idei Stwórcy zarysowanego w religii, którego nie da się odłączyć od tak pomyślanego spójnego wszechświata.

– Tak, ale w której religii? Naukowa bezstronność i rzetelność felietonisty nie pozwalają mi tu niczego apriorycznie przesądzać. Jest przecież nie jedna, lecz parę wizji ewentualnego Stwórcy wynikających z tej nowej koncepcji wszechświata. To znaczy dopuszczalna jest koncepcja chrześcijańska, miłosiernego Boga, który to wszystko zaprogramował, stworzył, uruchomił, jest stale w naszym świecie obecny i widzi co robimy. Inna, ożywająca na powrót koncepcja panteistyczna, woli widzieć we wszechświecie wszechobecną inteligencję czy wyższą świadomość, która owszem, wszystko, a więc i nas stworzyła, ale dalej nic ją nie obchodzi – czy to jest dobre, czy złe, czy ktoś się męczy, czy nie? Ma i nas, i Ziemię, i cały wszechświat, za przeproszeniem, „gdzieś” i po prostu bawi się nami albo nas ignoruje. Jest wreszcie trzecia koncepcja, najbliższa ateizmowi, sprowadzająca się z grubsza do tezy, że sama przyroda jest absolutnie niecelowa, tylko pozór celu wynika z praw przyrody, zaś ewolucja i niesamowity spłot przypadków doprowadziły do powstania życia i człowieka.

– To ostatnie, zdaje się, jest punktem widzenia Stanisława Lema?

– Tak można dedukować z jego wypowiedzi. Ale mnie to nie odpowiada. Wydaje się niemożliwe, choćby w świetle tego co mówią niektórzy fizycy (np. Dicke), żeby to było przypadkiem. Nawiasem mówiąc dopiero współczesna nauka zaczyna doceniać rolę przypadku. Ale według mnie rola przypadku w naszym świecie i w naszym powstaniu jest wielka, ale nie „wiodąca”. Coś tu jeszcze jest nie przypadkiem, podejrzewam w tym jakąś konieczność. Nie wiem, która wersja zwycięży (w nauce – bo swoją mam na swój użytek), ale sądzę jednak, że sam „czysty” rozum nie wystarczy, żeby to objąć. Tu musi wkroczyć krytyczny osąd naukowy połączony z osądem sumienia. Rozum i sumienie, wiedza i aksjologia – połączone razem pomogą nam to wszystko pojąć.

– Holistyczna wizja wszechświata, w którym wszystko jest powiązane, może zmienić poglądy

naukowców na wiele spraw, które dotychczas wysmiewali. Choćby na fenomen astrologii.

— Nawet zabieram się do pisania felietonu dla was na ten temat, choć wiem, że astrologia jest czerwona płachtą na wszystkich uczonych i w ogóle tzw. racjonalistów. Na razie powiem tylko tyle, że są różne rodzaje astrologii, zależy jak ją ujmować. Horoskopy na przykład z „Kuriera”, składają zabawnie, nie mają żadnych, z przykrością to stwierdzam, bo wolalbym żeby było inaczej, podstaw naukowych. Ohoć przyznaję, że zawsze mnie zastanawia, gdy czytam te stopy opisów, niesamowita trafność charakterystyk różnych znaków zodiaku. Zastanawia mnie, dlaczego tak często jest to zbliżone z życiem i takie wyrafinowane w portretowaniu ludzkich charakterów...

— I dobre literacko, mądre, czasem wręcz... szekspirowskie.

— Właśnie. Czytając o sobie, o znajomych, mam często wrażenie stuprocentowego trafienia. To jest niezwykle. Można by powiedzieć, że ponieważ ludzie są tak skomplikowani i tak różni, to każdy w każdym znaku znajdzie jakieś elementy, które mu się potwierdzą. Ale to nie jest dobre wyjaśnienie. Dlatego, paląc na astrologię szerzej, w tym sensie holistycznym, że wszystko wpływa na wszystko, jestem zdania, że znacznie więcej czynników natury kosmicznej, które dotychczas lekceważyliśmy, ma wpływ na nasze charaktery i zachowania. Niektóre rzeczy są już po prostu stwierdzone. Choćby wpływ na nas sytuacji meteorologicznej czy fazy Księżyca. A jest to już przecież coś w rodzaju współczesnej, odnowionej „astrologii”.

— Wkrótce po raz kolejny wyjedzie pan na parę miesięcy do Stanów Zjednoczonych. Czyżby udawał się pan do Arizony pod tę kopułę książkowego miasteczka opisanego w ostatnim felietonie? Przepraszam za niedyskrecję, ale i Czytelników „Fantastyki” i mnie ciekawi bardzo, co pan będzie w Stanach robić.

— Chciałam zobaczyć to miasteczko na własne oczy, ale nic z tego, nie mam żadnego stypendium, udaję się do Stanów prywatnie. Piszę taką książkę, nie wiem czy powinienem o tym mówić, bo i boję się zapeszyć, i boję się tego, że rzecz mnie przerasta — to znaczy, że nie starczy mi sił, możliwości i czasu. Zamierzyłem książkę o wkładzie polskiej kultury i nauki w kulturę i cywilizację światową. Raczej nie tyle w sensie dokonania konkretnych — Kopernik, Curie-Skłodowska — ile w sensie tego, co myśl polska wniosła do kultury ogólnej, do pewnych koncepcji prawa, cywilizacji. Można tu mówić o różnych rzeczach z różnych dziedzin. Na przykład idea „za wolność waszą i naszą”, idea pewnej solidarności między narodami — to jest polski pomysł! Albo, o czym się na ogół nie wie, że doktryna „prawa oporu” to była polska koncepcja, sformułowana jeszcze w średniowieczu przez niejakiego Marcina z Urzędowa. On mówił już w czasach feudalnych, że jeśli rządzący źle rządzą, jeśli król jest zły, to naród ma przyrodzone, naturalne, boże prawo zmienić takiego króla. Potem to oczywiście powiedzieli inni, np. Rousseau, Thoreau, wielcy prawnicy zachodni, w różnych encyklopediach można znaleźć „zachodnie” nazwiska, ale to Polak był pierwszym, który ośmielił się taką ideę podnieść tak wcześnie! Taką ambitną książkę zamierzyłem, nie ma to być encyklopedia ani kompendium, tylko cykl esejów. W Stanach oderwę się trochę od morderczej pracy tutaj, pobuszuję po ich bibliotekach, archiwach. No i nie

będę tego taki, że ponieważ muszę też trochę zarobić, będę tam miał trochę wykładów, głównie dla Polonii, o sytuacji naszego społeczeństwa, o najnowszych badaniach socjologicznych, o reformie.

— Czy ma pan inne książki-marzenia, do których by się pan wziął, gdyby dopisało zdrowie i siły i gdyby powiedzmy, doba miała 34 godziny?

— To bardzo ciekawe pytanie. Gdybym tylko mógł wyłączyć się z pracy zawodowej, gdybym dostał stypendium wystarczające na życie przez 3 lata, to z przyjemnością napisałbym książkę o sprawach, o których mówiliśmy. To znaczy o z m i a n i e w nauce. Jak to było kiedyś, co nauka nam daje, jak dziś powinniśmy odbierać naukę, jak to się zmieniało w ciągu wieków. Mottem tej pracy mogłoby być słynne powiedzenie Poppera, filozofa nauki, że fenomen ludzkiej wiedzy jest najdziwniejszy we wszechświecie. Nasze poznanie przebiega w sposób bardzo dziwny. Naukowcy mówią dziś, że nasz mózg jest tak zbudowany, że właściwie odgradza nas od świata, przywołuje czy dopuszcza to tylko, takie tylko informacje, które są nam biologicznie niezbędne do życia. Odcina więc mózg pewne krawędzie, pewne obrazy, pewne informacje. To znaczy nasz mózg nie jest zaprogramowany na pełne poznanie przyrody, choć jednocześnie z tym poznanem tak świetnie sobie jednak radzi... I naukowcy próbują właśnie poza te „biologiczne” ograniczenia wykraczać, przełamywać je. Jak to się więc dzieje, jakimi odbywało się etapami... O, gdybym mógł to postudium i o tym napisać, to myślę, że byłoby to może ciekawa książka. A druga — to chętnie napisałbym o wszystkich dziedzinach naukowych, o różnych absurdalnych koncepcjach, o tym, które się sprawdzały, które nie. O roli błędów w nauce, o tym z czego błędy wynikały. Błąd w ogóle jest to bardzo ciekawa sprawa. Często zdarza się w nauce, że broni się słusznych założeń złymi argumentami — przypadek Galileusza jest pod tym względem bardzo pouczający. Albo odwrotnie — dobrymi argumentami broni się niesłusznych teorii, błędnych uogólnień. Widzę, że te dwie książki można by właściwie połączyć, w jedną książkę, taką jak „Summa technologiae” pana Stanisława Lema. Gdybym miał zdolności pana Stanisława Lema i jego możliwości, to bym napisał taką „Summę” o s c i e n c e.

— W takiej książce można by poświęcić też trochę miejsca niebezpieczeństwom idącym do nas po przyjęciu się nowego paradygmatu. Z krajów racjonalizmu, wagi, szkiełka i oka, prowadzi on nas przecież w stronę przeróżnych irracjonalizmów właśnie, dowolności, pseudomistycyzmów i nieuzasadnionych domniemań. Taki może być w każdym razie potoczny odbiór nowej metody.

— Istnieje takie niebezpieczeństwo i na pewno warto o nim napisać. Ludzie mają skłonność do „irracjonalizmów”, sam lubię rzeczy tajemnicze i dziwne. Szczerze mówiąc wolalbym na przykład, żeby latające talerze okazały się faktem i to nie przyrodniczym; wolalbym żeby w latających talerzach znajdowali się ONI. Ale dopuszczam myśl, czy nawet niestety podejrzewam, że jest to rodzaj zjawisk czysto przyrodniczych albo społeczno-psychologicznych omam, jak to traktuje interpretacja jungowska. Ale pomijanie i wysmiewanie UFO do niczego nie prowadzi, bo jest to fakt — może społeczny, może przyrodniczy, a może jeszcze dziwniejszy? Natomiast pan mówi — nowe irracjonalizmy, lęki, mistycyzmy, nieuzasadnione przeczucia związane z nowym paradygmatem. Każda epoka miała pod tym

względem swoje charakterystyczne doświadczenia. O tym też można by napisać. Właściwie zbieram materiały do takiej książki.

— O lękach i nadziejach ludzkości?

— O lękach i nadziejach „zwykłych” ludzi i o przepowiedniach futurologów w różnych epokach. O tym czego ludzie w przyszłości się bali, a co budziło ich nadzieję, na co czekali. To się wyraźnie zmienia w pierwszym i drugim tysiącleciu. Tysiąc lat temu ludzie myśleli, że zbliża się koniec świata, bo data była okrągła. A poza tym w sposób najprawdopodobniej nieświadomy wyuczali przyspieszenia zmian, że coś się kończy, że dobiega kresu jakiś znany im rodzaj świata. I rzeczywiście wtedy definitywnie umiarała porzymska cywilizacja i rodził się świat feudalny, zdecydowanie chrześcijański. Ale ludzie bali się przede wszystkim końca świata. Jedni uciekali więc w lasy w obawie przed strasznymi apokaliptycznymi wydarzeniami. Inni zamykali się w klasztorach. Jeszcze inni, przeciwnie, uprawiali rozpustę, żeby używać życia dopóki to możliwe. Ludzie ówczesni bali się diabła, Boga, klęsk żywiołowych, duchów, zjaw... Lęki współczesnego człowieka są inne. My też co prawda czujemy instynktownie nasilenie się wszystkich zmian i ich zasięg globalny, ale istotą bania się współczesnego jest lęk przed sobą samym. Przed człowiekiem jako takim, i tym, do czego ludzkość jest zdolna, co dość dokładnie pokazała nam najnowsza historia. Ludzie podejrzewają, że nasza cywilizacja jest skończona, tzn. dochodzi do pewnych granic, popełnia samobójstwo na raty, sama się niszczy. Do tego dochodzi lęk płynący z rozchwiania wartości, z wysuwania się nam etycznego gruntu spod nóg. Atakowani ze wszystkich stron ludzie tracą już rozeznanie — co to jest dobro, co zło, co jest złem mniejszym, a co większym dobrem? Mamy podświadomy (czasem świadomy) lęk, bo pewne wartości, wydawałoby się trwałe, są kwestionowane i podmywane ze wszystkich stron.

— Tak. To dość przerażające, ile w niektórych ludziach jest jeszcze energii do walki z zasadami, które są uczciwe, są dobre.

— Które się po prostu sprawdziły.

— Zaciętość człowieka w walce z wartościami — dziennikarze spotykają się z tym często. Ale też szczególnie dziennikarze mają możliwość, by stawiać czynnie w obronie wartości. Choćby pisząc felietony czy książki jak pan. Rozumiem, że nigdy pan nie żałował decyzji sprzed lat — porzucenia biologii na rzecz dziennikarstwa?

— Przeciwnie. Czasem żałowałem. Właściwie, wie pan, moim głównym marzeniem była zawsze medycyna. I mam o to do siebie żal, że jednak jej nie wybrałem. Wydaje mi się, że to jeden z niewielu zawodów, które nadają życiu człowieka jakiś większy sens. Oczywiście bardzo też lubię i nawet cenię dziennikarstwo, uważam, że jest to nie tylko sposób zarabiania pieniędzy, ale i rodzaj dobrej roboty, jeśli tylko uczciwie, w zgodzie z sumieniem i uznawanymi wartościami, próbuje się wpływać na ludzkie umysły, czy pokazywać różne spojrzenia na świat. Ale to jednak medycyna jest moim prawdziwym ideałem. I medycyna, i biologia fascynują mnie od strony naukowej, uważam, że to jest fascynujące! We wszystkich ustrojach i systemach, w każdej epoce medycyna właśnie jest najbardziej ważna i potrzebna. Zawsze lecząc ludzi ma pan poczucie sensu życia. No, coś zaczyna głosić kazanie... ale naprawdę tak myślę.

— Bardzo dziękuję panu za rozmowę.

Trudno mówić o istnieniu polskiej szkoły filmu fantastycznego. Podobnie jednak jak literatura, również i kino kieruje się w stronę odmiany social i political fiction. Tego typu SF uprawiał konsekwentnie Piotr Szulkin. Ale jego ostatni film „Ga, ga – chwata bohaterem” oglądaliśmy prawie dwa lata temu.

Niewątpliwym wydarzeniem była „Seksmissja” Juliusza Machulskiego, która ukazywała karykaturalny obraz współczesnego świata. Reżysera nazwano nawet polskim Spielbergiem, ponieważ udowodnił, że i u nas możliwe jest zrobienie rozrywkowego filmu SF w stylu amerykańskim, przy zachowaniu realiów polskich. Machulskiemu udało się podbić polską publiczność, zmuszając ją, żeby ruszyła się sprzed telewizorów i szlurmowała sale kinowe, chociaż to-

nego świata – w „Kingsajzie” reżyser dyskutuje nad tak poważnymi problemami, jak wolność, możliwość wyboru, odpowiedzialność. W rezultacie otrzymujemy rodzaj powiastki filozoficznej z morałem.

Machulski ma zdolność podpatrywania życia i przekładania jego realiów na język filmowy, a jak powiedział Cocteau „film potrafi zobiektywizować najbardziej nawet subiektywne abstrakcje”. Tyle, że polski reżyser robi to zbyt naiwnie. Samo przedstawienie ludzi jako istot małych (duszą, sercem, rozumem?), trochę śmiesznych, czy nawet groteskowych, głupich lub podłych, jest wyważaniem otwartych drzwi. Śmiech z własnych niedoskonałości może być rodzajem terapii, ważne jest jednak nie tylko to, żeby dostrzegać pewne zjawiska, ale rozumieć

szkacza i razi nadmierną ekspresyjność, zwłaszcza w chwilach większego napięcia akcji. Ponieważ ideą filmu było pokazanie, że mieszkańcy Szuflandii tak naprawdę nie różnią się w niczym od ludzi, nieporozumieniem było narzucać aktorom historycznej manieri zachowania, sugerującej infantylnosć.

Kreującą główną rolę kobiecą Katarzynie Figurze, reżyser dał rzadką w polskim kinie szansę pokazania się w eleganckich strojach. Chociaż równie pomysłowe, aczkolwiek niedoskonałe technicznie, jest ujęcie aktorki w jednej ze scen, tym razem bez ubrania, za to ze spacerującym po niej małym Olem. Element mody został także wykorzystany dla potrzeb akcji. Bardzo dobry jest pokaz mody „Troll Trend 89”, którego choreografię opracowała Liza Machulska, debiutująca również w roli Ewy. Czyżby nostalgia za stylem edeńskim?

film i fantastyka

Krasnoludkowy koktajl

war był „made in Poland”. Akcja „Seksmissji” rozgrywa się w roku 2044. W wyniku wojny zniszczone zostały wszystkie męskie geny, a pozostawione samotnie kobiety radzą sobie jak mogą, to znaczy nie najlepiej i wystarczy pojawienie się dwóch osobników gatunku uznanego za wymarły, żeby świat wpadł na powrót w stare tarapaty.

W najnowszym filmie Juliusza Machulskiego „Kingsajz” mamy do czynienia z sytuacją odwrotną. Jego bohaterowie – krasnoludki, reprezentują wyłącznie płęć męską (czy słyszał ktoś o krasnoludku dziewczynce?). Jak powszechnie wiadomo, te brodate, łagodne stworzenia zamieszkiwały kiedyś przepastne lasy, pomagając biednym sierotom. Ale czasy się zmieniły i mały ludek przeniósł się do zakurzonej szuflady (przepraszam, Szuflandii) mieszczącej się w piwnicy budynku biblioteki. I prawdopodobnie żyłby tam sobie jeszcze długie lata gdyby nie odkryto sposobu pozwalającego krasnoludkom zamieniać się w ludzi. I tu dochodzimy do pomysłu, który stał się osią akcji filmu...

Dorota Malinowska: – Dlaczego stosujesz konwencję SF lub fantasy?

Juliusz Machulski: – Jest to fantastyka tylko w pewnym sensie. Ja po prostu chcę widza zaskoczyć, a do tego potrzeba czegoś więcej niż tylko filmu obyczajowego. Stąd konwencje – jest to działanie podświadome, a co z tego wynika to już sprawa krytyki.

Machulski jest zbyt inteligentnym reżyserem, żeby powtarzać chwyt, który zastosował we wcześniejszym filmie. Tym razem to nie kobiety zwabia krasnoludki do naszego świata. Bo oczywiście mieszkańcy Szuflandii będą chcieli skorzystać z nadarzającej się okazji. Zwłaszcza ci, którzy zaznali smaku wolności, wysłani do ludzi w nagrodę za zasługi dla państwa. Tym będzie się zarzucać, „że tylko baby im w głowie”. Władza Szuflandii, jak porzucony kochanek, szuka najprostszych rozwiązań. A może tylko takie głosi? Jak w „Seksmissji”, która nie rezygnując z lekkiej formy podkreślała niedoskonałość obec-

nych przyczyn. Tymczasem u Machulskiego analiza rozmywa się w anegdocie. To prawda, nielato jest zrobić film, na którym widzi śmiały się z poślizgnięcia na skórcie od banana i zastanawiał nad problemami egzystencjalnymi. Udało się to na przykład Lindsayowi Andersonowi w „Szczęśliwym człowieku”. Machulski głosi prawdy raczej oczywiste.

D.M.: – Czy zdajesz sobie sprawę, że twój film można zaliczyć do gatunku social fiction, który zdominował polską fantastykę?

J.M.: – Ja po prostu zdaję sobie sprawę z tego, co ludzie w tym kraju myślą. Sam tu żyję i mam pewne potrzeby, nie tylko materialne. Film fantastyczny ma możliwości szerszego ujęcia problemów, które nas dotyczą, bez grzebania się w doskwierających nam na co dzień drobiazgach. Umożliwia syntetyzowanie rzeczywistości. Chociaż wierzę, że można zrobić dobry film współczesny. Uciekanie w fantastykę, czy kryminał jest pewnym uletwieniem. A jednak „Kingsajz” był bardzo trudnym filmem. Nie można go było wpisać w żadną znaną konwencję. Nie mogłem zaplanować jak to wyjdzie...

„Kingsajz” zaczyna się w stylu dobrego kryminału. Włamanie, ucieczka – pierwszych parę scen toczy się warko. Od początku też widz wie z kim ma trzymać. Chcemy, żeby krasnale zdobyły Kingsajza i wywalczyły wymarzoną wolność. Przecież my, Polacy, już z mlekiem matki wysysamy „za naszą i waszą...”. Akcja kryminalna, jak zwykle u Machulskiego, jest poprowadzona interesująco. Aktorzy wędrują z jednego świata w drugi, wpadają w pułapki, uciekają. Zastosowane przez reżysera, modne dziś pomieszenie konwencji sprawia, że otrzymujemy w rezultacie koktajl będący połączeniem filmu społecznego, bajki, komedii i kryminału. Metoda ta bywa zwodnicza, ponieważ przechodzenie z jednego stylu w drugi powoduje niezamierzony spadek napięcia i zmieszanie jest przede wszystkim widza.

Główni bohaterowie „Kingsajzu” to Olo (Jacek Chmielnik), Ala (Katarzyna Figura) i Adaś (Grzegorz Heromiński). Trójka młodych aktorów wypada zupełnie nieźle. Może tylko u panów, wcielających się w postacie krasnoludków, prze-

„Kingsajz” jest dowodem, że i polscy twórcy coraz śmielej sięgają po efekty specjalne. Choć niekiedy spod cukierkowego oświetlenia wychodzi tektura, jednak zastosowano w filmie parę świetnych i prostych pomysłów, które znakomicie grają: durszłak-więzienie, płyta szybko-obrotowa jako narzędzie tortur, drabinka z zapalek (która oczywiście musi spłonąć) oraz łaźnia parowa w czajniku, z której korzysta Jerzy Stuhr, jak zawsze bardzo dobry i jak zwykle obsadzony w roli czarnego charakteru – obdarzony dzwicznym imieniem Kilkujadka! A jeżeli już mowa o imionach, warto zauważyć, że występujący w roli wiamywacza Jan Machulski nazwany został Kwintkiem (czy przypominam?). Wzorując się na filmach o superagencie 007 – Bondzie, w których stałym elementem jest zegarek-gadget bohatera, nasz reżyser wprowadził postać z białym psem, która jest jakby jego wizytówką.

Machulski wypełnia swoimi filmami pewną lukę w polskiej kinematografii, zaspokajając zapotrzebowanie naszego zmęczonego życiem widza na filmy, które w lekkiej formie i w zaskakujących pomysłach, dotykają treści społecznych. Ponieważ jednak apetyt rośnie w miarę jedzenia, ci, którzy oczekiwali czegoś lepszego od „Seksmissji”, mogą być nieco zawiedzeni.

Często zdarza się, że reżyser nie potrafi zakończyć filmu interesującą puentą, szczególnie gdy podejrzuje, że widzowie mogliby życzyć sobie happy endu. Nic z tego w przypadku „Kingsajzu”. Zarówno pierwsze sceny, jak i ostatnie – dają świadectwo sprawnej ręki reżysera (zrazem współscenarzysty). Bo gdy wszystko, w rytmie pędzącego pociągu zmierza do szczęśliwego zakończenia, Machulski wyciąga z cylindra finałowego królika. Ta scena jest naprawdę bardzo dobra. Przecież to my sami, proszę Państwa jedziemy tym pociągiem. A dokąd, a dokąd, a dokąd tak gna?

Dorota Malinowska
Jacek Rodek

KINGSAJZ. Reżyseria: Juliusz Machulski. Scenariusz: Jolanta Hartwig, Juliusz Machulski. Muzyka: Krzysztof Dębaki. Scenografia: Janusz Sosnowski. Zdjęcia: Jerzy Łukasiewicz. Obsada: Jacek Chmielnik, Jerzy Stuhr, Katarzyna Figura, Grzegorz Heromiński i inni. Polska 1987.

Kingsajz



Patric
Woodroffe

